

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



BOHDAN TOMASZEWSKI

Proszę o klucz

Copyright by Bohdan Tomaszewski

**Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ZAMIAST WSTĘPU

Nie staraj się łaskawy Czytelniku identyfikować postaci pojawiających się na kartkach tych opowieści z postaciami istniejącymi naprawdę, bo pójdziesz niewłaściwym śladem. Zdarzenia tu opowiedziane są jednak prawdziwe, bo wzięte z życia, a jeśli niektóre nie miały do tej pory miejsca, czy oznacza to, że nie mogą zdarzyć się w przyszłości?

Jeziro Naiwasza

Widziałem sporo ciekawych imprez sportowych, ale dopiero po latach udało mi się zobaczyć Rajd Safari. Chciałbym go ujrzeć jeszcze raz w życiu. Są to zawody fascynujące. Safari w języku suahili to wyprawa myśliwska, wielka przygoda. A poza tym – Kenia! Tylko rozbojnicy i Cyganie mówią, że nigdy nie należy wracać tam, gdzie się kiedyś było. Lecz chyba i oni zmieniliby zdanie, gdyby raz zobaczyli Kenię. Ach, jak chciałbym tam kiedyś jeszcze pojechać!

To, co próbuję tu opowiedzieć, będzie skromną próbą przedstawienia, czym jest ów rajd i czym są ludzie, którzy biorą w nim udział. A jeśli nazbyt często przewijając się będzie również zachwyty nad ziemią afrykańską, proszę wybaczyć. Kenia, to chyba ostatni zakątek na ziemi, po którym swobodnie spacerują najdziksze zwierzęta. Żyją na swobodzie, nie za kratami klatek. Przyglądają się ludziom z bliskiej odległości, czasem można spotkać się oko w oko z lwem. Nacelujesz aparat, pstrykniesz – machnie ogonem, nawet nie warknie i dostojnie pójdzie w swoją stronę. Oczywiście, jeśli jest w humorze.

W samym Tsawo lwów jest blisko tysiąc, słoni żyje ponad 18 tysięcy. Nie zliczysz antylopy najrozmaitszego gatunku, a strusie, nosorożce, zebry, gepardy! Nad samotnymi drzewami o rozłożystych, fantazyjnych koronach krążą wielkie, dziwne ptaki i przeraźliwie krzyczą. Nad rozlewiskami wód, jak zwalone pnie drzew odpoczywają krokodyle. Nocą, kiedy znajdziesz się w środku buszu, czujesz dopiero jego pełny oddech. Busz śpiewa i pomrukuje, czasem wyda przeraźliwy okrzyk, czasem westchnienie, ostatnie westchnienie zapowiadające śmierć. Wstaje dzień. Jest coś niewysłowionego w uśpionym krajobrazie zalany potokami słońca. Świat przesuwają się wolno za oknem pędzącego samochodu. Przestrzeń wokół jest tak otwarta, horyzont tak daleki, że choć auto pędzi z szybkością ponad 100 kilometrów na godzinę, powstaje złudzenie, że posuwa się z powolnością żółwia. Uczucie całkowitego bezruchu.

Rajd Safari to jedyna w swoim rodzaju impreza sportowa w dzisiejszym świecie. Zawodnicy poza walką, którą toczą i poza ogromnym ryzykiem, które ponoszą, ocierają się o niedostępne zakątki afrykańskiego buszu. Płoszą siedzące na poboczach ptaki, podrywają do oszalałego galopu antylopy, bywa, że zatłuką maską albo szybą pędzącego pojazdu frunącego orla lub sępa. Jest to wielogodzinna euforia, igranie ze śmiercią, chwile porywów i skupienia na przemian.

Najpierw byłem na Foto Safari, a potem śledziłem safari automobilowe. Ostatnie dni przed startem spędziłem razem z częścią naszej ekipy w głębi buszu. Przylecieliśmy do Kenii na 12 dni przed startem, aby zapoznać się pobieżnie z trasą i przygotować możliwie jak najlepiej swe samochody, zdawałoby się już dostatecznie sprawdzone, zanim załadowano je kilka miesięcy wcześniej na statek w Gdańsku. O tej porze roku podróż morska bywa uciążliwa nie tylko dla ludzi. Po wyładowaniu aut w Mombasie okazało się, że zniosły podróż nie najlepiej, mimo starannego zabezpieczenia. Było kilka potłuczeń, bo cztery razy mieli sztorm. Na niektórych częściach pojawiła się korozja. Ekipa mechaników przyprowadziła samochody z Mombasy do Nairobi, a jak na tutejsze przestrzenie nie jest to daleko, zaledwie około 500 kilometrów, zresztą szosa Mombasa–Nairobi jest świetna i można rozwijać na niej dużą szybkość. W Nairobi mechanicy zaraz zabrali się do dzieła i ukończyli je na czas. Zawodnicy zda-

żyli więc odbyć pierwszą serię treningów. Jeździli na przełaj przez busz i po najgorszych wertepach, bo inaczej nie można nazwać tych wąziusieńkich dróg, smętnych, kiedy leje deszcz i pełnych niewysłowionego uroku i promienistej jasności, gdy spod niezmierzonej kopuły nieba leje się słońce. Czasem droga idzie prosto jak strzełił i wtedy pilot mówi: pedał dno. Raptem przechodzi w łagodny łuk i zaraz znowu w ciasne spirale serpentyn, kiedy nagle przyjdzie forsować wzgórze. Smętne są drogi afrykańskie, zda się zamknięte ścianą wody, kiedy lunie ulewa. Zapuszczali się na swoich treningowych wozach aż po brzegi Oceanu Indyjskiego, docierali do tanzanijskich bezdroży aż na samo południe ogromnej trasy po Morongoro. Następnego dnia, kiedy objeżdżali Kilimandżaro od północnej strony, widzieli ze swych żółtych samochodów słonie, antylopy i żyrafy. Wracali do Nairobi, przesпали się i wykąpali w hotelu Chiromoo, wstawali przed świtem i jeszcze przed południem docierali do odludnych wiosek murzyńskich nad wschodnimi rozlewiskami Jeziora Wiktorja. Zatrzymywali się na chwilę i patrzyli na nieprzebrane mrowie flamingów. Atakowali z furją trudne odcinki górskiej trasy w okolicach Eldoret i Nakuru. Przesuwali się z szybkością 150 kilometrów na godzinę u podnóża Mount Kenya. Pierwszy kierowca przeważnie prowadził, a pilot siedział obok, także przypięty pasami i notował, notował, notował. Zapisywał każdy zakręt, wzniesienie, wybój na drodze, długość każdej pralki i każdej prostej, biorąc pod uwagę rodzaj nawierzchni. Prosta, to dla nich i dla każdej załogi spośród przeszło stu, jakie miały stanąć na starcie, nie tyle chwila wytchnienia, jeśli w ogóle można mówić o chwili wytchnienia w tej szaleńczej, a wówczas jeszcze treningowej jeździe – prosta to okazja do wyduszenia z samochodu maksymalnej szybkości. Ale i tu niemal na każdym metrze może wyłonić się nieprzewidziana – stała albo ruchoma przeszkoda. Dziura na drodze, którą można tylko przeczuć, rozpadający się mostek nad wyschniętym korytem rzeki, albo spłoszone stado zebra nieoczekiwanie pojawiające się przed maską wozu lub wreszcie mur nie do przebycia w postaci umazanych w czerwonym błocie słoni. To jest trasa Rajdu Safari.

Sport ten przebiega zupełnie w innym wymiarze. Nieporównywalnie większe ryzyko, stopień napięcia i długotrwałość wysiłku w porównaniu z niemłą męką, jaką przechodzą przeciętni kolarze szosowi albo maratończycy. Uczestnik Rajdu Safari, jeśli ma czas na rozmowę z samym sobą podczas walki, doprowadza ją do końca, do rozrachunku ostatecznego. – Za ułamek sekundy koniec?! Nie, to nie była jeszcze śmierć. Jakoś wyszliśmy. Ale już wyłania się kolejny karkołomny zakręt. – Pedał dno – mówi pilot. Kierowca uczynił to już wcześniej o ułamek sekundy. Jakies błyski myśli, chwile raptownego zanurzenia się w głąb samego siebie. Po co jadę? To szaleństwo. Jadę po raz ostatni. Te myśli przebiegają jednak na drugim planie. Pierwszy wypełniają mechaniczne czynności. Praca rąk i nóg. Operowanie pedałami sprzęgła i gazu, czasem hamulca. Całkowite wtopienie się w martwą, rozpedzoną masę żelaza i stali. Rozparci w fotelach. Opieci pasami. Zmęczeni do ostatnich granic. Swobodni. Czujni. Przerażeni. Pewni siebie. Walczący na krawędzi śmierci. Milczący. Rozgadani. Czasem skłóceni. Zdani całkowicie na siebie i życia, mimo różnic charakterów rozumiejący się jak nikt.

To, co piszę w żadnej mierze nie oddaje tego, co przeżywają, tak jak nie mogę oddać także ich kunsztu jazdy. To nie ma nic wspólnego z prowadzeniem samochodu przez każdego z nas, zwykłych ludzi. Kiedy siedzi się obok i patrzy na ruchy kierownicą, manipulowanie gazem i sprzęgłem oraz tor, jakim sunie z zawrotną szybkością auto, nie można pojąć, na czym to polega. Ma się do nich bezgraniczne zaufanie, ale jednocześnie tempo jazdy, bezustanne atakowanie wozem zakrętów, przyspieszanie w momentach, kiedy chciałoby się właśnie hamować, powoduje przerażenie. Nie można zrozumieć, dlaczego samochód nie wylatuje z szosy. Dlaczego nie przekoziołkowaliśmy przed chwilą? Jaki cud sprawił, że nie doszło do czołowego zderzenia z drugim pojazdem, który leciał naprzeciw? Jan raz powiedział: „Gdyby ktoś zrobił mi coś brzydkiego i chciałbym dać mu nauczkę, wziąłbym go do samochodu. Przejechałby się 15 minut i zrobiłbym z niego szmatę. Modliłby się, błagał, aby móc tylko wysiąść. Bałby się przy świadku”.

Ze mną Jan i inni jeździli delikatnie, a i tak wystarczyło mi w zupełności. Raz jechaliśmy zupełnie dobrą drogą. Była noc i lał deszcz. Tym razem prowadził pan Franek. Wchodził w każdy zakręt z szybkością maksymalną. Był rozluźniony, przyjaźnie uśmiechnięty. Mówił coś do mnie, ale nie słuchałem wpatrując się przed siebie. Strugi wody na przedniej szybie, sine, przerażające światła reflektorów majaczą po ciemnym wąskim pasie szosy. Zdawało mi się chwilami, że fruniemy w powietrzu. Czulem, że mój uśmiech jest grymasem strachu.

Na kilka dni przed rajdem pojechaliśmy aż pod Kilimandżaro. Rozdzieliliśmy się przedtem na kilka grup i każda miała zapuścić się w innym kierunku, objeżdżając dużymi pętlami różne odcinki trasy. My udaliśmy się w kierunku Tsawo. Było nas czworo: szef ekipy technicznej Jan – przed kilku laty najlepszy polski rajdowiec – wraz z żoną Aleksandrą, jego dawny pilot pan Franek, który teraz był pilotem młodego asa Mariusza i ja, jedyny sprawozdawca w tym dość licznym, biorąc pod uwagę całą ekipę, gronie. Jak wytrzymają samochody na kenijskich drogach? – pytałem o to jeszcze w Warszawie. Drogi? Słyszałem wtedy, jak wyglądają, nie chciało się wierzyć, kiedy Jan opowiadał. – Owszem, są odcinki niezłe, jedzie się nieraz po ubitej nawierzchni, ale przeważa szuter, wyboje, wyschnięty piach i nagle glina, czerwona glina poruszająca się pod dotknięciem kół, drgająca, rozlewająca się masa, gorsza, bo bardziej śliska niż lód na trasach rajdów arktycznych. Jan startował wielokrotnie w Finlandii, na północy Szwecji, dwa razy wygrał tam rajd. Jeździł w Ameryce Południowej i Północnej, ścigał się w Meksyku i dożył opony na kamienistych drogach Rajdu Akropolis. Ale od dawna był zakochany w Kenii. Jego największym marzeniem było wygrać choć raz Rajd Safari. Startował trzy razy. Najpierw był drugi, potem nie ukończył. W ostatniej swej próbie był siódmy. Prowadził zdecydowanie na 300 km przed metą, a był siódmy. Opony mu się zapaliły. – Daj spokój, ile razy mam o tym mówić?! Koniec, kropka, skończyłem.

Wycofał się przed trzema laty. Zrobił to nagle, choć mówił przedtem, że dopiero z wolna zbliża się kres jego kariery, że jeszcze ma ochotę trochę pojeździć. Ta decyzja związana była z pewnym rajdem krajowym i z dość głośną historią w swoim czasie, którą różnie naświetlano. Przeważała opinia, że nie dał już rady i szukał tylko pretekstu, żeby zrezygnować z dalszej walki. I pretekst ten znalazł, a później w ogóle coś kręcił i unikał rozmów na temat przyczyn swej porażki.

Żona Jana była inżynierem w biurze projektów na Wybrzeżu. Prowadziła niezłe samochód, ale w rajdach nigdy nie brała udziału. Jan się na to nie godził. Jego dawny pilot, pan Franek – obecnie pilot naszej nowej gwiazdy – był młodszy od swego dawnego partnera o blisko 10 lat. Znałem go najmniej, więc w czasie naszej treningowej wycieczki wytworzył się zrazu nastrój pewnej sztywności. Obserwowaliśmy siebie bacznie ale ukradkiem, zdając sobie sprawę, że poznajemy się w okolicznościach zupełnie wyjątkowych. Czas biegł szybko, wrażeń nie brakowało. Niedawno witaliśmy się na lotnisku w Warszawie. Potem była wspólna, dosyć męcząca podróż z lądowaniem w Atenach, Ugandzie i Nairobi. Odpoczęliśmy trochę w hotelu Chiromoo i oni zajęli się samochodami, a ja pokręciłem się po obcym mi zupełnie mieście. Potem mieli swoje treningi i przeglądy samochodów. Teraz chcieli mieć trzy dni małego relaksu przed startem. Jechaliśmy w busz.

Wiózł nas Murzyn, imieniem Sam. Organizatorzy przydzielili go naszej grupie na tę wycieczkę jako kierowcę, chyba jednak miał spełniać rolę przewodnika czy raczej opiekuna. Co prawda Jan czuł się w Kenii, tak twierdził – jak u siebie w domu – ale dwa tygodnie temu tutejsza prasa trąbiła o fatalnym wypadku, jaki zdarzył się trzem Amerykanom i to właśnie w Tsawo. Pojechali otwartym landrowerem fotografować lwy, spotkali je i podjechali blisko. Jeden wychylił się, a lew wskoczył i odgryzł mu rękę. Sam był urodzony w Kenii, miał 27 lat. Jeździł często na Rajd Safari i na Foto Safari, prowadził wiele wycieczek. Śmieliśmy się trochę, kiedy wsiadając do auta ułożył na bocznym siedzeniu sztucer. – Nie mam naboń, ale bez sztucera nigdy nie jadę – żartował. Stawił się w Nairobi przed naszą kwaterą w hotelu ubrany jak lord. Kapelusz z zakrzywionymi fantazyjnie kresami, koszula w pepitę, apaszka bordo w

zielone słonie, białe spodnie oraz miękkie, niebieskie mokasyny. Zapytałem, jak mam do niego mówić. – Sam – odpowiedział. – Każdy Murzyn w książce nazywa się Sam – i błysnął zębami. Kiedy ruszyliśmy mówił, że jest kawalerem. W Amboseli przyznał się do dwóch żon. W Tsawo było ich już trzy. Jedną – pewnie najładniejszą – przedstawi nam ostatniego dnia odwożąc na lotnisko. Bardzo miły. Często go wspominam.

Najpierw jechaliśmy szosą o porowatej nawierzchni w kierunku na Mombasę, a potem skręciliśmy w prawo i brnęliśmy coraz gorszą drogą w kierunku Namangi położonej już nad granicą Tanzanii. Nie ujechaliśmy kilkunastu kilometrów od Nairobi, a już zobaczyliśmy stada antylop pasących się spokojnie obok szosy. Trochę dalej przechadzały się dziesiątki gnu o wielkich brzydkich łbach przemieszane z impalami, najbardziej uroczymi zwierzętami, jakie żyją na ziemi. Patrzyły bez zdziwienia na auto i na nas. Nagle największa odwróciła głowę i jakby popisując się pogalopowała z niewysłowioną płynnością i dystynkcją. Znowu zatrzymała się i patrzyła życzliwie na poruszający się pojazd. Samuel przyhamował, a my pstrykaliśmy zdjęcie za zdjęciem.

Jechaliśmy dalej. Obok szosy defilowały strusie, z pobocza podrywały się kolorowe ptaki. O kilometr dalej przemaszerowało przez drogę stado zebra. Zwalnialiśmy podnosząc tumany kurzu. Wychylaliśmy się z aparatami w rękach. Przeszły, nawet nie odwróciły łbów. Sam prowadził szybko i pewnie. Patrzył przed siebie, ale widział wszystko, co dzieje się wokół. Pokaże mi pierwszego nosorożca – ciemny, nieruchomy kontur, w który wpatrywałem się z odległości zaledwie 50 metrów myśląc, że to duży kamień. Był jasny, słoneczny dzień. Powietrze zastygło w słońcu. Po obu stronach posuwającego się samochodu rozciągała się łagodnie sfalowana przestrzeń o kolorach jasnej zieleni i krwistej rudości. Sam wytracił szybkość i nie wiedzieliśmy, czemu to robi. Spośród akacji o ściętych koronach przypominających kształtem gigantyczne rydze raptem wyłoniły się długie szyje żyraf. I one stały spokojnie przy drodze. Pozowały nam poruszając łagodnie głowami. Przekrzywiały je, jakby się czemuś dziwiąc, tylko jedna największa była czujna. – To jest mama – powiedział Sam. – Teraz róbcie zdjęcia. Matka poruszyła się gwałtownie i jak na zwolnionym filmie przesuwiała się wśród drzew, teraz najpiękniejsza – właśnie w ruchu, kiedy zaczynała płynąć. Nie znajduję innego określenia dla biegnących żyraf.

Byliśmy dopiero o kilkadziesiąt kilometrów od Nairobi, a mimo to zadziwiający był ogromny ruch w buszu ciągnącym się po obu stronach drogi. Ciągłe coś przebiegało albo wychylało się spoza zarośli. – Znowu impale. A to orzeł. Gnu. Macie znowu żyrafy. Tam zebry i thompsony, a tam w lewo przy drzewie – kudu. W górze orzeł. – Uważajcie, nosorożec! A tam dalej bawoły – informował spokojnie Sam i uśmiechał się. A przecież dopiero mieliśmy dojechać do naszego pierwszego postoju w Amboseli. – Tam będą słonie i lwy – mówił kierowca. – Następnego dnia w Kilaguni zobaczycie hipopotamy i krokodyle. Można zbliżyć się do nich na kilka kroków, ale trzeba uważać. Wy chcecie przede wszystkim lwy. Trzeba mieć szczęście, żeby zobaczyć lwa z bliska. Ale ja mam szczęście.

Po niebie przesuwwały się pierzaste chmury. Za samochodem rozciągał się długi warkocz kurzu – jedyna szara plama, wąski pas szarości na tle najrozmaitszych odcieni brązu, czerwieni i zieleni. – Jeśli nie nadciągną chmury, niedługo zobaczycie Kilimandżaro – powiedział Sam, kiedy przebyliśmy następną porcję kilometrów. – Ta ciemna plama ponad horyzontem, to podnóże Kilimandżaro. Szczyt jeszcze w chmurach. Ale chyba się znowu dziś przejaśni.

Krajobraz nabierał z wolna płowego koloru. – Jak sierść lwa – powiedziała Aleksandra. Mało mówiliśmy. Słuchaliśmy informacji kierowcy i kiwaliśmy głowami przytakując, że widzimy, nawet jeśli czegoś nie dostrzeżliśmy.

Czasem skrajem drogi szedł samotny mężczyzna, czasem było ich dwóch. Bardzo wysocy i chudzi o pięknych głowach na wysmukłych szyjach. Nieśli włócznie i tarcze ze skóry, plecy

i piersi okrywały im krótkie, czerwone suknie. To byli Masajowie. Sam nie zatrzymywał wozu. – W Namandze będzie dużo Masajów. Nie opędzicie się od nich. W Namandze kupicie taką samą włócznię i tarczę.

Dokąd szli skrajem drogi płynnym, dostojnym krokiem zmierzając ku niewiadomemu celowi? Zejdą na bok, zatrzymają się, kiedy przejeżdżać będzie samochód. Uniosą czerwone szaty, by zasłonić oczy przed kurzem. Wesprą się na włóczniach. Smukłe, ciemne posągi. Jak opisać ich sposób poruszania się, kolor skóry, wyraz oczu, barwę tatuaży?

Po półgodzinie zobaczę znów w oddali szybko zbliżające się czerwone punkty. Będą rosły i rosły, aż ukażą się z bliska masajscy wojownicy. Do Namangi było już niedaleko. Szybko ich doścignęliśmy. Tym razem było ich trzech, a wszyscy wysocy, młodzi i urodziwi. Uwagę zwróciły przede wszystkim ich uszy, podziurawione, wyciągnięte, zwisające niemal do ramion czarne pętelki. Ruszyliśmy nieco szybciej, a najmłodszy rzucił się za nami w pościg pokrzykując wesoło. Sam to zwalniał, to przyspieszał, wychylił się i odkrzykiwał coś goniącemu. Chłopiec biegł w kurzu długim, elastycznym krokiem unosząc lekko włócznię i tarczę.

– Już dosyć, nie męcz go – wołaliśmy do kierowcy. – Przecież go nie zabierzemy.

– On jest młody, ma najwyżej czternaście lat i lubi się tak bawić – odpowiedział Sam, ale zaraz przyspieszył i chmura kurzu przysłoniła sylwetkę chłopca. Poruszyła mnie ta scena. Czy już ją gdzieś widziałem? I wtedy przypomniały się piękne stronice Hemingway'a z „Zielonych Wzgórz Afryki”. Opisał tam przepięknie taki sam pościg. Kraj, któremu ofiarował połowę swej duszy. Ta połowa została na zawsze wśród tych zielonych wzgórz, u stóp zaśnieżonego Kilimandżaro. Co sprawiło, że skromna Dunka Karen Blixen, którą losy rzuciły do samotnego domu opodal Nairobi, właśnie tu, pośród tych ludzi, tych zwierząt i tej przyrody odkryła w sobie najczystszy talent literacki i spisując codzienne życie kobiety na farmie, dała tak piękną książkę, jak „Pożegnanie z Afryką”. Hemingway powie później, że czułby się szczęśliwy, gdyby to Karen Blixen, a nie on, otrzymała nagrodę Nobla. Napisała o Kenii, że przez cały czas miała uczucie, jakby przebywając tu żyła wysoko w powietrzu. „Jestem tu, gdzie powinnam być”.

– Wiecie – powiedział nagle pan Franek – jak patrzyłem na tego malca, ładny malec, wyższy ode mnie o dwie głowy – to zaraz przypomniał mi się Keyno i ten Ipcho, którzy tak szybko biegali na olimpiadzie.

W Namandze kupowaliśmy włócznie, tarcze, koraliki, figurki słoni – a wszystko pachniało tak jak ten kraj. Namanga to masajska wioska położona na samej granicy, najbliższe wzgórze leżą już w Tanzanii. Mały hotelik i stragany. Domki przypominające ni to ule ni namioty. Setki kobiet i mężczyzn kręcą się wszędzie. Kobiety zakrywają piersi na widok przybyszów. Sprzedawcy są agresywni. Mają niesamowite ale dobroduszne oczy. Jeśli dotknie się ręką jakiejś rzeczy leżącej na rozciągniętej na ziemi macie – już nie puszcza. Będą namawiać, zachwalać cenę, a ich mowa rąk jest tak przejrzysta, że mimo woli kupujący podejmuje dialog gestów i zaczyna się toczyć długi targ pełen niuansów. Rozmowa kończy się z reguły zwycięstwem sprzedawcy.

Jedziemy dalej. Jedziemy przez ogromną niezmierną płaszczyznę. – To wasz step? – pytam Sama.

– Nie, to słone jezioro. Lake Amboseli – wskazał palcem na wargi i oblizał je. Zrobiłem to samo, poczułem smak soli. – Jak spadnie deszcz, nie można tędy przejechać. Godzina deszczu wystarczy i jest znów jezioro.

Największa płaszczyzna, jaką widziałem w życiu. Tylko z jednej strony zamykała ją góra sięgająca aż po błękit. Na szczycie biały wielki obwarzanek jak fantazyjna chmura. Przed nami pojawiło się Kilimandżaro. Na brązowej równinie pasą się antylopy. Ze wszystkich stron wirują wysokie pióropusze piasku, jak dymy z kominów nie istniejących sadyb ludzkich. Idą prosto w górę. Nieodczuwalny na twarzy wiatr porywa piasek i kręci w spiralę. Jakby ktoś bawił się lassem, zaczarowywał je i stawiał pionowo na wysokość kilkunastu metrów.

Z ziemi i nieba szedł straszliwy żar. W pewnym momencie ktoś z nas zawołał: – Patrzcie, o tam, jezioro! Skąd wzięły się tu nagle zielone drzewa? Istotnie po lewej stronie w oddali wśród piasków i kamieni rozciągała się ciemnozielona toń wody a wokół kępa drzew. – O tam, w prawo to samo!

– Fata morgana – powiedział Sam. – Najbliższa woda jest dopiero w Amboseli. Basen do pływania także – uśmiechnął się – i woda w kranie, prysznice i coca-cola w barze.

Każdy z nas jadących widział tę samą fatę morgana. Patrzyliśmy z nadzieją i niewiarą razem na wyraźnie widoczne drzewa i rozlewiska wody. Przesuwały się wraz z nami, były wciąż w tej samej odległości.

Zatrzymaliśmy się na kwadrans, bo zaczęło się dziać coś złego ze sprzętem. Wyszliśmy rozprostować nogi, a Sam zabrał się do reperowania. Pochyliłem się nad leżącym opodal wyschniętym szkieletem. Spojrzałem na kierowcę. – Gnu?

– Nie, zebra – powiedział Sam – przecież gnu ma zupełnie inną czaszkę. Było tak gorąco, że i on wreszcie rozluźnił na szyi apaszkę ze słoniami.

Amboseli. W tej niewielkiej osadzie, przeznaczonej dla myśliwych oraz zwolenników Foto Safari, zwanej Lodge'a kręcono w swoim czasie „Elżę z afrykańskiego buszu” i niektóre sceny z filmu „Śniegi Kilimandżaro” z Gregory Peckiem. Kilkanaście drewnianych domków luksusowo urządzonych, w każdym pokoju rozpylacz przeciwko robactwu, wszędzie biegają jaszczurki i dlatego w oknach wiszą szczelne siatki. Ale w ogóle to luksus. Jest basen z błękitną taflą wody. Spora restauracja, gdzie zjedliśmy zaraz dobry obiad. Rozsiedliśmy się na leżakach. Pomiedzy domkami spacerowały pawiany. Opodal widać było małe lotnisko. Stały dwa małe samolociki, obok wznosiła się drewniana budka i trzepotał płócienny rękaw umieszczony na drewnianej żerdzi. Zamierzaliśmy trochę odpocząć. Słońce stało wysoko i było jeszcze sporo czasu na przejażdżkę. Sam powiedział, żebyśmy dobrze przygotowali aparaty fotograficzne, zakręcił się i gdzieś znikł.

W tej chwili spokoju wypłynął wreszcie temat zbliżającego się rajdu. Jan uspokajał pana Franciszka, że wszystkie samochody sprawdzone są należycie, a pancerze z blach, jakie założono na podwozia przed paroma dniami w Nairobi – w fabryce narzędzi rolniczych, gdzie całą dyrekcję stanowili polscy inżynierowie, są należytej grubości. – Nie za grube i nie za cienkie, takie jak trzeba. Wytrzymają nawet mocne uderzenie o wystający kamień. Pan Franek kiwał głową i choć miał jechać w rajdzie już po raz czwarty, bo we wszystkich poprzednich pilotował właśnie Janowi, wyczułem, że wcale nie jest uspokojony. Aleksandra zabrała męża i poszli trochę odpocząć.

– Jest szczęśliwa, że wreszcie widzi Kenię – powiedział pilot. – Jest bardzo szczęśliwa, że zobaczy rajd i wreszcie nie będzie musiała drzeć o niego, że złamie kark. Co ona się namęczyła przez te lata! Nie mogę zrozumieć, powinna być kłębkim nerwów, a zawsze taka pogodna i uśmiechnięta.

Zapytałem pana Franka czy jest żonaty. – Byłem. Rozwiodłem się. Mam siedmioletniego syna. Jan bardzo mi zazdrości. Jakoś nic do tej pory im się nie urodziło – powiedział.

Wyczuwało się, że lubi Jana, że Jan mu imponuje. Zapytałem wtedy, jak właściwie było z tym zakończeniem kariery. Byłem na ostatnim rajdzie, kiedy jechali jeszcze razem, słyszałem o ich przygodach, ale jak było naprawdę, właściwie nie wiem. Tyle różnych wersji mówiono i pisano wówczas na temat Jana.

Pan Franek najpierw udał zdziwienie, że nie wiem, a potem dodał: – To dłuższa sprawa. Jeśli pan chce, to kiedyś o tym pogadamy. Wolałbym po rajdzie. Przecież pan zostaje z nami. Wracamy razem, prawda?

Wstał z leżaka i spacerował wokół. Koło sąsiedniego domku defilowała po trawie para pawianów z małymi i dochodziły stamtąd dziwne odgłosy przypominające kwilenie dziecka.

Miałem z Janem zasadniczą rozmowę i nie ma żalu, że jadę teraz z Mariuszem – powiedział nagle pilot. – Ostatecznie jeździmy dla jednej fabryki. Fabryka wszystko finansuje. Jan

rozumie, że dzięki temu przyjechałem tu jeszcze raz. Start z Mariuszem to bądź co bądź spora szansa dla mnie. Jeździ naprawdę świetnie. Jan powiedział, że w ogóle nie interesuje go „psychologia”, że tyle razem z nim jeździłem, a teraz będę startował z tamtym. Przyjacielskie stosunki czasami przeszkadzają w rajdzie – mówił Jan. Takie cackanie tylko rozkleja. Niekiedy lepiej się jedzie właśnie na kontrze. To dlaczego nigdy nie pojechałeś z Mariuszem? – zapytałem Jana. – Mariusz marzy o tym, prosił cię, zabiegał, nie pamiętasz? Przecież pan wie, jak to z nimi było – i pan Franek spojrzał na mnie badawczo.

– Tak, wiem, jak z nimi było – przytaknąłem.

Zjawił się Samuel oznajmiając, że najwyższy czas, aby ruszyć w drogę. Był w świeżutkiej koszuli, na szyi miał teraz żółtą apaszkę w małe obrazki brązowych lwów. Zaraz przyszedł Jan z żoną. Wsiadliśmy w samochód i zaczęliśmy objeżdżać okolicę. Skręciliśmy z bitej, wyboistej drogi na wąską ścieżkę, by za chwilę zjechać z niej wprost w busz. Nie ujechaliśmy i kilometra, gdy nagle Sam zatrzymał pojazd, ale nie zgasił motoru, wyciągnął rękę i wskazał na zarośla oddalone zaledwie o kilka metrów. Sięgnął spokojnie po leżący obok sztucer, położył na kolanach i delikatnie go odbezpieczył. Patrzyliśmy z zaciekawieniem w wykrot przysłonięty opadającymi gałęziami, ale nic nie dostrzegliśmy.

– Tu, pod gałęziami – szeptał Sam.

Pan Franek miał chyba najlepsze oczy, bo pierwszy zawołał: Są! Gepardy! Dwa! Samuel położył palec na ustach. Byliśmy ogromnie podnieceni. Dopiero teraz rozpoznaliśmy na tle rudawej ziemi pocętkowane, płowe sylwetki dwóch wielkich kotów. Dyszały ciężko, choć było tam na pewno chłodniej. Patrzyły na nas i na samochód. Sam wziął z rąk Aleksandry aparat, nacelował i pstryknął – Ja chcę też!

– Cicho – powiedział. Przekręcił rolkę, nastawił obiektyw i podał ostrożnie aparat kobiecie. Musiała wychylić się trochę z samochodu. Sam wstał z fotela i czujnie patrzył trzymając w obu dłoniach sztucer. Gepardy leżały nieruchomo. Aleksandra zrobiła zdjęcie i podała aparat mężowi. Jan pstryknął i oddał go mnie i tak po kolei fotografowaliśmy zwierzęta.

– Dosyć – zakomenderował Sam. Wrzucił pierwszy bieg. Odkupił sprzęgło. Samochód drgnął, ale nie ruszył z miejsca. Znow drgnął, koła zabuksowały, ale samochód nie ruszył. Teren był piaszczysty, widać nierówny, obsunęliśmy się trochę i koła natrafiły na większe wgłębienie. Sam powtórzył manewr po raz trzeci, czwarty i piąty. Nic. Staliśmy unieruchomieni. Niezbyt przyjemna była to chwila. Co robić? Jak wysiąść w tej sytuacji, aby wypchnąć samochód? Było nas czterech mężczyzn, do diabła wszyscy kierowcy, a dwóch kierowców wręcz znakomitych. Ale jak wyjść i kto będzie chciał wyjść? O kilka metrów leżały dwa gepardy. Większy, widać rozdrażniony wzmagającym się warkotem, uniósł łeb i patrzył nieprzyjaźnie w naszą stronę. Otworzył pysk i oblizwał się. Spojrzałem na Sama i poczułem się jeszcze bardziej zaniepokojony. Jego czarna twarz zrobiła się szara i pojawiły się na niej duże krople potu. Uśmiechnął się nerwowo. Jeszcze raz powtórzył manewr. Zachybotaliśmy się gwałtownie, coś zastukało pod spodem auta, coś huknęło i zaczęliśmy się wolno gramolić. Metr, drugi. Znow coś stuknęło, tylne siedzenie opadło gwałtownie, ale koła schwyciły równiejsze podłoże i wolno posunęliśmy się do przodu. Tak, jechaliśmy! Hurra! Brawo Sam! Zarośla były już o 15 kroków za nami, już dwadzieścia. Jechaliśmy stale na pierwszym biegu.

Żartów było potem co niemiara. Oczywiście, to Sam wysiadłby i wypychał samochód. – Nie martw się Sam, pan Franek w razie czego by cię obronił. Strzela jak kowboj. Jednym strzałem z biodra.

– I zamknęliby go. Nie macie pozwolenia na strzelanie gepardów – odcinał się nasz kierowca.

Ciekawe, ale po tej niezbyt przyjemnej przygodzie nabrał jeszcze większego animuszu. Zataczał coraz szersze kręgi wśród niskich zarośli, zapuszczał się głębiej i głębiej. Nie odsuwaliśmy się co prawda daleko od naszego campu, lotniska i sąsiadującej wioski. Zresztą nie było potrzeby. Dwa kilometry dalej natrafiliśmy na spore stado słoni i podjechaliśmy na taką

odległość, że gołym okiem widać było trąby i ogromne uszy. Znów zatoczył szeroki łuk i na sporej polanie nad krętą rzeczką wolno, ostrożnie, jakby się skradał, podjechał do stada bawołów. Zaraz najspokojniej wmieszał się między ogromne zwierzęta. Pomrukiwały i odsuwały się sprzed maski samochodu dając nam drogę. Nie chciałem myśleć, co by się stało, gdyby zwarły się i nacisnęły samochód ze wszystkich stron.

Sam oszalał tego popołudnia. Może zawstydził się swego przestrachu podczas spotkania z gepardami. Czuł się winnym i było mu wstyd, że nie umiał za pierwszym razem wyjechać z rozpadliny i to na oczach słynnych rajdowców. Popisywał się więc teraz. Zdaje się ogromnie mu imponowało, że wiezie uczestników rajdu. A poza tym był w ogóle bardzo miłym młodzieńcem i chciał nam pokazać jak najwięcej.

Przed zachodem słońca, kiedy pora była już wracać, bo po godzinie osiemnastej nie wolno przebywać w buszu, a nawet poza domkami, zobaczyliśmy w płytkim zagłębieniu pod kępą rozłożystych drzew dwa lwy. Ona siedziała spokojna, ale czujna, on leżał sennie na grzbiecie pokazując pełny brzuch. Odbywały sjęstę. Ścieżka była równa i twarda, podjechaliśmy więc na siedem metrów. Oczywiście sfotografowaliśmy je, ale nie byliśmy pewni, czy nasze zdjęcia się udały. Królewska para odpoczywała w gęstym cieniu i namęczaliśmy się, aby nastawić odpowiednie światło.

– Mam szczęście? – zapytał Sam, kiedy wjeżdżaliśmy między nasze domki. – Mam – odpowiedział sobie, nie czekając na potwierdzenie. – Sam ma szczęście, a wy jesteście z Samem! Najlepsze Foto Safari to jest Foto Safari z Samem.

Zaparkował samochód. Szliśmy szybko w zapadających ciemnościach do baru, aby coś zjeść. W restauracji siedziało kilka osób. Anglicy i Niemcy z RFN poubierani w koszule i szorty koloru khaki.

Po ciemnym oknie przesuwiał się czerwony odblask. Kiedy wyszliśmy, kierując się w stronę naszych kwater, musieliśmy przejść obok wielkiego ogniska rozpalonego przy głównej ścieżce. Było teraz chłodno. Dwaj Murzyni, przechadzający się wokół ognia, uzbrojeni w sztucery ubrani byli w grube płaszcze, a jeden zarzucił na ramiona kraciasty pled. Pałą tak przez całą noc? – zapytała Aleksandra. – Nie bój się – powiedział mąż. – Dlatego że pałą, nic tu nie przyjdzie.

Choć szliśmy całą grupą i to po ścieżce, przyznam, że nie był przyjemny ten krótki spacer. Trochę się nawet dłużył. Przestrzeń najwyżej dwustu metrów od restauracji do naszych kwater wydawała się długa na kilometr. Było niemal zupełnie ciemno. Światło od ogniska szło w górę rzucając na niebo różowy odblask. Teren porosły był ogromnymi drzewami i po przebyciu kilkudziesięciu kroków utworzyły one ścianę odgradzającą nas od uzbrojonych wartowników, a Sam zostawił swój sztucer w samochodzie. Odprowadził nas do samych drzwi i wrócił z powrotem. Jan z żoną rozgościli się w przedostatnim domku, a mnie z panem Frankiem przypadł ostatni na skraju, bo tak przydzielili w recepcji, widać inne były zajęte.

Rozeszliśmy się do swoich kwater. Rozpakowaliśmy ręczne bagaże, wzięliśmy tusz i położyliśmy się, ale nie mogliśmy zasnąć. W końcu pan Franek wstał i sięgnął po grubo zeszyt gęsto zapisany hieroglifami. – Jeszcze przejrzę to sobie – powiedział. – Nie przeszkadzam? Widzę, że i pana odszedł sen.

– Tak. Chętnie pogadam, jeśli nie będę panu przeszkadzał.

Usiadł obok na łóżku. – Zrobię panu mały wykład. Proszę spojrzeć – wskazał na zeszyt. „Lewy ciągły trzy pełny gaz do lewy ciągły trzy wyjście, dno przed szczytem hamowanie i prawy dwa gaz”. Teraz rozszyfrujmy to i przełożmy na normalny język, aby było zrozumiałe dla kogoś, kto czasem jeździ sobie samochodem – mówił. „Lewy” – to znaczy, że oczywiście zakręt idzie w lewo, a więc Jan... nie, nie Jan, Mariusz musi ustawić się do tego zakrętu. Zaznaczyłem: „ciągły”, bo nie może przejść zakrętu jednym ruchem kierownicy, gdyż nastąpi zaraz kilka poślizgów. „Trzy” oznacza, że jedziemy na trzecim biegu. Jasne? „Pełny gaz” – to także jest jasne. „Do lewy ciągły” – tak jest tu zanotowane, bo następny to jest trochę ciągły

zakręt i musimy wyjść na pełnym gazie. To też zapisałem: „dno”. „Przed szczytem” – tak określamy ostatni punkt widoczności.

Przewracał kartki brulionu zapisane hieroglifami. Stawiał te umowne znaki dzień po dniu w czasie treningowych jazd.

– Tu jest zapisane kilkaset stron – odezwałem się. – Czy to się będzie zgadzać, jak będziecie jechać w rajdzie?

– Jak będą inne warunki atmosferyczne, czasem może się trochę nie zgodzić. Trzeba będzie wtedy robić w czasie jazdy małe korekty.

– Tu stale powtarzają się te pralki – wskazałem palcem na oznakowanie. – Strasznie łomocę wtedy autem. Ile idziecie po pralkach?

– Jak jest prosta, 170 km albo więcej.

– Rajd trwa ponad 50 godzin licząc samą czystą jazdę. Przez cały czas pan dyktuje? Nagada się pan.

– Nagadam się. W czasie jazdy sporo się także pije. Pije się wprost z butelki i za okno w busz.

– Panie Franku, czy czasem rozmawiacie o czymś innym. Akurat lepsza droga. Wszystko idzie dobrze. Można się rozluźnić. Jakiś żart, dygresja?

– Z Janem nigdy nie rozmawialiśmy. Nie lubił. On tylko jedzie. Czasem coś powie ekstra, albo ja coś powiedziałem poza dyktandem. Próbowałem go wciągnąć. Obcinał. Strasznie obcinał. Był nieprzyjemny. Rzadko pozwalał na jakieś wstawki poza brulionem. Musiało się coś dziać szczególnego. Ktoś nagle nas atakował w kurzu, albo kiedy jechaliśmy długo za kimś i nie było sposobu wyprzedzić. Decydował nagle. – Idziemy! – mówił. I szedł. Wyszedł, przedarł się przez kurz. Milczałem. Wtedy sam zaczynał. – Co nic nie mówisz? Powiedz coś. Taki gaduła i milczy.

– A Mariusz jaki jest?

– Sympatyczny. Dowcipny. Inteligentny chłopak. Świetny kierowca. Kiedy jeszcze Jan jeździł, a tamten w ogóle nie miał dwudziestu lat, nieraz wygrywał odcinki specjalne ze wszystkimi. Po mieście jeździł jak nikt. Przepuszczał ludzi na pasach, elegancko zapraszał ręką, ale potem tak jechał, że każdemu wbił. Powiedzmy na trasie Telewizja–AWF. Woronicza i Bielany. Ile to będzie kilometrów? Mało. A wbił ponad sto sekund. Dobranoc.

Natychmiast zasnął. Choć moskitiera dawała zadziwiające uczucie bezpieczeństwa oraz całkowitego odgródzenia od świata od przesiąkniętego obcym zapachem lepkiego powietrza, w którym stale coś fruwało i bzykało, mimo gęstych siatek w oknie i dokładnie zamkniętych drzwi, długo nie mogłem usnąć. Za oknem stała nieruchoma ciemność. A kiedy zdawało mi się, że już wolno zaczynam zapadać w nią i rozplýwać, raptem zaczęło coś stękać za ścianą, przy której leżałem, coś innego odpowiedziało ni to jękiem ni warknięciem, coś zaczęło się śmiać, a jeszcze coś mrużyć, a potem zawodzić. I tak ożywał nocą busz, zaczynał pulsować. Rozpoczęły się łowy, toczyły się pojedynki na śmierć i życie. Pan Franek oddychał spokojnie, a ja zanurzałem się w sen zachwycony i zdziwiony, że przeżywam po raz drugi niezapomnianą chwilę z dzieciństwa. Pokój na Polnej w Warszawie. Mała lampka nad łóżkiem. Czytam „W pustyni i w puszczy”. Jestem Stasiem. Pan Franek chrapnął głośnie. Leżał na wznak i poruszał śmiesznie jasnymi węsami. Muskularna noga wysunęła się spod koca. Pochrapywał głośno. Skrzywił się raz i drugi, widać śniło mu się coś nieprzyjemnego. „Złotowłosa Nel” – pomyślałem przyjaźnie o znakomitym nawigatorze. W jednym z poprzednich rajdów, kiedy wraz z Janem dotarli do Dar es-Salam wciąż na pierwszym miejscu, nasi marynarze ze statku, który akurat stał w porcie, podbiegli do ich wozu, dźwignęli i podrzucili w górę. Potem zabrali się za kierowców. Kiedy postawili ich w końcu na nogi, rajdowcy omal nie osunęli się, tak byli zmęczeni potworną jazdą. Nogi mieli sztywne od wielogodzinnego siedzenia, byli brudni, zaróżnięci, w półprzytomni. Jednak inaczej wygląda na mecie sprinter, a nawet maratończyk lub szosowiec, nie mówiąc już o szachiście, kiedy po ciężko wygranej partii wstaje od stołu.

Szalony, piękny pomysł, aby zorganizować Rajd Safari narodził się Wielkanocą 1952 roku, kiedy Kenia była jeszcze brytyjską kolonią. Akurat w lokalu tamtejszego automobilklubu odbywały się małe party, małe, gdyż klub nie liczył wówczas zbyt wielu członków. Tamtejsi sportsmeni przeważnie interesowali się polowaniem i golfem. Życie płynęło im dostatnio ale nudno. Jeden ze sportsmenów, niejaki Bob Henderson nosił już w sobie pewien pomysł od dawna i, jak mówią do dziś w Nairobi, podobno zapowiedział przyjaciółom, że w czasie spotkania wielkanocnego wreszcie go zdradzi. Był człowiekiem ruchliwym i żądnym czynu. Polowania już mu nie wystarczały, od pewnego czasu miał nową pasję – samochód. I oto zebrali się. Henderson rozłożył mapę i oznajmił:

Panowie, proszę spojrzeć, to jest ciekawa, choć niezbyt łatwa trasa. Zrobimy rajd przez całą Kenię. Ten wygra, kto przejedzie.

Zapadło milczenie. Podobno ktoś stuknął się palcem w czoło. Ale Henderson, choć Anglik, był tak zapalony, że w końcu przekonał wszystkich. Przyjęto propozycję i przystąpiono do wykonania planu. Wpierw ustalono termin. Postanowiono, że impreza będzie się odbywać raz w roku i to właśnie podczas świąt wielkanocnych. Wzięto się tak energicznie do realizacji pomysłu Hendersona, że już w rok później rozpoczął się pierwszy rajd i na starcie stanęło aż 57 załóg. Trasa wynosiła 3138 kilometrów. Tworzyła jedną dużą pętlę rozpoczynającą się i kończącą w Nairobi. Nikt nie dojechał do mety. Busz pokonał automobilistów. Ostatnia załoga odpadła na 350 kilometrów przed Nairobi. Niedobitki zjawiły się w tym mieście dopiero w dwa dni po świątach. Ale organizatorzy byli zadowoleni. Pierwsza próba była, ich zdaniem, sukcesem. Bądź co bądź rajdowcy i tak pokonali duży dystans ponad 2700 kilometrów. Postanowiono wyłonić zwycięzcę. Był nim ten, który dotarł najdalej. Pierwszym triumfátorem został A. M. Dix z pilotem J. W. Larsenem, jechali na volkswagenie. Rychło europejscy kierowcy dowiedzieli się o nowym rajdzie i bez namysłu postanowili przyłączyć się do walki. Rajd Safari rozrósł się więc szybko. Najpotężniejsze firmy samochodowe i najsłynniejsi kierowcy brali i biorą w nim udział. Długo nie mogli pokonać miejscowych załóg. Minęło równo dwadzieścia lat, kiedy dopiero po raz pierwszy zwyciężył zamorski gość: porywająco, twardo, niemal brutalnie jadący wówczas 30-letni Fin Hannu Mikkola na fordzie RS 1600. Miał za pilota jednego z najbardziej opanowanych nawigatorów – o dwa lata starszego Gunnara Palma. Potem karta odwróciła się na tę samą stronę i znów pierwsze miejsca wywalczyli kierowcy z Afryki. Wygranie Safari daje wielką sławę. Większość rajdowców boi się i kocha Safari.

Następnego dnia Sam znów powiózł nas w busz i znowu miał szczęśliwy dzień a my wraz z nim. Akurat pan Franek opowiadał coś zabawnego, a Aleksandra głośno się śmiała, gdy nasz kierowca zaczął machać rozpaczliwie ręką, żebyśmy siedzieli cicho. Tylko przez sekundę zdążyliśmy zobaczyć z odległości 50 metrów dwa młode lwy siedzące na skale. Natychmiast znikły. Długo krążyliśmy szukając ich między drzewami, lecz napotkaliśmy w zaroślach jedynie nosorożca. Stał ponury i zamyślony. Na jego grzbiecie siedziały duże, białe ptaki i spokojnie wydziobywały z karku robactwo. Zrobiliśmy kolejną serię zdjęć i dalej w drogę. W godzinę później pośród smętnych baobabów zobaczyliśmy siedzącego na gałęzi sępa. Murzyn dał znak, żeby być cicho i teraz nie śmiał się, był poważny. Począł zapuszczać się głębiej i głębiej pokonując ostrożnie nierówności terenu. Nikt już nie odzywał się w samochodzie. Było jakoś smutno i groźnie. Na następnej kępie drzew siedziały chmary sępów. Obrzydliwe ptaki o nagich szyjach i wielkich zakrzywionych dziobach spoglądały w dół. Dostrzeżliśmy ścierwo żyrafy. Obsiadało je kilkanaście sępów. Te żarły, a tamte w górze czekały na swoje.

– Tu był niedawno lew – powiedział Sam. Zatrzymał się i wskazał na ziemię. Była zryta, widać było wgłębienia, a wokół małe punkciki, wyraźne ślady pazurów i kopyt. – Tu się na nią rzucił i tu się broniła – tłumaczył.

Tego samego dnia odwiedziliśmy inny camp i spędziliśmy tam znów półtora dnia. Jan po raz trzeci zatelefonował do Nairobi i przyniósł te same wieści, które otrzymał w Amboseli.

Wszystkie załogi trenują i punktualnie łączą się telefonicznie z centralą. Są zdrowi, z samochodami nie ma kłopotów. Tylko leje. Spadły ogromne ulewy. Stawiają się na zbiórkę na 48 godzin przed startem. Pytali co u nas, Jan odpowiedział, że także OK.

Ten drugi camp nazywa się Kilaguni i leży bardziej na południe od Kilimandżaro. Na niewielkiej ogrodzonej przestrzeni stoi kilka domów krytych taką samą strzechą jak chaty w wioskach murzyńskich, ale wewnątrz czysto, jest obszerna restauracja i sklep z pamiątkami. Z tarasu na tyłach głównego budynku, jak z łoża trybuny honorowej ogląda się afrykańską faunę i florę. Przesuwam wolno wzrok po ceglastej ziemi i seledynowych zaroślach, po kamiennych korytach wyschniętych strumieni i ciemnozielonych koronach drzew samotnie stojących. Kiedy łagodne wzgórze porośnięte roślinnością o różnym kolorystyce gałęzi i liści obleje strumień promieni słońca – wszystkie te barwy wydają się tworzyć wielki, niezmierny arras utkany przed setkami tysięcy lat milionami rąk najsubtelniejszych artystów. Siedzimy na tarasie. Nikt nic nie mówi. W odległości pięćdziesięciu kroków za niewysoką palisadą widać trzy stawy. Przychodzą tu do wodopoju o określonej porze najpierw słonie, potem zebry, a jeszcze później impale. Impale zmieniają się po kwadransie z thompsonami, a te z kolei ustępują miejsca małpom. Tuż za balustradą, oddzielającą nas siedzących w wiklinowych fotelach, spaceruje nieprzebrane mrowie marabutów. Czasem ktoś rzuci im kawałek mięsa, czasem ptaszysko błyskawicznym ruchem dzioba porwie przelatującego ptaszka i zaraz widać, jak ofiara wolno przesuwa się w dół wygiętej szyi. Marabuty kąpią się w stawie, wychodzą na brzeg, rozkładają skrzydła i suszą je w słońcu stojąc nieruchomo na wysokich, sztywnych jak szczudła nogach. Kolorowe ptaszki siadają na naszych stolikach i towarzyszą nam przy posiłku.

Odwróciły się role. To my siedzimy za ochronnym ogrodzeniem jak w ZOO, a zwierzęta nas obserwują. One są na wolności, my w zamknięciu. Nie wolno nam wstać i przejść przez palisadę. Możemy poruszać się po tych terenach tylko w samochodzie. Zwierzęta bacznie przyglądają się ludziom, są spokojne ale czujne. Zbliżają się czasem do palisady i patrzą na nas ciekawie, czasem obojętnie, jak bywalcy w ZOO. My siedzimy nieruchomo na wyniesionym w górę tarasie, odgradzeni od nich ze wszystkich stron.

Bez większych przygód wróciliśmy punktualnie do Nairobi i rozgościliśmy się z powrotem w naszej pierwszej głównej kwaterze, do której zawitaliśmy zaraz po przylocie. Wybrany dla naszej ekipy hotel był raczej niedrogi i położony dość daleko od centrum, ale od razu przypadł nam do gustu. „Chiromoo” stoi przy szerokiej dwukierunkowej Ngong Road, arterii wylotowej biegnącej od sporego ronda, przy którym stoją dwa niewielkie nowoczesne kościoły – katolicki i protestancki. Po drugiej stronie wznosi się gmach starej poczty o szerokich schodach, kolumnach i kolumnienkach, w typowym stylu kolonialnym. Wszędzie kwiaty. Pełno kontrastów. Śródmieście europejskie, czy raczej amerykańskie, gdyż wystrzelają w górę wieżowce, pełno eleganckich sklepów, restauracji, sporo kin i hoteli. Na placach zbiegają się gwiaździste ulice. Po obu ich stronach ciągną się parapiętrowe domy o wystających wspartych kolumnami dachach chroniących od słońca i deszczu. Ruch samochodowy znaczny. Wystarczy jednak opuścić tę oazę cywilizacji i skręcić w jedną z węższych ulic, a już wszystko piętrowe lub parterowe, coraz mniej murowanych domostw. Przejdzie się jeszcze kilometr i raptem ze wszystkich stron wyłania się drewniana zabudowa. Zaułki i zaułeczki. Zamiast jezdni i chodników piasek albo błoto, w zależności od tego czy pada czy nie. Piękna pogoda, jaką mieliśmy w buszu, zmieniła się raptownie i teraz często pada deszcz. Bywało, że w ciągu dnia wielokrotnie przechodziła gwałtowna ulewa. Czasem trwała tylko pięć minut i znów wyglądało słońce. Niebo oczyszczało się z chmur. Przepędzał je wiatr, cichnął i w powietrzu zastygał żar. Szybko parowała ziemia. Tylko w miejscach stale ocienionych brązowożółta maź błota utrzymywała się długo. Po deszczu jeszcze mocniej pachniało to miasto. Przepiękne wonie szły z rozkwitłych drzew, bajecznie kolorowych klombów, trawników, parków i ogrodów okalających eleganckie wille. Za to w biedniejszych dzielnicach unosił się bez prze-

rwy dziwny zapach, nie tyle brudu i nędzy, ile jakaś ciężka i słodkawa woń sandałowego drzewa, ziół, mięsa, przypraw, słowem coś trudnego do określenia, coś co uderzyło od razu w pierwszej chwili, kiedy znaleźliśmy się na lotnisku po wyjściu z samolotu.

Hotel Chiromoo był to piętrowy budynek, położony o kilkanaście metrów od ulicy. Prowadził do niego dość szeroki podjazd dla samochodów, a przed głównym wejściem była mała werandka, na którą wchodziło się po kilku mocno wytartych stopniach. Po lewej stronie na trawie stały stoliki z parasolami, to była nasza restauracja. Podczas gorszej pogody jadaliliśmy wewnątrz w wąskiej, długiej salce, do której wchodziło się przez recepcję i niewielki hall, z którego prowadziły wahadłowe drzwi do sali dansingowej. Już od godziny piątej po południu dochodziły stamtąd dźwięki mechanicznej muzyki, a od 21 grała tam do tańca murzyńska orkiestra.

Honory domu czynił tęgi Kenijczyk główny portier i, zdaje się, współwłaściciel lokalu oraz niski, młody kelner, także urodzony w Kenii, który prawie zawsze podawał nam do stołu. To jeszcze nie był cały hotel Chiromoo. Jeszcze bardziej w głębi za wysokimi rozkwitłymi krzewami wśród pięknych drzew stał długi parterowy budynek i tam mieściły się pokoje dla gości. Obszerne, ale prosto urządzone. Parę kroków dalej był mały basen. Bardzo nam się podobało w tym raczej skromnym hotelu. Jedno tylko było okropne, przynajmniej dla mnie: jedzenie. Każda potrawa miała jakiś specyficzny smaczek i zapach. Męczyłem się z tym i towarzysze śmieli się ze mnie. Nie lubię egzotycznego jedzenia, a tu dominowała kuchnia afrykańska i hinduska. Ale było mi dobrze w Chiromoo, zresztą przyjemniej być stale razem, nie mówiąc już o korzyściach płynących ze stałego kontaktu z zawodnikami w ostatnich dniach przed ich ruszeniem w drogę.

Wszystkie nasze trzy załogi były już na miejscu. Mariusz, dwudziestokilkuletni młodzieniec wydał mi się jeszcze bardziej urodziwy. Opalił się w czasie treningów, wyglądał świetnie i tryskał humorem. Kupił sobie kapelusz myśliwski w kolorze khaki i nosił go fantazyjnie podwinawszy rondo. Na szyi miał kolorową apaszkę. W każdej wolnej chwili przesiadywał na pływalni grając w piłkę z czarnymi dziećmi i flirtując z Murzynkami. Nastrój, jak pamiętam, był w ekipie dobry. Obserwując Jana i Mariusza, kiedy rozmawiali ze sobą, trudno było domyśleć się, jak w istocie nie lubili się. Widać zawarli rozejm. Mariusz poprosił raz Jana przy wszystkich, czy zechciałby osobiście sprawdzić jego samochód. Jan bez słowa przerwał obiad, pojechał i spędził na przeglądzie chyba pięć godzin.

Nie lubili się, tak – ale były to przecież dosyć już odległe dzieje. Minęło kilka lat odkąd Jan przestał jeździć w rajdach. Zbliżał się do pięćdziesiątki i był typem mężczyzny, który nie usiłuje ukryć swego wieku. Zachowywał się jak człowiek już starszawy. Przytył i jego ruchy stały się powolniejsze. Nosił się nie za bardzo porządnie. Elegantem to Jan nigdy nie był. Teraz w Nairobi chodził w wymiętych spodniach i pogniecionej koszuli oraz w żółtej komicznej czapeczce. Zdejmował ją tylko do snu, jak żartował pan Franek i gdy siadał do stołu. Wtedy ukazywała się jego łysa jak kolano głowa. Mariusz był przystojnym i eleganckim młodzieńcem. Przypominam sobie, co raz o nim powiedziała Aleksandra. – Przystojny, ale w typie playboya. Takich nie brak wśród automobilistów.

Był z domu, jak mówiono, zamożny. Ojciec miał kiedyś sklep na Chmielnej, a potem interes rozrósł się i wybudował cieplarnię. Sprzedawał kwiaty.

W ostatni wieczór przed startem siedzieliśmy w czwórce nad mapą. Jan, pan Franek, Mariusz i ja. Patrzyłem na maleńkie odcinki i mikroskopijne linijki, jakieś kółka i podkreślenia. Mieli przed sobą dokładnie 51 godzin i 37 minut czystej jazdy, rozdzielonej kilkugodzinnymi odpoczynkami w punktach etapowych rozrzuconych na trasie liczącej 5277 kilometrów. Pierwsza pętla: z Nairobi do Mombasy. Potem bardziej w dół na południe i znów na północ przez góry – przez Lunga-Lunga, Kinango, Mariakani, i Maungu. Dotrą do Kibwezi skąd już niedaleko do mety pierwszego etapu. Będą znów w Nairobi. Druga pętla szła w kierunku Jeziora Wiktorii z metą w Eldoret. Na mapie odczytywałem tajemnicze nazwy maleńkich miej-

scowości, rzek, jezior i szczytów. Kimilili. Maga Maga. Mogonga. Jezioro Naiwasza. I wreszcie trzeci etap, ostatni. Trzecia pętla, na której zapewne rozstrzygną się losy. Ilu tam dojedzie, by wziąć udział w końcowej walce? Piekielne drogi u podnóża Mount Kenya od Lembolio przez Meru do Embu. Zakręty, zakręty, zakręty.

51 godzin i 37 minut czystej jazdy. Nie. Jechać będą dłużej, bo nie ma mowy, żeby się nie spóźnić. Każde spóźnienie – to krótszy odpoczynek. Teoretycznie założona szybkość przeciętna jest nieosiągalna, 114 kilometrów na godzinę. Dopuszczalne spóźnienie: w Mombasie 8 godzin, w Nairobi na mecie kolejnego etapu – 7 godzin. W Eldoret – 6. Coraz surowiej. Na przekór zmęczeniu ludzi i wozów.

– Tajemnicą sukcesu w tym rajdzie jest utrzymanie maksymalnej szybkości przy minimalnym zniszczeniu samochodu – mówił Jan. – Nazywali mnie kiedyś zimnym kierowcą. Może słusznie. Ale pamiętaj – zwrócił się do pana Franka, ale mówił to chyba nie tylko do Franka lecz do Mariusza – ostatnim razem, kiedy jechałem po niemal już pewne zwycięstwo, poniosło mnie. Przypominam to po raz dziesiąty. Pojechałem za szybko i pamiętasz, co zaczęło się dziać z oponami. Trzy wymieniliśmy, a potem spaliła się czwarta i nie mieliśmy zmiany. Czekaliśmy na pomoc – teraz Jan patrzył na mnie – krążył nad nami samolot pracujący dla Datsuna, przyglądali się i odlecieli. W końcu przyjechali ci z Citroena i dali nam oponę. Przyjechali późno. Tak przegraliśmy pierwsze miejsce.

Rajd Safari to jest właściwie wyścig nie rajd. Gigantyczna trasa podzielona na kilkadziesiąt odcinków, nie licząc głównych etapów; spóźnienia na mecie każdego odcinka sumuje się i to daje ogólną stratę minut, które rozrastają się w godziny. Kto straci najmniej, zwycięża.

– Jest kilkunastu faworytów – mówił Jan. – W wywiadzie dla miejscowej prasy, kiedy pytano mnie chyba nie tylko jako szefa naszej ekipy technicznej, postawiłem wczoraj znów na któregoś z tutejszych kierowców. Raz udało się Europejczykowi. Jeśli uda się drugi raz, też ich nie złamiemy. To jest ich rajd. Znają najlepiej klimat i drogi. Jesteś tu po raz pierwszy – zwrócił się teraz wprost do Mariusza – ale Franek nie jest tu po raz pierwszy. To jest dla ciebie ważne. Umiesz jeździć. Nie kozakuj tylko. Nie przejedziesz bez defektu. My jesteśmy od tego, żeby pomóc. Porozstawiamy się, jak można będzie najlepiej, ale zdarzy się i tak, że będziecie sami. Tamci mają fantastyczną pomoc techniczną. Dziesiątki mechaników i wozów serwisowych, helikopter i samolot. Tylko że samolot niewiele pomoże, kiedy nadejdzie noc. Nie dostrzeże szybko wozu, gdy ten utknie. W tym roku rajd odbywa się przeważnie nocą.

– Są połączenia radiowe – powiedział nieśmiało Mariusz.

– Są. Czekaj na nie. A jak się zepsują? Czasem nic nie będzie słychać. Czy jesteście zadowoleni, że zapowiadają deszcze – to mówił znów wprost do Mariusza.

– Im cięższe warunki, to chyba dla nas lepiej – odpowiedział szybko młodzieniec. – Wiesz jaką Franek ma kondycję. Mnie też trochę znasz – dodał uśmiechając się spokojnie. Siedział skromnie na brzegu łóżka i pilnie patrzył na Jana. Wiedziałem, że jest nerwowy, ale cudownie opanowywał się.

– Zobaczysz, co to jest mokre Safari – powiedział obojętnie Jan. – Franek, pamiętasz? A do mnie: – W tym roku rajd wypadł później niż zwykle. Święta mamy w końcu kwietnia. Niemal środek pory deszczowej. Zbliży się pełnia. Będzie dobrze padać.

Ale kiedy Hindus Marwaha z numerem 1 podjechał na linię startu w datsunie 240-Z, Nairobi tonęło w słońcu. Była godzina 15³⁰ czasu tutejszego. Stały nieprzerwane szpalery ludzi odgródzone od aut linami i rzędami policjantów oraz żołnierzy ubranych w oliwkowe mundury. W fotelu pod baldachimem siedział prezydent Kenii z nieodłącznym buńczukiem z ogona antylopy, stanowiącym symbol władzy, którą objął i dzierżył w swoim kraju od lat. Datsun warknął i wjechał na pomost. Załogę Hindusów ściskali za ręce i klepali po ramionach najbliżsi. Prezydent machnął chorągiewką. Tak rozpoczął się rajd.

Brodatego Szweda na eskorcie, którego znałem z Rajdu Monte Carlo, nie żegnał nikt. Johansson rozmawiał ze swym młodym pilotem i nawet nie spojrzał w kierunku honorowej try-

buny. Widać zapomniał się. Dopiero kiedy już zjeżdżali z pomostu, wychylił się przez okno i pomachał kapeluszem w kierunku prezydenta. Zaraz miał dużo braw. Za to następny, 22-letni Creston, syn właściciela dużej stacji benzynowej i serwisu w Nairobi, zanim wszedł do samochodu podbiegł do pierwszego rzędu widzów i ucałował małą dziewczynkę.

Już szybko biegł do wozu. Dziewczynka płakała. Przysłoniła oczy przed słońcem i płakała patrząc na brata, kiedy wjeżdżał z fantazją na pomost. Potem startował Fin Rautanen na peugeocie, potem McGregor, Szkot mieszkający w Nairobi. I tak co dwie minuty ruszali kolejno w barwach swoich krajów i swoich firm samochodowych. Jako szósty wystartował Francuz Junot na renaulcie, niewysoki, szczupły, do kamer telewizyjnych uśmiechał się jak aktor. Za nim Anglik Cox i Szwed Nyberg, tęgawy szatyn, który zdążył już opalić się w czasie treningu na brąz, potem reprezentant Tanzanii – biały kierowca Marcland na peugeocie, nie byle kto, wielki lis Safari, wielokrotnie zdobywał czołowe lokaty w poprzednich latach. Z kolei – przystojny brodaczk Falkstroem rodem ze Sztokholmu, ten jechał na datsunie 1800. I zaraz nie mniej sławny Dahlgaard na porsche carrera, wysoki, jasny, rozrostły jak Wiking – ten dla odmiany był przed kilku laty triumfator Rajdu Monte Carlo. Dahlgaard omal nie spóźnił się ze startem, zapomniał kluczyków do samochodu i przynieśli mu je w ostatniej chwili. Przyjrzałem się uważnie Hindusowi Singhowi, który startował już po raz dziewiąty w tym rajdzie. Jechał także w turbanie, jak Marwaha, który odjechał jako pierwszy i był już na trasie. Singh przed dziesięciu laty kupił używane volvo, wyremontował, przejrzał po tysiącokroć, pojechał i wygrał Rajd Safari. Potem wiodło mu się trochę gorzej, ale zwykle lokował się blisko czoła. Teraz ruszał znów na toyocie już jako renomowany fabryczny kierowca. Do ostatniej, chwili obejmowała go tęga, starsza Hinduska we wzorzystym sarongu i głaskała po głowie jak chłopca.

Na pomost wjechał pierwszy nasz wóz, żółty, ozdobiony jak inne kolorowymi nalepkami. Też dostali dużo braw. Krążyłem z mikrofonem w tłoku i zgiełku, podsuwając go co chwilę przed usta siedzących za kierownicą zawodników. Czasem przeciskałem się na drugą stronę – by przypatrzeć się pilotom. Zamieniłem kilka słów z panem Frankiem i Mariuszem. Mówili to, co inni: że cieszą się, są trochę podnieceni, ale dobrej myśli i dołożą wszelkich starań, aby przejechać nie tylko przez pierwszą pętlę.

Słychać było szum kamer, trzask aparatów, głosy reporterów, a ponad wszystkim górował dźwięk kobzy, na której przygrywał bez przerwy wysoki Szkot, ubrany w swój strój narodowy, a więc i w barwnej, kraciastej spódnicy. Ten Szkot na starcie, to też była stara tradycja, przygrywał tak bodaj już w pierwszym rajdzie. Samochody lśniły, wyglądały jak duże zabawki, tak były kolorowe, pooblepiane plakietkami i reklamami.

Największe oklaski zebrały dwie załogi pań. Pierwszą tworzyły dwie niemłode już Angielki zamieszkałe w Mombasie, drugą dziewczyny z Nairobi, roześmiane, uperfumowane, z czarnymi bransoletkami z włosów ogona słonia na rękach.

Każda załoga obowiązkowo zabrała w drogę po pięć litrów wody na osobę, żywność na trzy dni oraz broń w postaci pangi – krótkiego miecza na wypadek, gdyby los zatrzymał samochód w buszu. Najbardziej przezorni zaopatrzyli się w woreczki wypełnione kenijskimi pieniżkami. Będą rzucać je w pośpiechu przez okno, kiedy utkną w błocie albo piasku i chłopcy murzyńscy, przybyli na trasę z odległych wiosek będą ich wypychać.

W środku wozu wszystko poukładane było starannie i lśniło czystością. Na zewnątrz sterowały dodatkowe uzbrojenia. Lampy i reflektory osłonięte stalowymi kratami. Byli wypoczęci i udawali spokój. Za to najbliżsi zegnali ich, jakby wyruszali na wojnę. Wszyscy byli w szortach, jedynie pan Franek w długich spodniach. Kiedy rozmawialiśmy na pół godziny przed startem, stojąc poza wieńcem ludzi otaczających podium, powiedział: – Boję się, żeby mi coś nie weszło na nogę, kiedy trzeba będzie wyjść z wozu. Raz Janowi coś takiego weszło i od tej chwili ogromnie nie lubię wszystkich śliskich stworzeń.

Długo trwało pożegnanie rajdowców. Startowało ich ponad stu. Citroeny i datsuny, re-naulty, lancie, porsche, fordy, lancery, mitsubishi, volva, toyoty, a nawet volkswageny i ople. A wśród nich trzy nasze polskie fiaty 1600.

Dotrwaliśmy do startu ostatniej załogi i potem wracaliśmy w gęstym tłumie opuszczającym wolno szeroką aleję, tworzącą plac przed jasnym budynkiem City Hallu, czyli ratuszem Nairobi. Szedłem w grupie rodaków. Na starcie zebrało się ich sporo. Niektórzy przebywali tu na placówkach, inni mieli kontrakty jako lekarze lub inżynierowie, a jeszcze inni mieszkali w Kenii od lat. Rzuciły ich tu losy wojenne i zdążyli zapuścić w ziemi afrykańskiej korzenie. Wszyscy mocno przeżywaliśmy start naszych załóg. Szliśmy w milczeniu. – Kto była ta kobieta? – zapytał nagle jeden z lekarzy.

– Która?

– Ta piękna pani, która przybiegła na start w chwili, kiedy ruszał w drogę Szwed Nyberg. Chyba widzieliście jej zdenerwowanie. Rozmawiała z Nybergiem, stałem blisko, mówiła po szwedzku, była bliska płaczu.

Niektórzy z nas istotnie zapamiętali tę scenę. Kobieta była naprawdę piękna. Zwróciłem na nią uwagę tylko z racji jej urody. Rozmowa ze Szwedem, to był drobny epizod. – Nie, nie pamiętam z kim rozmawiała. Do wielu kierowców podbiegały kobiety – żony, matki, przyjaciółki.

Pojechałem do Chiromoo, aby trochę odpocząć. Przez najbliższe dni czekały nas męczące godziny wyczekiwania na wieści. Urozmaiceniem będą dla mnie krótkie wypadki w busz, aby zobaczyć ich na trasie, na skrzyżowaniu pobliskich dróg. Ale wiedziałem z góry, że rajd to będzie przede wszystkim oczekiwanie. Na wiadomości o nich no i na połączenia z Warszawą.

Pojechałem przespać się kilka godzin. Zapadał wieczór. Postanowiłem wrócić około dwudziestej drugiej do centralnego punktu informacyjnego rajdu, który mieścił się w City Hall, aby zabrać pierwszy materiał i być gotowym do rozmowy z Warszawą zapowiedzianej na godzinę 24. Zasnąć jednak nie mogłem. W moim pokoju, choć znajdował się w sąsiednim budynku, słychać było dźwięki muzyki dochodzącej z baru. Grali tak, że nie można było uleżeć. Wstałem i poszedłem popatrzeć jak tańczą. Wnętrze dansingu było niemal zupełnie ciemne, tylko spod sufitu mrugały w takt muzyki kolorowe światła rzucając odbłask na twarze tańczących i siedzących gości. Na parkiecie tańczyły czarne pary i każda z dziewcząt przypominała mi Wilnę Rudolph – takie były zgrabne i pełne wdzięku. Ach, jak tańczyli! Piękno ruchów i miękkość wprost nie do opisania. Najpiękniej tańczył jednak pewien stary Murzyn, który w ogóle nie miał partnerki. Właściwie stał w miejscu wykonując tylko niedostrzegalne niemal ruchy ciałem. Siwy, pomarszczony bóg tańca. Zaraz obok przesuwiał się po parkiecie piękny jak maharadża z bajki Hindus w białym turbanie, na którym zapalało się i gasło fosforyczne światło. Miał za partnerkę zgrabną blondynkę w czarnej sukni. Przy barze siedział mechanik japońskiego datsuna. Poznaliśmy się przed paroma dniami. Zamieniliśmy kilka słów, o tym jak tańczą, ale nie wytrzymałem i pierwszy przeszedłem na rajd. – Proszę pana, gdyby w Safari jechał mercedes 350-SL, wygrałby czy nie?

Japończyk uśmiechnął się z pobłażaniem. – Nic by nie zrobił. Za ciężki, za małe ma przyspieszenia i za mało zwrotny. Wygra datsun.

– A który kierowca będzie pierwszy?

– A, tego to już nie wiem.

Byłem sam w hotelu Chiromoo, gdyż wszyscy z naszej ekipy rozjechali się, tylko Aleksandra spała w swoim pokoju, albo udawała, że śpi. Jan na długo przed startem wyruszył w busz w naszym wozie technicznym numer 1. Drugi serwis pojechał trochę później na wyznaczony mu odcinek, a trzeci asekurował startujące wozy, odczekał, aż ostatni zjadą z pomostu i jakimś skrótem też ruszył w określonym wcześniej przez Jana kierunku. Zbliżała się godzina 22. Zawolałem taksówkę i pojechałem do City Hallu.

Przed czarną tablicą ustawioną w wielkiej sali cierpliwie stał tłum i czekał na pierwsze wyniki. Zepsuł się komputer i dlatego tablica była pusta. Obok stali młody Hindus i Kenijczyk w średnim wieku, nieruchomi i znużeni natarczywymi pytaniami ludzi, którzy bez przerwy nagabywali ich, kiedy wywieszają pierwsze komunikaty.

Opodał, na ekranie ogromnego telewizora szły kolorowe filmy z poprzednich Rajdów Safari przerywane krótkimi reklamówkami coca-coli, Shella i Dunlopa. Był ogromny ścisk zarówno przed tablicą jak i przed telewizorem, powietrze duszne mimo pootwieranych okien. Na podłodze siedzieli mali, czarni chłopcy z oczami wlepionymi w ekran telewizora, na którym pędziły kolorowe samochody przez busz albo błoto. Z wolna zbliżała się północ. Siedzieliśmy na balkonie w kilkunastoosobowej grupie samych Polaków. O kilka krzeseł dalej zobaczyłem Aleksandrę. Uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała na moje dzień dobry. Wskazała tylko na zegar wiszący koło tablicy. Była godzina 23¹⁷. Wtem zrobił się jakiś ruch koło tablicy. Tłum zaszemrał, a młody Hindus wszedł na drabinkę i począł zawieszać na haczykach numery startowe załóg. W tym momencie zza okien doszedł nas gwałtowny szum. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co oznacza. Spojrzałem w okno. Po szybach spływały strugi wody. Wreszcie i do Nairobi przyszła ulewa.

– W Mombasie też leje. Leje w Kibwezi i Maungu – powiedział sekretarz naszej placówki w Nairobi pan Edward. – W biurze prasowym mówili. Takie są ostatnie komunikaty.

Tymczasem pierwsi zapewne zbliżali się już do Mombasy po takim samym czerwonym błocie uciekającym spod kół, jakie rozpryskiwało się na ekranie telewizora. Na tablicy znów pojawiły się numery. Szwed Johansson atakuje na escorcie! Wyprzedził już Marwahę. „Johansson first on the road”. Tu muszę wyjaśnić, że w Rajdzie Safari prowadzi się równolegle jakby dwie odrębne klasyfikacje. Pierwsza, zasadnicza informuje o tym, która z załóg w danej chwili prowadzi wskutek najmniejszej straty minut. Druga klasyfikacja nazywa się: „first on the road”, czyli pierwszy na drodze. Takim pierwszym był właśnie Szwed Johansson. Wystartował z numerem drugim, ale zdołał już wyprzedzić Hindusa Marwahę, który wyruszył z Nairobi o dwie minuty wcześniej. Można być pierwszym na drodze, ale nie być pierwszym w rajdzie. I odwrotnie: ktoś jadący na dalszej pozycji systematycznie nadrabia dystans tracąc najmniej czasu ze wszystkich rywali. Lecz ten, który w danym momencie wszystkim przewodzi, jest także ujawniony w każdym komunikacie. Bądź co bądź usadowił się na czołowej pozycji i jak magnes przyciąga wszystkie samochody. Bardzo trudna jest taka pozycja lidera. Pościg idzie przez cały czas forsowny. Co prawda nikt mu nie kurzy, ale czy wytrzyma narzucone przez siebie szaleńcze tempo?

Komputer już działał sprawnie i teraz meldunki były częstsze. Wciąż Johansson. Z tyłu atakują na zmianę Creston, Rautanen i Francuz Junot. Anglik Cox, drugi Szwed Nyberg i kierowca tanzanijski Marcland. Pojedynek forda escorta z peugeotem, datsunem i porschelem już więc trwał. No tak, ale to dopiero początek.

Na razie nie było bliższych wiadomości o naszych załogach. Tyle tylko, że w Kitui i Mutoño, a potem w Kibwezi – wszyscy mieli już spore spóźnienia. Noc, deszcz. Tam także jest noc i deszcz. Czasem przejaśnia się i na niebie ukazują się na krótko gwiazdy. Kurz na zmianę z błotem. Widoczność przeważnie zła.

W pewnym momencie ów Polak – lekarz z którym wracaliśmy ze startu, przechylił się przez krzesło i powiedział: – Niech pan tam spojrzy. To ona. Wskazywał palcem zastygły tłum przed tablicą. Wpatrzyłem się pilnie i wreszcie ją dostrzegłem. Tak, to była ona. Ta sama piękna pani, która przybiegła w momencie, kiedy startował Nyberg. Szwedka, bo mówi dobrze po szwedzku. Istotnie ładna.

– Pewnie żona Nyberga – ktoś wtrącił.

– Nyberg nie ma żony – poinformował czternastoletni syn sekretarza naszej placówki. – Cox ma, Falkstroem ma, żonaty jest również Johansson.

– Szwedka stała blisko tablicy, jakby miała krótki wzrok i wpatrywała się w nią odpowiadając w roztargnieniu na jakieś pytania, które kierowali do niej dwaj panowie z emblematami Rajdu Safari na marynarkach. Wyciągnięty w skoku złoty, dziki kot nad biało-czarnym kołem z napisem „Fast African Safari Ralli”. Jednego z tych panów znałem, był to mister Paish, sekretarz komitetu organizacyjnego, bardzo miły człowiek.

Dochodziła północ. Wymknąłem się z balkonu i poszedłem do pomieszczenia dla dziennikarzy. W ratuszu mieściło się również tak zwane sub-centrum prasowe, filia centrum głównego, które rozgościło się w obszernym hotelu o pół kilometra od miejsca, gdzie znajdowaliśmy się.

Połączenie telefoniczne otrzymałem nawet dość punktualnie. Były jednak dwie przerwy na linii i wszystko zabrało mi przeszło pół godziny. Kiedy wróciłem na balkon, dowiedziałem się, że przed chwilą ktoś przybiegł i powiedział, że jedna z naszych załóg ma defekt. Jadą dalej, ale mają coś ze skrzynią biegów. Do Mombasy już niedaleko.

W wielkiej sali tłum zrzędł nieco. Było blisko pierwszej. Zza okien dochodził wciąż potężny szum deszczu. Na tablicy zakrywającej całą ścianę systematycznie powiększały się sznureczki cyfr z rezultatami opóźnień poszczególnych wozów. Przyszedł teraz Hindus z komitetu organizacyjnego, też nasz dobry znajomy i potwierdził wiadomość o defekcie jednej z trzech naszych załóg. Defekt skrzyni biegów jest poważny. Trzeba ją wyjąć i wymienić na nową, a to potrwa długo. Naprawić nie można.

A oni tam jechali i wciąż Johansson, ten którego nikt nie zęgnął na starcie w Nairobi, wyciskał ze swego escorta jakieś nieprawdopodobne moce. Wciąż tracił najmniej. Dopiero na siódmym odcinku złapał 9-minutowe opóźnienie. Ale najwięksi rywale pospóźniali się wtedy o całe kwadransy, albo więcej. Na czele były niewielkie zmiany. Marwaha przesunął się coraz bardziej do tyłu. Creston i Rautanen, Cox, Nyberg i Marcland tworzyli z Johanssonem ścisłą czołówkę. W pierwszej dziesiątce tych, którzy mieli do tej pory najmniej straconych minut, pojawiło się nowe nazwisko. Szwed Falkstroem widać przyspieszył. – W całej Kenii południowo-wschodniej od Nairobi po Ocean Indyjski padają ogromne ulewy. – Tak, proszę pana, warunki ciężkie. Z góry wiedziałem, że będzie to wyjątkowo deszczowe Safari.

Na razie nie było kompletnych wieści, ani o Dahlgardzie, ani o 40-letnim Hindusie Singhu, choć wystartowali przecież także dość wcześnie. W pierwszej dwudziestce nie było żadnego z numerów Polaków. Tamci z defektem jadą, nie zatrzymują się, a przecież Jan mówił wyraźnie przed startem, że podstawową regułą tej szaleńczej gry, w wypadku kiedy zaczyna szwankować samochód, jest nie zwlekać i nie oszukiwać się, że uszkodzenie samo minie. Trzeba wtedy stanąć i naprawić. Ale oni walczyli dalej. Widać wiedzieli, że sami tego nie naprawią. Nie mieli wyjścia.

Dawno minęła północ. Trzeba było iść spać. Ale dlaczego nie ma nowych wieści o panu Franku i Mariuszu, ani o trzeciej naszej załodze? Na tablicy wciąż wisiały ich numery i te same minuty spóźnień, lecz z pierwszych odcinków, a przecież powinni już być dawno w Mombasie. Czołówka też już tam jest. Pan Edward połączył się z Mombasą i szybko przyniósł nowe wieści. Do brzegu Oceanu Indyjskiego pierwszy dotarł Johansson. Miał o 17 minut mniej opóźnień, niż Creston i Rautanen. Utrzymywała się mniej więcej ta sama kolejność czołówek. Wycofał się jeden z faworytów, Niemiec Schulz mieszkający w Kenii, zwycięzca Safari sprzed czterech lat. Nasi z tą skrzynią biegów dojechali do Mombasy! – Już wszystko wiem – mówił pan Edward. – Męcą się ze skrzynią ale coś poprawili. Mówili: – Szkoda, bo dobrze nam się jedzie. Prosimy by nie denerwować się. Mamy iść spać. Im zostało na sen zaledwie półtorej godziny. Spóźnienie mają oczywiście ogromne.

Miły pan Edward specjalnie zostawił na koniec lepsze wieści. Druga nasza załoga nie ma tragicznych spóźnień i utrzymuje się w granicach końca trzeciej dziesiątki zawodników. A pan Franek i Mariusz idą dobrze. Dwudziesta trzecia albo dwudziesta czwarta lokata, chyba jednak dwudziesta czwarta.

Mieli teraz trochę odpoczynku w Mombasie i mogli spać, ale przez ten czas nie mogli im naprawić tej przeklętej skrzyni biegów. W czasie wypoczynku kierowców nie można naprawiać wozu. Reperuje się tylko wtedy, kiedy trwa rajd, kiedy rywale jadą. Przed świtem mieli wznowić walkę. Byliśmy ogromnie zmęczeni. – Chyba więcej niż oni – spróbował ktoś żartować, ale nikt się nie roześmiał. Ruszyliśmy do domu, mimo ociągań Aleksandry. Jak do tej pory żadne wiadomości od naszych serwisów nie dotarły. Mieli wystarczająco dużo roboty. – Jan jest w Mombasie – powiedziała Aleksandra, kiedy mówiliśmy sobie dobranoc przed wejściem do hotelu Chiromoo. Była napięta. Mówiła cicho.

Ile paliła ta kobieta! – Nie denerwuj się. Na razie wszystko idzie w normie.

– To dopiero początek – odpowiedziała.

– Chyba jesteś przyzwyczajona, że Jan tak sobie gdzieś fruwa po nocy.

– Teraz nie bierze udziału w rajdzie, ale jeździ równie szybko jak oni. Czasem jeszcze szybciej. Ty wiesz, co to jest serwis. Powiedział, że jedna nasza załoga musi znaleźć się w pierwszej piętnastce. A wiesz, jaki jest zawsze ostrożny.

Chciałem skończyć już tę rozmowę, mówiłem, że jestem strasznie zmęczony, a jutro mam wczesnie telefon i radzę jej także się położyć.

– Nie powiedziałam ci jeszcze o jednym – odezwała się Aleksandra. Staliśmy na werandce osłoniętej dachem i patrzyliśmy na ścianę lejącej się wody. – Ta pani, ta Szwedka, to jest żona Johanssona. Poznałyśmy się. Strasznie mi jej żal. Spóźniła się do Nairobi. Samolot się spóźnił o osiem godzin, bo była mgła w Rzymie. Dotarła na start w kilkanaście minut po odjeździe męża. Mówiła, że ma złe przeczucie. My zawsze mamy złe przeczucia, pocieszałam ją. Mój mąż jeździł 20 lat i żyje. A ile jeździ pani mąż? – Czternaście. Uspokajałam ją jak mogłam. Pan Paish został z nią w tej sali. Nalegał, by jechała do hotelu, że ją odwiezie, ale uparła się.

W ciemnościach rysowała się sylwetka chudego Murzyna w długim ciemnozielonym płaszczu, który z psem i grubym kijem w rękę spacerował, pilnując każdej nocy wejścia do hotelu.

– Do tego nie można się przyzwyczać. Żony też powinny jeździć – powiedziała cicho Aleksandra. Odeszła bez słowa.

Następny ranek był pochmurny, ale już nie lało, tylko siąpił deszcz. Wypogodziło się nagle koło południa i o piętnastej, kiedy zaczęły meldować się na mecie pierwszej pętli samochody, upał był równie wielki jak przedwczoraj. Pani Johansson nie przyszła. Rankiem dotarła wieść, że załoga z numerem startowym dwa miała wypadek. Obróciło ich, kiedy wchodzili w wiraż na błotnistej mazi. Wpadli na skałę. Rozbili doszczętnie wóz. Pilot cudem wyszedł cało. Johansson walczy ze śmiercią. Odtransportowali go helikopterem do szpitala w Nairobi. Wstrząs mózgu, uszkodzenie kręgosłupa. Lekarze mówią, że jest nadzieja, że wyżyje.

Staliśmy znów przy tej samej szerokiej ulicy przed ratuszem skąd ruszali przed kilkudziesięcioma godzinami. Najwcześniej nadjechał Creston i on był teraz pierwszy na drodze. Łącznie miał opóźnienia 117 minut. Prowadziła Kenia. Drugi był reprezentant Tanzanii Marland – 141 minut spóźnienia. Potem Szwed Nyberg, Anglik Cox, Rautanen i Falkstroem. Ich straty przekraczały 150 minut. Marwaha był dużo dalej, wyprzedzał tylko nieznacznie Mariusza i pana Franka. Zamykali drugą dziesiątkę ekip. Nasza następna załoga także przebrnęła przez pierwszą pętlę, za to trzeci wóz musiał w końcu wycofać się, gdyż skrzynia biegów rozleciała się.

Byli na mecie już jako widzowie. – Mogłem przechodzić z pierwszego biegu jedynie wprost na piątkę – mówił kierowca. – Ciągnąłem jedyneką do szybkości sześćdziesięciu kilometrów, a potem ładowałem piątkę. Ale pod górę nie jechało. Trzeba było stawać i znów zaczynać od jedynek. Potem wysiadły amortyzatory.

Ze stu siedmiu samochodów pierwszy etap przebyło siedemdziesiąt dwa. Defekty, dwie kraksy i jeden bardzo poważny wypadek.

Po krótkim odpoczynku startowali według kolejności, w jakiej przybyli, wśród jeszcze gęstszej szpalery publiczności. Skrzynia biegów! McGregor jadący na porschu ruszając z pomostu wrzucił jedynekę, a potem próbował przejść na drugi bieg. Zawył, zachrząściło. Wóz toczył się i w końcu wolno skręcił po przejechaniu 300 metrów w boczną ulicę. Tak zakończył rajd McGregor.

W parę godzin później nastąpiły dalsze dramaty. Nowy lider, Creston także doczekał się defektu. Widziałem jego mękę na własne oczy. Podjechaliśmy na łagodne wzgórze, skąd widać było doskonale ten odcinek trasy. Niedaleko od Nairobi, a więc na samym początku drugiej pętli zatrzymał się i długo coś reperował. Ruszył – ale i on nie zajechał daleko. Wyeliminował go defekt układu kierownicy w jego fordzie. Ford rzucił teraz do gry następnego asa – Falkstroema, który rozpoczął fantastyczny pojedynek z Marclandem, Nybergiem i Coxem. Rautanen osłabł, Dahlgaard chyba czaił się. Singh wymienił amortyzatory. Załoga młodych dam jedzie bez tylnej szyby.

Pogoda była lepsza, ale komunikaty meteo zapowiadały nowe, jeszcze większe deszcze. Tymczasem dalej toczyła się zażarta walka pomiędzy fordami, datsunami i peugeotami. Przewodził co prawda nadal jeden z kierowców miejscowych, ale ścigali go z rozmachem Europejczycy. – Przełamaliśmy ich – mówili dziennikarze ze Skandynawii i Anglii. – Jak nie Falkstroem, to wygra Nyberg. A nie Nyberg, to jest Cox albo Rautanen lub Dahlgaard.

Hindusi Marwaha na datsunie i Singh na japońskiej toyocie łapali teraz co prawda nieznaczne straty minut – ale cała czołówka szła w kurzu ostro i meldowała się na poszczególnych odcinkach punktualnie.

Nadeszła znów noc. Druga noc była cięższa dla nich niż pierwsza. Zapuścili się daleko na północ i natrafili na wielkie rozlewiska błota. Marcland, Falkstroem, Nyberg i Cox zdołali przejść je na pełnej szybkości, targało, zarzucało, ale przeszli. Następni wpadali w głębokie koleiny, w zagłębienia i doły wypełnione rozjeżdżoną mazią, wygrzebywali się i wpadali w następne pułapki. Tymczasem nadjeżdżali następni. Zrobiły się zatory, co brzmi niewiarygodnie wobec ogromu przestrzeni, jaka rozciągała się wokół. Byli w sercu dzikiego łądu, znikąd ratunku. Niektórzy próbowali wycofać się szukając innego przesmyku. Jedni usiłowali skręcić i wgramolić się na mokre, oślizłe bandy, jakie utworzyły się po obu stronach błotnistej wąwozu. Renault zderzył się z oplem, lancia rozbiła się, ale załoga nie poniosła szwanku. Wychodzili otwierając z trudem drzwi i unurzani w błocie pchali w ciemnościach swe samochody. Ci, którzy stali z tyłu, oświetlali reflektorami rywalom drogę. Wreszcie pojawili się ludzie. Byli to czarni mężczyźni – silni i zręczni. Wyłonili się jak spod ziemi. Wesoło i rytmicznie pokrzykiwali pchając auta, chwytając za zderzaki, ciągnąc za co się dało. Pękło kilka lamp, jeden z czarnych wygniótł szybę. Blisko dwadzieścia samochodów w błocie. Tymczasem na następnym punkcie kontrolnym komisja sędziowska nie wiedziała, co się dzieje. Rajd przerwał się. Nie nadjeżdżali następni kierowcy. W tych dramatycznych chwilach byłem w hotelu, gdzie mieściło się główne biuro prasowe jak również komitet organizacyjny oraz sztab łączności z rajdem. Stałem w drzwiach niewielkiego pomieszczenia wraz z panem Paishem i patrzyłem na mężczyznę siedzącego nieruchomo przed nadawczą stacją radiową. Na uszach miał słuchawki, trzymał blisko przed ustami mikrofon i powtarzał cichym, jednostajnym głosem: – Halo, Musonoki! Halo, Musonoki! Tu Nairobi. Tu Nairobi. Wzywamy was. Halo Musonoki.

W Musonoki mieścił się ów następny punkt kontrolny. Z niewiadomych przyczyn nagle zerwała się z nim łączność. Niektóre serwisy były już powiadomione i podobno pospieszyły na miejsce, gdzie wozy walczyły z błotem. Ale czy Jan wie, co się dzieje? Czy w pułapkę wpadła także któraś z naszych załóg?

Musonoki odezwało się dopiero po 32 minutach. – Tak, słyszymy was. Sto dwadzieścia sekund temu przejechał przez punkt Fin Rautanen, a zaraz za nim dwa inne wozy. Rautanen

meldując się powiedział: – piekło. Ale się śmiał. Na punkcie kontrolnym już wiedzieli, kto siedział w błocie. Podali numery, nie wszystkich byli pewni.

Jeszcze łudziłem się, może są jakieś pomyłki – ale w dziesięć minut później przekazali całą listę pokonanych samochodów już ze sprawdzonymi numerami. Wśród nich był także numer naszego fiata. W minutę później kolejny meldunek. Przez Musonoki przejechało dalszych jedenaście wozów. W tej chwili melduje się sześć następnych, przekazują numery. Wśród nich, na szczęście jest Mariusz i pan Franek. Co z tamtymi?

Dopiero krótko przed świtem sytuacja wyjaśniła się. W walce pozostała nam tylko jedna załoga. Tamta wylazła z błota, ale w takim stanie, że nie mogli dalej jechać. Był przy nich nasz serwis. Nawet dwa. Jan kierował akcją. Pana Franka i Mariusza wyciągnął, ale z tamtymi już nie dał rady. Zresztą wieści dalej były sprzeczne. Mówiono, że odpadło już 35 samochodów, inni twierdzili, że jeszcze więcej.

Tymczasem do Eldoret – mety drugiego etapu pędzili na czele wciąż ci sami, tylko Rautanen znów trochę zwolnił. Marcland miał najmniejsze straty. Potem – Nyberg, Falkstroem, Cox i Rautanen. Hindus Singh jechał od dwóch godzin w odległości paruset metrów za Finem, a wóz, jak mówili świadkowie – miał w lepszym stanie, niż Rautanen. Nie atakował jednak. Ktoś inny widział, że Cox omal nie wpadł pod pociąg. Przejeżdżał akurat przez małe miasteczko w górach. Przechodził tamtędy tor kolejowy. Nie dostrzegł ostrzegawczych świateł. A może dostrzegł i zaryzykował. Przejechał w ostatniej chwili naciskając pedał do dna.

Zrobił się dzień. Połączyliśmy się z Eldoret. Marcland już spał. Cox i Nyberg byli na mecie. Rautanen i Falkstroem oraz Singh zbliżali się do niej. – Zadzwońcie za godzinę, to podamy wstępne wyniki. Walka na drugiej pętli jeszcze trwa.

Połączyliśmy się z hotelem, gdzie mieszkali rajdowcy. Przy aparacie był Jan. Nie chciał wiele mówić. – Franek z partnerem dojechali. Ich kondycja zła. Są na 19 albo 20 miejscu.

Tyle tylko było można z niego wydusić. Słuchawkę wzięła Aleksandra. Powiedziała szybko: – Jan, to ja! – I potem nic nie mówiła słuchając głosu męża. Położyła wolno słuchawkę. Spojrzała na mnie. Wreszcie powiedziała: – Trzymają się, ale jest niedobrze. Jan powiedział, że ma dosyć. Narzeka na ich błędy techniczne, na nierozsądną jazdę. Nie tylko narzeka na tych, którzy odpadli. Był zły także na Mariusza, a nawet Franka. Zamiast pchać się po błocie powinni zawczasu wycofać się i szukać innego przejścia, a takie było. Ci, którzy jechali jako pierwsi, poszli pełnym gazem, bo droga nie była jeszcze tak rozjeżdżona jak później. Ma dosyć – mówiła Aleksandra. – I wiesz, co mi jeszcze powiedział? Że ma 54 lata, a nie 49, jak podał prasie. Po raz ostatni tu przyjechał. Ma dosyć Kenii, ciemności, błota, braku snu. Łatwiej było kiedyś samemu się męczyć, niż pomagać teraz innym. Po co przyjechali na Safari?! Mogą jeździć w Europie. Po co się tu pchali?

Marcland prowadził w Eldoret zaledwie o 14 punktów, czyli minut przed Nybergiem i o 22 minuty przed Coxem. Czwarty był Falkstroem ze stratą 37 minut do lidera. Rautanen o kilka minut zaledwie za Falkstroemem. Dwadzieścia minut za nimi znajdował się z kolei szaleńczo teraz jadący Dahlgaard na porschu, który rozpoczął wreszcie wielki atak. „First on the road” był nadal oczywiście Marcland na lancercze, miał przecież numer startowy dziewiąty. Hindusi Singh i Marwaha zajmowali dopiero dziesiątą i dwunastą pozycję tuż za Francuzem Junot. Znów zaczęli pozostawać w tyle. Lancer Marclanda nadal więc zagrażał w rywalizacji fordą z datsunem, porsche i peugeotem. To zresztą mniej mnie interesowało. Nie ulegało jednak wątpliwości, że mimo prowadzenia Marclanda, który jechał w barwach Tanzanii, Europejczycy trzymali się świetnie i wciąż mieli przewagę w ścisłej czołówce.

Kazałem się obudzić w hotelu Chiromoo o godzinie 10. Spałem więc krótko. Pojechałem natychmiast do hotelu, do głównej kwatery. W restauracji było pustawo. Przy jednym stoliku siedziało tylko kilku rajdowców, tych, którzy wycofali się jeszcze na początku drugiego etapu. Wrócili dawno do Nairobi i najspokojniej jedli śniadanie. Siedział wśród nich Creston.

Skierowałem się na pierwsze piętro do pokoju dla prasy i musiałem przejść przez główny hali. Akurat w recepcji stało kilku świeżo przybyłych gości z podręcznymi torbami z napisem „Panam” i odbierali klucze do zarezerwowanych pokoi. W lewym kącie hallu spacerowały po podłodze żółte kurczaczki wśród małych drewnianych domków i płotków poustawianych na kwadracikach zielonej trawy z plastiku. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że to Wielkanoc. Jeden kurczak wcisnął się do środka domku przez maleńkie drzwiczki, wyjrzał, rozglądał się i piszczał ogromnie czegoś przestraszony. Szedłem dalej. Natknąłem się na stół przykryty zielonym suknem, za którym siedziała ładna Murzynka. Nad jej głową wisiał napis informujący, że jest to punkt przyjmowania zakładów rajdowego totalizatora. Toto-Lotek Safari – tyle, że stawia się na numerki załóg, a nie konkurencji sportowych. Zrobiła zapraszający gest, żebym coś postawił. Uśmiechnąłem się, ale pokręciłem przecząco głową.

– To nie wie pan kto wygra? Wygra ten przystojny Szwed z brodą i wymówiła nazwisko Falkstroem ogromnie je przekręcając.

– A Marcland?

– On nie interesuje mnie. Jest z Tanzanii, nie z Kenii. Niech pan zagra. Singh postawił kiedyś na siebie i wygrał 2500 funtów.

– A teraz na kogo postawił?

– Na siebie. Szuka fuksa. Najwięcej obstawili Crestona, ale już odpadł i Marclanda.

Przeprosiłem ją i poszedłem do centrum dla prasy. Przed tablicą z komunikatami stał pan Xawery. To był ciekawy człowiek! Jeszcze jeden Polak z Kenii. Dawny ułan po kampanii na froncie zachodnim i wojnie osiedlił się na trwałe w Afryce. Był myśliwym. Myśliwym. To mało powiedzieć – polował, ale i sam organizował wielkie łowy dla innych. „Król Safari” mówiono o panu Xawerym w Nairobi. Miał własny dom na przedmieściu i w każde święta przyjmował Polaków. Przed rajdem i my złożyliśmy mu wizytę. Na werandzie stały stoły zastawione kakao i świetnym ciastem. Dla starszych była whisky. Przychodziło dużo dzieci. Niektóre nie mówiły po polsku, albo mówiły bardzo źle. Urodziły się tu i znały ojczyznę tylko z opowiadań.

– Nic nowego – powiedział pan Xawery. – Jedni jeszcze śpią w Eldoret, a inni jeszcze jadą. Są ogromne spóźnienia. Będę krótko spać. Za trzydzieści minut start do ostatniego etapu. Co im zostanie na odpoczynek?

Zaprosił mnie na kawę do baru. Mówiliśmy przez chwilę o szansach i zwróciło moją uwagę, że stawał także jak Jan na jednego z kierowców miejscowych. Dyskutowałem i przekonywałem, że Europejczycy jadą świetnie i choć wciąż Marcland prowadzi, to jednak depczą mu po piętach.

– A niechże pana! – roześmiał się myśliwy. – Depczą po piętach! Co za wyrażenie. Tam pójdzie teraz dużo ostrzej niż do tej pory. Miejscami będą mieli lepszą pogodę i dłuższe odcinki prostej. Ale dopiero jak przebrną ciasne pętle u podnóża Mount Kenya. Potem poszorują do dwustu kilometrów na godzinę. Ale wkrótce znowu będą górki.

— Proszę pana, kto wygrywa? – Lew czy słoń, kiedy przyjdzie im walczyć ze sobą.

Teraz pohamował uśmiech. – Takie pojedynki zdarzają się rzadko. Ale słoń był, jest i pozostanie władcą buszu. Żadne zwierzę nie jest w stanie mu zagrozić. Łączy chytryść z siłą nie do opisania. Najbardziej charakterystyczne dla polowania na słonie jest to, że w pewnym momencie człowiek już sam nie wie, czy to on poluje na słonia czy słoń na niego. Jest mądry, a jak się rozzłości wyjątkowo groźny. Raz wsadził trąbę do samochodu, wyjął pasażera, wyrzucił go na piętnaście metrów, podniósł samochód i cisnął nim w drzewo. Lew jest wielkopanski. Kiedy ma zaatakować, zawsze uprzedza. Ryknie, jakby oznajmiał: broń się! Najniebezpieczniejsze są te lwy, które poznały smak ludzkiego mięsa. Bardziej krwiożerczy jest leopard. Strzela się do niego z krótkiego dystansu. Strzał z biodra jest dobry, bo na normalne

złożenie nie ma czasu. – Pan Xawery rozgadał się. – Nosorożec jest głupi i źle widzi, szarżuje na wprost i wtedy wystarczy wykonać szybki side-step jak bokser w ringu. Przeleci obok i można spokojnie strzelać.

– W najśmielszych przypuszczeniach nie spodziewałem się, że tyle u was zwierząt. Chodzą jak po deptaku.

– Jest pan w jedynym, niestety, już ostatnim zakątku kuli ziemskiej, gdzie żyje jeszcze tyle zwierząt na wolności. Kenia stara się robić wszystko, aby zwierzyny nie ubywało. Nie da rady. Coraz mniej. Dobrze, że pan zdążył tu przyjechać. Za dziesięć lat będzie to zupełnie inny kraj.

Mówił to z żalem, mimo to zapytałem: – Ale pan poluje. Zabija pan i pomaga innym zabijać.

– Muszę z czegoś żyć. Ale przestałem strzelać. A innym pomagam i staram się to nawet robić dobrze. Niech pan jednak pamięta, że tam gdzie są prawdziwi myśliwi, zwierzyna nie ginie. To nie prawdziwi myśliwi ją trzebią. U nas we wschodniej Afryce nie jest jeszcze tak źle. Niedawno spotkałem białego nosorożca. W Sudanie jest ich więcej. Za to w Afryce zachodniej już prawie nic nie ma. Węże, za to dużo jest tam węży.

A potem mówił o wielu szczegółach i szczegółikach, które też były interesujące. Zwierzęta nie odróżniają kolorów, dostrzegają tylko światło. Mówił o tym, jak świetnie strzela Kirk Douglas. Polował z nim, kilkakrotnie odwiedzali go słynni aktorzy filmowi, przyjeżdżali tu na wakacje. Ale na zakończenie wrócił do słoni, widać musiał mu jakiś zajść za skórę. – Jak chce zabić, to zabije. Jest mściwy. Nie można się przed nim schować. Raz gonił mnie ranny słoń i wiem, co to jest. A już najgorzej narazić się słonicy, która ma małe. Słoń i chyba bawół, a nie lew – to najniebezpieczniejsi przeciwnicy. Ranny bawół pójdzie za myśliwym nie tak jak słoń, żeby ukarać, ale żeby po prostu zabić, bezmyślnie zabić. Zrobi zasadzkę. Oho idzie Paish!

Uprzejmy działacz przyszedł do nas z biura i powiedział, że zaraz w telewizji będą pokazywać metę w Eldoret. Poszliśmy szybko na górę. Reportaż zmontowany był płynnie i najpierw pokazał liderów, a potem nocną mękę w błocie i przybycie najbardziej zapóźnionych na metę drugiego etapu. Niektórych trzeba było wyciągać z samochodu, tak byli wyczerpani. Jeden z kierowców wysiadł o własnych siłach, ale idąc w kierunku stolika sędziowskiego zataczał się z obłądnym wyrazem twarzy. – Za siedemnaście minut musi ruszyć w dalszą drogę – informował chłodno reporter. – Bardzo się spóźnił. Good luck – do zobaczenia w Nairobi! Zmienił nagle ton, bo widać także zrobiło mu się żal rajdowca. – Czeka ich cała druga część dnia, cała noc i jutro przy kierownicy. Prowadzi nadal Marcland (Tanzania), przed Nybergiem (Szwecja), Coxem (Wielka Brytania) – i zaczął podawać nazwiska załóg oraz nazwy marek samochodowych, które do tej pory najlepiej zniosły trudy walki.

Kilka dalszych godzin spędziłem w biurze prasowym, słuchając rozmów najtęższych fachowców, tym razem nie tyle o kierowcach, ile o samochodach, które męczyły się równie jak ludzie. A więc fiat abarth ma ponad 200 koni i głowicę szesnastozaworową. Lancia – vulvia to istna rakietka: ponad 9 tysięcy obrotów. A najmocniejszy z wozów japońskich jest datsun 260 Z. Porsche waży 900 kilogramów. Tak mało? Byłem ogromnie zaskoczony, że tak mało przy swoich ponad 300 koniach.

– Jest to rajd kurzu i błota – perorował jeden z dziennikarzy. – Deszcz daje równe szansę każdemu. Decyduje wtedy przede wszystkim technika jazdy. Kurz ułatwia blokowanie atakującego przeciwnika. Jeden kurzy drugiemu. Starają się jechać, jak mówią, na granicy kurzu, to znaczy w nieco rzadszych tumanach, ale i tak widoczność jest znikoma. Zawczasu się umawiają: pamiętaj, jak będziesz mnie atakował daj pełny klakson i wszystkie światła, jakie masz! W momencie wyprzedzania – wysprzęglają, żeby koła wyrzucały mniej kamieni. To jest zwyczaj, którego wszyscy przestrzegają. Idą wtedy na pełnym rozpędzie, ale z nogą na sprzęgle.

– Mikkola często nie dotrzymywał tych umów, pamiętasz? Starał się zbliżyć niepostrzeżenie. Atakował bez świateł i bez sygnału, był bezwzględny. Ale raz wygrał Safari. Pierwszy z Europejczyków. Kto następny?

Przez cały dzień i noc dochodziły systematycznie meldunki. Na trasie pozostały pod koniec nocy 42 samochody. Trwała rzeź. Pędzili po ciasnych pętłach przez góry, w ulewie i deszczu. Pogoda czasem zmieniała się i kurz przysłaniał im znowu drogę. Mariusz i pan Franek wciąż trwali. Jechali z ogromną stratą minut ale szczęśliwie bez defektu. Za to zły los nie ominął w końcu Marclanda. Przestał działać motor w jego lancerze. Potem Nyberg musiał zatrzymać się i robił przez 62 minuty serwis. W końcu ruszył, ale spadł od razu na dalekie miejsce. Dahlgaard finiszował z coraz większym rozmachem na porschu carrera. Doścignął nowego lidera Coxa i rozpoczęła się karkołomna jazda tych dwóch słynących z ryzykanctwa kierowców. Próbowali nawiązać z nimi walkę Falkstroem i Rautanen. Francuz Junot załamał się i wyraźnie zwolnił. Jedni mówili, że wycofał się, ale wkrótce nadeszły meldunki: jedzie dalej, ale minęło go już siedemnaście załóg. Podali numery, a wśród nich numery Hindusów Marwahy i Singha. Znajdowali się już w pierwszej dziesiątce i choć mieli ogromne opóźnienia, to ich strata do Anglika., dwóch Szwedów i Fina nie powiększała się. Aż zaczęła topnieć w miarę zbliżania się do mety w Nairobi.

Potem przyszło najgorsze dla nas: defekt naszej załogi. Nie stała jednak długo. Wkrótce jej numer znów zaczął pojawiać się w komunikatach, co było oznaką, że jadą i jakoś trzymają się.

Dahlgaard wypadł z trasy, przekoziołkował i zatrzymał się dopiero na poboczu. Rozbił wóz, ale wyszedł tylko lekko potłuczony. Potem przyszła kolej na Coxa. Będzie opowiadał w dwa dni później w hotelu, wytworny, delikatny, o małych wypielegnowanych dłoniach a tak ostry za kierownicą, o tym, w jaki sposób przegrał rajd. – Ścigałem się z Rautanenem. W końcu doszedł mnie. Szedłem dość szybko. Trudny technicznie odcinek koło Nakuru przejechałem tylko z trzyminutowym opóźnieniem. To było niezłe. Tam wszyscy mieli większe spóźnienia. Czuję, że najszybciej jedzie Rautanen. Widziałem jego światła w lustrze. Trochę za ostro wzięłem raczej ciasny wiraż. Wyleciałem, przekoziołkowałem dwa razy. Postawiło mnie zgrabnie na kołach. Oglądam wóz, nie zdążyłem wystawić ostrzegawczego trójkąta, a tu już jedzie Rautanen. Miał trochę miejsca i powtórzył mój błąd. Wszedł w zakręt za szybko i skończył tak samo jak ja.

Mieli za sobą blisko 60 godzin czystej jazdy i wczesnym popołudniem stali już na mecie.

Wygrał Hindus Singh.

Pierwszy zameldował się Falkstroem, ten przystojny z brodą, na którego stawiała Murzynka przyjmująca zakłady totalizatora – ale wkrótce zjawił się Singh. Miał dalszy numer startowy niż Szwed. Wygrał o trzy minuty.

Do mety dojechało dziewiętnaście samochodów. Mariusz i pan Franek na czternastym miejscu, co wzbudziło entuzjazm wśród naszej polskiej garstki, a podziw wśród publiczności. Fachowcy dziwili się, a publiczność mocno oklaskiwała naszych. Rychło jednak niewątpliwy sukces polskiego fiata został usunięty w cień przez wyczyn dwóch niemłodych Angielek z Mombasy, które także ukończyły rajd. Choć zajęły przedostatnie, osiemnaste miejsce najdłużej wiatowano na ich cześć. Największa owacja dla pań no i rzecz prosta dla Singha. Użył, podobnie jak Falkstroem szybkość przeciętną na całej trasie blisko 100 kilometrów na godzinę. Zwycięzca spóźnił się o 310 minut, a więc przeszło pięć godzin, Wszyscy patrzyli na jego wóz. Na kratownicach chroniących lampy wisiała trawa i resztki gałęzi. Nie miał lewego reflektora, dotarł w ogóle bez lewego błotnika i wiadome już było, że zgodnie z regulaminem dadzą Singhowi karę czasu za stan wozu. Lecz zapas trzech minut nad Falkstroemem mimo to wystarczył. Tak, Singh był pierwszy. Falkstroem stał obok w grupie Szwedów. Mieli butelkę szampana i częstowali nim zdobywcę drugiego miejsca. Kierowca pociągnął wprost z butelki, ale skrzywił się i wypluł wszystko. Nie mógł pić. Wyglądał jak widmo.

Tymczasem Singh wdrapał się ze swoim pilotem na dach auta. Usiedli i pozowali fotoreporterom. Ze wszystkich stron naciskał na szpalery policjantów nieprzebrany tłum. Panowała ogromna wrzawa.

Samochody, przypominające w chwili startu kolorowe wielkie zabawki, wyglądały teraz jak wraki. Pokryte czerwonym błotem nosiły ślady głębokich ran i blizn. Silniki łomotały jak młockarnie. Na masce toyoty Singha rozstawiano złociste puchary. Wciąż szumiały kamery telewizyjne. Tokowali reporterzy. Zajrzałem do samochodu zwycięzcy. Wnętrze było brudne. Wszystko pokrywał czerwony pył i błoto. Między siedzeniami wały się puste pudełka papierosów. Koło kierownicy, nad deską rozdzielczą leżał bukiet zwiędłych kwiatów. Te same, które dała mu na starcie matka.

W trzy dni później mieliśmy wracać do kraju. Jan przyjmował od wszystkich gratulacje, bo każdy zdawał sobie sprawę, ile Mariusz i pan Franek mu zawdzięczali. – Właściwie przyholował nas do Nairobi, – powiedział pilot. – Zawsze był obok, kiedy był potrzebny.

Jeden z naszych wozów serwisowych miał defekt i przywłókł się do Nairobi dopiero w dwa dni po rajdzie. Drugi zablądził na trasie w czasie walki, więc kierował się do miasta i czekał 20 kilometrów przed metą. Był wtedy już niepotrzebny.

Jan przyjmował gratulacje kwaśno. Ale chyba cieszył się. – Powiedziałeś, że musimy być w pierwszej piętnastce i jesteśmy – mówił uszczęśliwiony Mariusz. – Masz czternaste miejsce! Co się krzywisz?

Rozmawiałem z Mariuszem tego dnia wieczorem. Był znów opanowany i jak zawsze wytworny. – Jestem już w tym wieku, że miałoby się ochotę czasem posiedzieć w ogrodzie – powiedział z powagą. Pewnie wyczytał to w jakiejś książce. – Nie ma pan nawet dwudziestu pięciu lat? Co też pan wygaduje.

– Nie było łatwo – odpowiedział. – Ale trzymaliśmy się jakoś.

Od pana Franka dowiedziałem się później, że wiele razy toczyli ze sobą walkę. Mariusz chciał się wycofać.

Cały następny dzień spędziliśmy na odpoczynku, a niektórzy na wizytach w naszej placówce i w domach rodaków. U lekarza, doktora Z. pan Franek dowiedział się, że jest on zapalonym wędkarzem. Umówili się na następny dzień na piątą rano, że pojedą na ryby, nad jezioro Naiwasza oddalone od Nairobi o niespełna 200 kilometrów. Akurat byłem przy tym, jak dogadywali się, więc doktor także mnie zaprosił. – Pojedziemy moją toyotą – powiedział. – Ma się samochód i ma się nosa! – To była aluzja do zwycięskiej toyoty Singha. – Zobaczymy, czy pan Franek umie prowadzić – zartował doktor. – Bo pilotem jest niezłym. Ale pan Franek, który trochę naśladował gburliwość Jana, skrzywił się i powiedział, że ma dosyć. – Będziemy prowadzić na zmianę – zakonkludował gospodarz.

Następnego dnia nie padało, ale nie było słońca. Zakryły je blade gęste chmury unoszące się niewysoko nad wzgórzami. Jechaliśmy wprost na północ. Już nie za szybko, niemal statecznie, bo kiedy raz doktor trochę zbyt po kawaleryjsku wziął zakręt, pilot skrzywił się i powiedział: – Cholera, po co się pan tak spieszy doktorze? Wyczuwaliśmy, że nie bardzo ufa umiejętnościom kierowcy. Chyba też nie wyspał się, a może spał źle i w ogóle był podczas drogi w nie za dobrym humorze. Nawet nie zachwyciła go nieprawdopodobnie piękna panorama Rowu Afrykańskiego – gigantycznego wąwozu, niezmierzonej szczyrby ciągnącej się setkami, setkami kilometrów z południa na północ. Akurat szosa do jeziora Naiwasza tamtędy prowadzi. Chmury podniosły się nieco wyżej i widok zatykał. Mimo niepogodnego dnia, miało się wrażenie, że kupała nieba jest tu większa niż gdziekolwiek indziej na świecie. Może złudzenie to dawało oświetlenie, przezroczystość powietrza. Zdawało się, że horyzont jest bezkresny. Rażąca oczy jasność przebijała się przez chmury i szedł stamtąd piekący żar, choć nie było widać słońca.

Pan Franek ożywił się trochę, kiedy znaleźliśmy się nad jeziorem. Brzeg był błotnisty i zarośnięty szuwarami. Małą przystań stanowiły dwie drewniane budy, przy których wałęsał się

Murzyn w dzinsach i kraciastej koszuli, jak się zaraz okazało kumpel doktora. – Jambo – przywitał nas. – Bahapa mingi – co oznaczało, jak przetłumaczył doktor, że mówi nam dzień dobry i życzy szczęścia w połowach.

Na spokojnej wodzie poruszało się kilka łodzi. Wzięliśmy dwie, do jednej wsiadł doktor, a do drugiej my. – No co robimy rajd? Kto więcej złowi ryb. Nasz lekarz był niezmordowany. – Zobacz pan, że was wyprzedzę – zwrócił się do pilota. Ale pan Franek burknął: – Dam sobie radę. Jeśli tylko pan redaktor nie będzie przeszkadzał.

Lojalnie przyznałem się poprzedniego dnia, że nigdy nie łowiłem ryb i nawet nie miałem wędki w ręku. Debiut wypadł więc niezwykle: na jeziorze Naiwasza leżącym dokładnie na samym równiku.

Odbiliśmy od brzegu i wolno sunęliśmy rozsuwając wiosłami ogromne liście i rośliny. Poczęły dopiero niknąć w miarę jak oddalaliśmy się od lądu. Nisko przelatywały ptaki i osiadały miękko na wodzie. Była spokojna o żółtym odcieniu. Pan Franek dał mi kilka podstawowych wskazówek, jak mam wyrzucać wędkę i zabrał się do łowienia. Wstawaliśmy z ławki na zmianę i to ostrożnie, bo łódka chybotwała się przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Pamiętaliśmy o tym, co mówił doktor, kiedy odbijaliśmy. – Jest tu trochę krokodyli, ale nie bójcie się, tylko przy brzegu. Pokazywał na piasek w odległości dwustu kroków, ale nic nie dostrzegliśmy. Może bujał? A może nie.

Nie będę opisywał mojego łowienia, bo i tak nikt nie uwierzy, choć mam świadka w panu Franku. Przez długi czas szło mi fatalnie. Za pierwszym rzuceniem wędki omal nie zerwałem kapelusza z głowy towarzysza. Zaczepiłem haczykiem o rondo i ledwie zdążył kapelusz zatrzymać. Tylko spojrzał, bardziej zdziwony moją nieudolnością niż zły. Za drugim razem znów rzuciłem niefortunnie. Za trzecim, czwartym tak samo. Haczyk leciał na odległość metra. Pan Franek zaczął się śmiać. Znów był bardzo sympatyczny. Pokazywał cierpliwie i w końcu trochę mnie poduczył. Dwie godziny później wyciągnąłem ogromną sztukę. No nie wiem, ile miała kilogramów – taaaka ryba.

Byliśmy już na środku jeziora. Pan Franek usiadł i powiedział. – Teraz sobie odpoczniemy. Dobrze, że nie ma słońca, bo by nas spaliło. I tak gorąco jak diabli.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu rozglądając się wokół. W oddali kiwały się na wodzie dwie łódki, takie jak nasza, z których sterczały wążutkie kreseczki wędek nad nieruchomymi sylwetkami. W jednej łowił doktor. Podpłynął do niego jakiś Murzyn, zatrzymali się koło siebie i pewnie rozmawiali. Opodal z drugiej strony rozciągał się brzeg małej wyspy zarosniętej gęsto roślinnością. Krążyły ptaki. Niekiedy, któryś zniżał się gwałtownie, łopotał skrzydłami i uderzał dziobem w taflę wody. – Szuka ryb – powiedział pan Franek. – Więcej złowi, niż my.

Rozsiadł się wygodnie, oparł plecami o burtę i wcale nie kwapił się, aby brać za wędkę.

– Przegra pan z doktorem. Sporo pan złapał, ale nie za wiele – popatrzyłem na dno, gdzie leżała nasza zdobycz.

– Powiem, że to wszystko moje, że pan nic nie wyciągnął.

Jest tego sporo.

Znów zamilkliśmy. Zmienił pozycję i raptem powiedział. – Nasiedział się pan tu z nami. Trochę napatrzył.

Nie odpowiedziałem czując, że ma ochotę sam mówić. – Mieliśmy porozmawiać o tamtej, dawnej sprawie. Sam pan zaczął wtedy w Kilaguni. Ja pamiętam, że pan wtedy mnie o to pytał. Dlaczego Jan tak zakończył karierę? Dlaczego? Jutro wieczorem stąd odlatujemy. Pan wróci do swych zajęć a ja do fabryki. Czasem pojedę na rajd, a pan będzie chodził na te piłki nożne, boksy i lekkie atletyki. Chyba nie prędko spotkamy się. W takich okolicznościach chyba już w ogóle się nie spotkamy – wskazał niedbale ręką na jezioro i zarosnięte brzegi. – Jak teraz nie powiem, jak to było naprawdę, już nie będzie okazji. Zaczął mówić.

Tak, jak umiem, przytaczam opowieść pana Franka i wydaje mi się, że czynię to równie wiernie i szczerze, jak on wtedy w łódce na jeziorze Naiwasza. Oczywiście nie jestem w stanie dokładnie powtórzyć zdań, które układał, nie zapamiętałem także większości fachowych określeń, zwrotów, skrótów myślowych tworzących szczególny żargon, którym posługują się rajdowcy. Próbuję jedynie przekazać fakty i częściowo przedstawić klimat tamtych dni i tamtej nocy, podczas których toczyli walkę. Opowieść pana Franka zresztą szybko mnie wciągnęła. Tylko w krótkich chwilach, kiedy przestawał mówić, łapałem się na dziwnym uczuciu. Gdzie właściwie jesteśmy? Tu czy tam? Siedziałem na twardej ławce w małej łodzi kołyszącej się jednostajnie na wodzie wielkiego, dzikiego jeziora. Nad głowami przelatowały kolorowe, nieznane mi ptaki, na dnie leżały wielkie ryby o dziwnych kształtach i także nie wiedziałem nawet, jak się nazywają. Siedzieliśmy w ciepłym, lepkim powietrzu, a chwilami zdawało mi się, że czuję powiew siarczystej polskiej zimy. Wyobrażenia podsuwała dobrze znane i bliskie obrazy. Pola zasłane śniegiem i kręte drogi wysadzone pochylonymi nisko drzewami. Gęsty las uginający się pod brzemieniem ciężkich okiści. Wszystko zasnuwane niebieskimi mgiełkami, fioletem nałożony na białe płaszczyzny poprzecinane czarnymi pasami lasów.

Niektóre szczegóły, które pan Franek podawał, znałem z autopsji albo opowiadań. Ba, znałem także głównych bohaterów tej historii. Znałem też sprawy, które ich dzieliły, choć według mego sądu dzieliły ich nie sprawy, ale różne usposobienia, mentalność, wiek, zalety i wady, jakie posiadali. Z Janem łączyła mnie od dawna zażyłość. Mariusza po prostu znałem tak, jak znam wielu zawodników z najrozmaitszych dziedzin sportu stykając się z nimi w czasie zawodów. Tych dwóch miałem okazję obserwować kilkakrotnie na najrozmaitszych trasach w Polsce i za granicą, choćby podczas Rajdu Monte Carlo. Zdawało mi się, że wiem, na co ich stać i mam w tym wypadku na myśli nie tylko mistrzowskie prowadzenie samochodu, odwagę, zimną krew, odporność fizyczną i psychiczną, ale i inne cechy, które nie są obce nam, zwyczajnym śmiertelnikom. Nazwijmy te cechy wyrozumiale „slabostkami”, choć nikt przecież, kto ich znał, nie nazwałby Jana człowiekiem dobrodusznym, raczej określano go jako bezwzględne, a nawet pysznego z jakąś tam domieszką egoizmu. Taki człowiek musiał bardzo mocno przeżywać, że coraz szybciej zbliża się kres jego długiej i błyskotliwej kariery. To są znane sprawy, znane reakcje. Nie raz obserwowałem zachowanie kończących się zawodników i procesy, jakie w nich zachodziły. Ludzka rzecz. Zresztą nikt nie jest zwolniony od tego rodzaju gorzkich myśli i przeżyć. Jan i tak „kończył się” z wolna, ale przeżywał to wyjątkowo mocno. Upraszczając, można by powiedzieć, że złościła go młodość tamtego. Tak, właśnie w ten sposób określiłbym źródło niechęci starego, wielkiego mistrza do młodej, nowej gwiazdy.

Z kolei Mariusza cechowała normalna ambicja młodzieńcza. Na pewno także próżność. Cóż, stawał się kimś w sporcie i do tego w sporcie automobilowym. To imponuje ludziom. Odwaga, ryzyko, groźba śmierci. Był młody, o ujmującej powierzchowności i niezaprzeczanym wdzięku osobistym.

Powracając zaś do samej ambicji, to chyba jest ona w sumie czymś dodatnim, tyle że w wypadku ludzi młodych i sławnych, a jednocześnie szybko idących w górę, ambicja może przybrać niekiedy formę nieprzyjemną. A więc powiedzmy sobie, że Mariusz – przynajmniej w tamtym okresie miał już ambicję chorobliwą, a źródłem jej była zazdrość. Zazdrość o sławę i mir, jakie Jan posiadał, przerodziła się z czasem w zawiść. Zaczął go dościgać. Uważał, że jest mu już równy – ale pozycja Jana okazała się niewzruszona.

I tak spotkały się dwie zawiści. Spotkały, a potem zderzyły. I to w jednym, bądź co bądź małym światku automobilowym.

Nie lubili się, chociaż często jeździli w tej samej fabrycznej ekipie. Nawet te pobieżnie podane fakty już w pewnej mierze wyjaśniają, dlaczego obserwowaliśmy w jeszcze jednym środowisku sportowym kolejny zaciekły antagonizm. Opinia publiczna, a mam w tym wy-

padku na myśli dziennikarzy, chcąc nie chcąc antagonizm ten tylko podsycala. Zresztą większość dziennikarzy sportowych na całym świecie zawsze raczej faworyzuje młodszego. Stary mistrz przedstawia dla nas tę wartość, że po pewnym czasie można napisać o nim ładne wspomnienie. Nowy talent to jest co innego, to ktoś na kim będzie się przecież jechać, mówiąc naszym żargonem, przez pięć lat, siedem może więcej – w zależności od konkurencji, wytrwałości zawodnika, zdolności, a pewnie i szczęścia.

Przypomniałem na łodzi panu Frankowi, gdyż zdaje się obito mu się to o uszy, że raz próbowałem pogodzić Jana z Mariuszem. Było to na balu „Mistrzów Sportu”. Dobrze po północy, kiedy zabawa szła na całego a nastrój był szampański, zaprosiłem ich niby przypadkowo do baru. Zaskoczyło mnie wówczas, że sprawę kategorycznie przeciął właśnie starszy. – Nie wchodzi w grę – powiedział Jan. – Nie mam ochoty kontaktować się z tym panem prywatnie. Rajd to co innego. Jan nie mógł wybaczyć, że w jednym z wywiadów dla radia Mariusz niezręcznie wyraził się o nim. Niby zachwycał się licznymi osiągnięciami i mistrzowską taktyką, a także techniką jazdy, ale wtrącił, że „gdyby nasz zasłużony mistrz miał więcej rozmachu i brawury” – tak właśnie powiedział: „brawury, to trudniej byłoby nam go, młodym, doścignąć.

Wtedy w barze Mariusz, wydało mi się, był miększy. Jeden krok, jeden gest ze strony Jana i może nie padłby mu w objęcia, ale wyciągnąłby rękę, nawet przeprosił i dołożył starań, aby wszystkie urazy przeszły raz na zawsze do przeszłości. Co wcale by nie znaczyło, że nie robiłby wszystkiego dalej, by Jana zdetronizować i to w jak najkrótszym czasie. Ale czy można mieć o to pretensje? Na całym świecie każdej soboty i niedzieli na każdym stadionie stale jakiś młody stara się prześcignąć starszego i bardziej sławnego zawodnika. Bywa, że dokonuje się to bez wzajemnego antagonizmu. – Gratuluję ci. Nie przypuszczałem, że jesteś już taki dobry – mówi zdetronizowany do nowego mistrza. I odchodzi na bok. Albo zacznie przygotowywać się do wzięcia rewanżu, albo zrezygnuje i w samotności będzie próbował przystosować się do odmiennej sytuacji. Never come back! Ktoś kiedyś orzekł, że starym mistrzom nigdy nie udają się powroty na arenę. Nic bardziej błędnego. Kroniki sportów czasem odnotowują takie zdarzenia. Osobiście dopatruje się w nich czegoś optymistycznego. A więc jednak są tacy, którzy umieją zwyciężyć czas.

Chciałbym jeszcze dodać, już bardzo krótką i czystą fachową charakterystykę tych dwóch znakomitych kierowców. Jan, nieważne czy miał wtedy w Kenii 49 lat czy 54, jak przyznał się tamtej nocy, zostawmy to. Otóż Jan był kierowcą o mózgu obliczającym wszystko jak elektronowa maszyna. Król taktyki, przewidujący to, co może zdarzyć się w rajdzie, zimny kalkulator, zdobywający się na ryzykancki poryw tylko wtedy, jeśli już nie ma innego wyjścia.

Mariusz tak czy inaczej był o ćwierć wieku młodszymi. Tak, jak pierwszy długo się wspinał, tak drugi wypłynął szybko. Był niewątpliwie rzadkim talentem automobilowym obdarzonym niebywałym wyczuciem kierowcy. Jan za to zgromadził przez dwadzieścia lat jazdy nieporównywalnie większą ilość sukcesów, co złożyło się na jego wyjątkową popularność. Był autorytetem w oczach opinii, kimś na kogo można liczyć. Po tamtym rajdzie zimowym – raptem popularność i autorytet zmalowały. Nie szło ludziom o sam fakt wycofania się ale o formę, w jakiej się wycofał. Jak pisano i mówiono, szło o nonszalancki i lekceważący opinię publiczną sposób wyjaśnienia całej sprawy, czy raczej w ogóle o jej niewyjaśnienie do końca.

Mariusz, jak każdy młody, był niecierpliwy i chciał prześcignąć pod każdym względem starszego rywala, jakby nie rozumiejąc, że przecież i tak niedługo nadejdzie czas, kiedy zajmie jego miejsce. Właśnie, czy zajmie? Czy zgromadzi w przyszłości równie bogatą kolekcję trofeów? To było jeszcze możliwe. Ale czy zdobędzie ten sam podziw i sympatię u ludzi interesujących się nie tylko sportem? To musiało go jątrzyć. I to stało się w pewnym okresie przyczyną wzrastającej obopólnej zawiści – oczywiście ukrywanej, ale nie na tyle by nie uzewnętrzniła się w wąskim przecież środowisku, do którego obaj należeli i którego byli wybitnymi przedstawicielami.

Tamtego roku na początku zimy odbywał się duży, międzynarodowy rajd poprowadzony po raz pierwszy przez zupełnie nową i trudną trasę. Wiódł przez wschodnie tereny kraju. Start nastąpił w Ustrzykach Dolnych – istotnie na samym dole mapy Polski, a metę wyznaczono w Gołdapi. Na wielu odcinkach wybrano specjalnie boczne drogi wiodące przez lasy i odludzia, przez wsie i małe miasteczka, wzgórzami oraz brzegami jezior. Zimy w tych okolicach bywają na ogół surowe, nawet jeśli w głębi kraju brak mrozu i śniegu. Aż dziw, że przez tyle lat nikt nie wpadł na pomysł, aby wymyślić tak ciekawą, trudną i atrakcyjną trasę. Dodajmy atrakcyjną nie tylko dla zagranicznych ale i dla krajowych kierowców, z których niejeden miał po raz pierwszy zapuścić się w te okolice. Kto nie zna dotąd Bieszczadów w porze zimy, niechaj żałuje! A wschodnie ziemie?! Lesiste tereny na północ od Przemyśla. Puszcza Solska, Zamojszczyzna, a dalej Białowieża aż po augustowskie i przepiękną Suwalszczyznę. Natrafić tam można jeszcze na zagubione wioski, stare kościółki i cerkiewki. Raptem zza ściany lasu wyłania się na rozstaju dróg sędziwy dom z gankiem albo drewnianą werandą schowany w kępie drzew. Chaty o prostym pięknie architektury. Jeziora i kręte rzeczulki samotnie wędrujące między zagajnikami i wysokopiennym lasem. Ciągnie się ten las, ciągnie i przechodzi w gęsty bór, czasem w puszcze. O każdej porze roku jest tam pięknie i o każdej porze zupełnie inaczej.

Na starcie w Ustrzykach stanęły 73 załogi, w tym 14 z zagranicy, a wśród nich kilku renomowanych rajdowców z Włoch, NRD, Francji i Czechosłowacji.

Dodatkową sensacją stała się zapowiedź Jana, że być może zakończy w tym rajdzie karierę. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że Rajd Jezior i Lasów a jak go nazwał jeden z reporterów: „Zimowe, polskie Safari” stało się tym samym dla mistrza czymś szczególnie ważnym. Pożegnaniem, a jednocześnie arcyprestizową próbą. Zanim powie: żegnajcie! postanowił udokumentować, że był i pozostał najlepszy. Taki był zresztą ton komentarzy prasowych.

W przeddzień startu Mariusz w jednym z wywiadów powiedział: – Mój sławny kolega twierdzi, że na pożegnanie wygra. Czy wobec tego nie za późno się żegna?

Mariusz miał czasem takie strzały. Trzeba przyznać, że przeprowadzanie z nim wywiadów często zaskakiwało, ale zawsze było interesujące.

Rajd miał się już ku końcowi. Do mety w Gołdapi pozostał ostatni etap długości kilkudziesięciu kilometrów, prowadzący podobnie jak i poprzednie ciasnymi, skomplikowanymi pętlami po zaśnieżonych i oblodzonych leśnych drogach na obszarach pomiędzy Puszcza Białowieską i Suwalszczyznę. Trasę tę pokonywali nocą. W dotychczasowej klasyfikacji generalnej prowadził francuski kierowca Junot, ten sam który przegrał teraz w Safari, z minimalną przewagą nad Janem, który z kolei uzyskał nadspodziewanie dużą przewagę nad Mariuszem. Ta noc miała rozstrzygnąć o pierwszeństwie. Trzydzieści trzy załogi już odpadły. Zanotowano jedenaście kraks, w tym dwie dosyć poważne, ale na szczęście obyło się bez karetki pogotowia i towarzyszący rajdowi lekarz wystarczył do udzielenia pierwszej pomocy. Reszta to były najrozmaitsze defekty. Rajd okazał się jeszcze trudniejszy niż przypuszczano. Junot wyruszył z Hajnówki, tak wypadło, jako czternasty. Mariusz jako szósty od końca, a Jan z panem Frankiem jako przedostatni.

– Byliśmy w dobrym nastroju – opowiadał pan Franciszek. – Swoją pozycję uznaliśmy za obiecującą. Jechaliśmy według wypróbowanej metody Jana. Zachowaliśmy odpowiednią rezerwę sił fizycznych i psychicznych nie wymęczając jednocześnie nadmiernie samochodu.

Dopiero zbliżali się do miejsca, skąd postanowili przypuścić spokojny, długi atak. Wóz zachowywał pełną sprawność. Byli, jak powiedziano, w dobrym nastroju, ale jednocześnie budził się starannie skrywany niepokój. Jak większość rajdowców i oni byli przesądni. Wszystko szło przecież według planu, a więc aż za dobrze.

Zapuszczali się właśnie w zalesione okolice na północ od Augustowa. Przez chwilę jechali szosą, lecz zaraz trasa zmusiła do skrętu na bitą drogę pokrytą śniegiem, na której znać było koleiny wyrzeźbione kołami aut. Wkrótce mieli wjechać na dużo trudniejszy odcinek. Rajd

znalazł się w okolicach, gdzie jak małe wysepki na morzu rozrzucone są pośród lasów i zamrzniętych jezior wsie i osady liczące zaledwie po kilka domostw.

Pędzili z dużą szybkością nie napotyając żywej istoty. Była głęboka noc. Jedynym śladem, że jedzie przed nimi rajd, było trzykrotne minięcie przechylonych na bok aut. To rywale zaryli się w śniegu, ale nic im się nie stało. Ocierając się o ośnieżone drzewa wyprzedzili dwa inne samochody, które nie mogły im sprostać. Po obu stronach z zawrotną szybkością przesuwały się ściany ośnieżonego lasu. W smugach reflektorów rysowała się biel wąskiej drogi, przypominającej dno tajemniczego wąwozu. Pokonywali zakręty, wpadali w wyboje i wówczas samochodem łomotało. Często napotykali na długie tafle silnego lodu. Auto zaczynało iść zygzakiem, nabierało znowu szybkości i pędziło dalej równym torem. Dyktował z itinera szybko i spokojnie rozparty wygodnie w fotelu. Co pewien czas spoglądał na partnera. Czuł, że Jan znajduje się w jedynym, znanym tylko jemu rytmie niedościgłej jazdy. Wchodził teraz na szczyt – jak zwykle, kiedy rozpoczynał ostatnią fazę walki. Słynny, długodystansowy finisz Jana.

Raptem, kiedy wychodzili z ciasnego zakrętu na zupełnie swobodnym poślizgu, otworzył się przed nimi prosty odcinek. W odległości około stu metrów przecinała go nieco węższa leśna droga. Na skrzyżowaniu stała stara warszawa combi, ale była jeszcze jakaś przestrzeń, w którą ich wóz mógł się zmieścić. Ocenili sytuację jednakowo i jednocześnie, choć nie wymienili słowa. W tym momencie dostrzegli niebieskie migające światło na dachu pojazdu. A zaraz potem jakąś postać stojącą akurat na wolnej przestrzeni, którą zamierzali zaatakować.

– Dał dodatkowe światła – mówił wolno, niemal cedząc słowa pan Franek. – Zobaczyliśmy sylwetkę kobiety. Na ramionach kożuch, pod kożuchem biel. Zamachała gwałtownie rękami. Jechali szybko. Można było jeszcze zahamować albo rzucić samochód w bok i tam znaleźć dlań oparcie lub przesmyk. Jan drgnął ale nie zdjął nogi z pedału. Kobieta uskokczyła w bok. Przelecieli mimo. Po twarzy Jana przeleciał tylko niebieski odbłask mrugającego światła. Znow mieli wolną drogę przed sobą.

– Zwariowałeś – powiedział do Jana i nie oznaczało to ani stój, ani nie było wyrzutem, że się nie zatrzymał. Nie zdążyli przejechać chyba kilometra, może półtora, w każdym razie wydało mu się to długo. Raptem Jan powiedział: – uważaj, ostro hamuj! Rzuciło go trochę do przodu, ale pasy trzymały i zdążył się zaprzeć nogami. Jan włączył wsteczny bieg. Na ogromnym warkocie, który, zdawało się, że wypełnia milczący i groźny las, cofali się i cofali aż do miejsca, gdzie w równych odstępach zapalała się i gasła sygnalizacyjna lampka karetki pogotowia. Stanęli i wyszli

na drogę.

Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie, choć obu wydawało się, że postój ich przeciąga się w nieskończoność. Jan mówił mu później, że nie wiedział dlaczego tak postąpił. Był wściekły, kiedy jechał w zupełnie innym kierunku, mając po prawej ręce starszą kobietę w kożuchu zamiast pilota, który został przy karetkce wraz z jej kierowcą. – Nie, przy tym już nie byłem – opowiadał pan Franek. – O tym co działo się później, dowiedziałem się od niego. Ale nie tylko od niego. W jakiś czas po rajdzie pojechałem specjalnie, żeby odnaleźć tych ludzi. To co mówili, mniej więcej zgadzało się z tym, co mówił Jan. Może on tylko krócej przedstawił całą sprawę. Krótko i węzłowato: wplątałeś mnie w te baby! Tak, jakbym ja kazał mu się zatrzymać – i cholera baby postawiły na swoim.

Ale i tamci, znaczy ta lekarka i ta druga kobieta, o której zaraz opowiem – ciągnął pan Franek – przyznały, że początkowo był bardzo nieprzyjemny, chwilami nawet brutalny. Ale w końcu zrobił to, co chciały.

Otóż lekarka z Sejn została zawiadomiona przed paroma godzinami, zanim napotkali karetkę, że w osadzie Poćkuny oddalanej o 30 kilometrów, a może i więcej, od szpitala w Sejnach, kobieta dostała przedwczesnych bólów porodowych. W osadzie oczywiście nie było telefonu. Na polanie pod lasem stało kilka domów nad zamrzniętym stawem, jakieś płoty i

nic więcej. Jak zawiadomić lekarza? Sąsiad zaprzągnął zaraz sanie i pojechał do leśniczówki oddalanej o 7 kilometrów, skąd dopiero telefonicznie zawiadomiono szpital o ciężkim wypadku. Sąsiad miał trudną drogę, ledwie dotarł śnieg, zasy, noc. Karetka z lekarką wyruszyła z Sejn natychmiast, ale w jakiś czas później pojazd doznał defektu, bo była to karetka wysłużona i kierowca od kwadransów nie mógł jej uruchomić. Przeleciało kilka samochodów, ale żaden się nie zatrzymał. Kierowca kłął rajdowców, ale potem przyznał, że mogli nie wiedzieć kto stoi, bo jak na złość przestała mrugać im także sygnalizacja.

I tak Jan pędził potem z równie ogromną szybkością jak po rajdowej trasie tyle, że w innym kierunku. Denerwowało go, że tak długo pokonuje niewielką odległość dziewięciu kilometrów, jak określiła siedząca obok doktor. Droga była fatalna. Był wściekły, bo okłamała go. Okazało się, że nie było dziewięć, ale dwanaście kilometrów. Obliczał, że obróci tam i z powrotem w czasie, który pozwoli mu włączyć się ponownie w rajd. Szansę zwycięstwa odpadły. Chyba że doszłoby na trasie do jakichś nieprzewidzianych okoliczności. Tylu ich już odpadło do tej pory, to mogli odpaść dalsi. Cały czas myślał jednak przede wszystkim jak jedzie Mariusz, a nie Francuz i inni z czołówki.

Pan Franek w tym miejscu mówił trochę chaotycznie. Cofnął się znów i opisał, co działo się, kiedy stali na skrzyżowaniu. Wszyscy spieszyli się, ale wypadki toczyły się wolno. Lekarka była stanowcza i nie prosiła, ale wprost żądała, żeby ją natychmiast zabrać i zawieść do chorej. Natychmiast wziął się do naprawy samochodu. Pomagał mu kierowca, ale ręce tak mu się trzęsły, że kazał mu odejść, by nie przeszkadzał. Zaraz zorientował się zresztą, że defekt jest poważny. – Potrzebna była część zamienna, to było... – i tu pan Franek machnął ręką i nawet nie tłumaczył. – Takie drobne świństwo się rozleciało. Nie można było tej landary zaraz uruchomić.

Jan stał i palił papierosa. Obok nacierała nań starsza kobieta. Mówiła szybko śpiewnym akcentem, jakim mówią ludzie w tamtych stronach. Dochodziły go tylko strzępy zdań.

– Panowie mają taki dobry samochód. Ona umrze. Chodzi o życie. To niedaleko stąd.

– Szkoda czasu – zawołał do Jana. – Jedźmy!

Spojrzał. Nie zrozumiał. Dokąd? Czy w kierunku, w którym coraz bardziej oddalali się rywale, czy tam w tę wąską przecinkę leśną, gdzie rozkazywała jechać kobieta w kozuchu narzuconym na fartuch szpitalny. Wzięła Jana za rękę i coś krzyczała, a on reperował. Przystał. Stali już dwie minuty i trzydzieści sekund.

– Trzy minuty – powiedział Jan. Rozwagał coś. Pewnie myślał o tym, że Francuza już nie doścignie. Ale Mariusz. Jest jeszcze Mariusz. Ich przewaga topniała. Za chwilę nie będzie już przewagi. Ale są szanse. Prześcignie go na ostatnim odcinku specjalnym już niedaleko przed Gołdapią.

– Stoimy już trzy i pół minuty – rzucił nerwowo Jan.

– Jedźmy – ponaglał pan Franek.

Poruszył gwałtownie ramionami. – Tam? – wskazał na drogę, z której zawrócili. – Czy tam?

– Rób jak chcesz. Ale myślę, że... i dodał: – Junota i tak nie dościgniesz.

– Mariusz – odparował Jan.

– Dasz radę – rzucił szybko. – Nie liczyłeś, że będziesz miał tyle nad Mariuszem. On nie może jechać szybciej. W Hajnówce miał stuki. – Masz dużą nad nim przewagę.

Jan rzucił się do auta. – Zostajesz tu. Uruchamiaj karetkę. Zaraz wracam. Gdzie to jest? – Obejrzał się na lekarkę. Siedziała już w ich wozie.

Co chwila pytał ją, jak potem opowiadał, czy dobrze zna drogę. Znała, była tam parę razy z wizytą lekarską. Siedziała zadowolona, że już jadą. Starsza kobieta, tęga, z bruzdami na twarzy, siwe kosmyki włosów mokre od śniegu sterczały śmiesznie spod chustki. Cały czas gadała, cholera! – opowiadał Jan. – Chwaliła drogę, że nie taka zła, prawie taka jak tamta, tylko miejscami trochę gorsza. Musiał wytracać zupełnie szybkość, bo na drodze leżał kopny śnieg.

Pokonywał przeszkodę i natychmiast dawał gazu. Potem przyznał, że było to szaleństwo. Co chwilę wyrastały zasy, ale kiedy las gęstniał, droga znów była nieco lepsza i szorował ile się dało. Nigdy tak nie jechał. Tak wspaniale i tak szaleńczo. Lekarka, która z początku dużo mówiła, siedziała cicho i raptem zorientował się, że w ogóle nie odzywa się. Spojrzał. Siedziała obok skulona, napięta, z grymasem przerażenia na twarzy. Dodał gazu i teraz rozpoczął już istic opętańczy taniec na karkołomnej drodze. Gwałtownie wjechał w przesmyk między drzewami, by skrócić choć 150 metrów i zarobić jeszcze sekundy. Wtedy krzyknęła piskliwie; – Nie tak szybko! Zabijemy się. Wjechał znów na swój szlak, ale zaraz dostrzegł napuchnięty od śniegu pagórek, rzucił maszynę w bok i wpadł między drzewa dostrzegłszy dróżkę nieco bardziej ubitą. Znów poszedł na skrót. Raptem poczuł, że jej ręce złapały za kierownicę. – Zatrzymaj się człowieku! – krzyczała. Chciała wysiąść. Szamotała się, przeszkadzając mu prowadzić. Musiał zwolnić, aby nie wpaść na drzewa. Drugą ręką przygniótł kobietę do fotela. Zatrzęsło wozem. Ominęli wzniesienie, pędzili znów po nieco szerszej drodze i wtedy zobaczył w odległości kilometra światła. – Powiedziała pani, że tam potrzebują pomocy. Więc się spieszę.

– Kim pan jest?

– Jadę w rajdzie.

– Wysiadam. Zatrzymać się!

– To tam? Wskazał na majaczące coraz bliżej światła. Natychmiast uspokoiła się, ale nie odpowiedziała. Dopiero po chwili: – Dom Gawrycha. Następny dom.

Ostatnie kilkaset metrów szedł ze wzrastającą szybkością. Światła były wyraźne. Na polance rysowało się kilka zabudowań. We wszystkich oknach paliło się światło. Wskazała ręką na dom.

Przypadek okazał się bardziej skomplikowany. Lekarka nie mogła sobie dać rady. Przeżył okropne chwile siedząc w izbie przed podaną szklanką gorącego mleka, której nie tknął. Słyszał jęki kobiety. Wychodził na dwór, lecz natychmiast wracał, bo zdawało mu się, że jak będzie przy tym bliżej, wszystko zakończy się szybciej i będzie mógł natychmiast odjechać. Trzy razy wychodził i wracał. Kiedy wrócił za trzecim razem, lekarka czekała w towarzystwie sąsiadów i matki położnicy. Z chorą było niedobrze. Lekarka powiedziała, że zaraz jadą, ale muszą wziąć rodzącą i odstawić jak najszybciej do szpitala.

Nie zmartwił się zbyt. Mieli jechać, to było najważniejsze. Nie zdawał sobie sprawy, co go czeka. Powiedział, żeby jak najszybciej przygotowali chorą do drogi. Wciąż wierzył, że zdążyli naprawić karetkę. Lekarka zawołała go, by pomógł wynieść chorą. Unieśli ją wraz z sąsiadem opatuloną, pojękującą cicho i ułożyli na tylnym siedzeniu. Obok przycupnęła lekarka. Zatrzasnął drzwi przed nosem zapłakanej matki. Nie zgodził się jej zabrać. Ruszył. W lusterku widział lekarkę pochyloną nad chorą. Kiwały się na nierównej drodze, podskakiwały, a towarzyszyły temu jęki, czasem głośniejsze zawodzenie. Chcąc nie chcąc zwolnił i tak dojechał do skrzyżowania.

Jan mówił później, że nigdy mu tego nie wybaczy. Szlag go trafił, kiedy zobaczył, że karetka nie czeka na skrzyżowaniu. Są na chodzie! To była jego pierwsza myśl. Ale gdzie pojechali do diabła?! Stał naciskając z wściekłością pedał gazu, to go zwalniał, znów naciskał i wtedy huk motoru wypełniał echem las. Raptem skręcił na szlak rajdu.

– Dokąd? – Zawołała lekarka. – Stać! Jedź tam, gdzie każe. Do szpitala!

Zatrzymał się, ale nie dlatego, że żądała tego. Wskoczył z wozu. Uchyliła drzwi i podtrzymując chorą krzyczała groźnie: – Do Sejn! Do szpitala.

Nie słuchał. Wrócił, siadł i gwałtownie cofnął się na skrzyżowanie. Znów wyskoczył i pochylił się nad śniegiem. Szukał śladów opon. Podniósł się. A więc wykęcili i pojechali w kierunku Sejn. Był w furii. – Przecież miał czekać!

– Pojechali do szpitala – zaśpiewała lekarka. – Takie wydałam polecenie kierowcy. A ten drugi powiedział, że jak naprawi, to pojedzie. Ten drugi, to byłem niby ja – opowiadał pan Franek.

Nawymyślał jej. Z góry wiedziała, że będzie musiał czekać w chałupie i zaplanowała, że zmusi go by jechał do szpitala. Ale się wplątał!

– A tak, z góry wiedziałam syneczku, że tak będzie najmądrzej. Wasz wóz lepszy. To było jedyne wyjście. Opanowała całkowicie sytuację. Zmieniła ton. Była niemal przyjacielska. Czowała, że wzięła nad nim górę. Z impetem ruszył w kierunku Sejn. Milczał, nie odpowiadał ani słowem na jej uwagi. – Przynajmniej na coś przydadzą się te wasze rajdy. A tak wypalacie benzynę bez pożytku. Zrobiłeś syneczku dobry uczynek.

Jechał szybko i po przejechaniu zaledwie kilku kilometrów wychodząc z ostrego zakrętu, omal nie wpadł na niespodziewaną przeszkodę. Na środku drogi stała karetka. Jakoś naprawili ale nie na długo. Teraz utknęli rzeczywiście na amen. Spojrzał na pana Franka, tak, że trudno opisać. Bez dyskusji polecił kierowcy szpitalnemu, aby tu czekał. Ze szpitala przyślą pomoc. Pokazał pilotowi ręką, by siadł na swoje miejsce, trzasnął drzwiami i pojechał. Kobiety siedziały w tyle. Chora trochę jęczała, ale chyba mniej. Jan był kamienny. Raz się odwrócił i spojrzał pytająco na lekarkę. Chora leżała cicho. Stara uśmiechnęła się i dała znać ręką, żeby jechał dalej. Stracili oczywiście ogromnie dużo czasu, nawet już nie liczyli ile. Nie pytał co zamierza robić. W pewnym momencie Jan raptownie zwolnił. One tam przechyliły się do przodu, a chora jęknęła. Zwiększył znów szybkość. W pewnym momencie bardzo źle wzięł zupełnie łatwy wiraż. Pierwszy raz pan Franek widział, żeby tak pojechał. Spojrzał z ukosa i wtedy dopiero zorientował się, że coś się z nim działo. Jan oddychał ciężko, był spocony. W pewnym momencie szarpnął za klamkę i odkręcił okno. Do wozu wtargnęło mroźne powietrze. – Człowieku, zawieje ją! – zawołała lekarka. Znow była ostra, bezkompromisowa. Nie pozwoliła im palić. Jan jechał szybko ale niepewnie.

Wreszcie dojechali do Sejn. Było już dobrze po północy. Po paroksyzmach bóleści pod koniec drogi chora uciszyła się zupełnie. Wnieśli ją cichą i zaskakująco ciężką do pustej poczekalni i zaraz przejęło ją dwóch mężczyzn ubranych na biało. Lekarka zamieniła z nimi kilka szybkich zdań.

– Jak jest? – zapytał Jan.

– Źle – odpowiedziała. – Ale zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. A teraz tu robi się wszystko. I odeszła pospiesznie bez pożegnania.

Usiedli z Janem przy oknie. Uchylił je. Oddychał ciężko. Czuł się fatalnie. Nie krył tego.

– Odsapnij, zaraz jedziemy. Jak chcesz, ja poprowadzę.

Nic nie odpowiedział.

Na stoliku, który stał w poczekalni pojawiły się dwa kubki z czarną kawą, które przyniósł niemłody mężczyzna w fartuchu i zaraz zniknął, Jan palił drugiego papierosa. W głębi korytarza słyszeli krzątanie, pisk kółek przesuwanego wózka szpitalnego i od czasu do czasu przyciszone głosy.

Powiedział, że pewnie już robią zabieg i że to może potrwać. – Chcesz czekać? – zapytał pan Franek.

Po raz pierwszy Jan był kompletnie załamany. W ogóle nic nie słyszał. Pan Franek usiadł na krześle wyciągnął nogi i zaczął pić kawę. Trwali tak w milczeniu. Raptem gdzieś niedaleko w miasteczku posłyszeli narastający warkot motoru. Przybierał na sile, przybierał, a potem zaczął się oddalać. Długa przerwa. Znow warkot. Jechali widać najbardziej zapóźnieni uczestnicy rajdu. Ci, których prześcignęli przed spotkaniem z karetką, a pewnie i ten ostatni, który wystartował z Hajnówki tuż za nimi. Ale się wlekli! Ile oni stracili. – No, Jan – ile oni stracili?

Spojrzał i wreszcie uśmiechnął się, ale krzywo. – Nie ukończymy Franek tego rajdu.

Za oknem była jeszcze noc, ale niebo stawało się jaśniejsze.

Tak wyglądał ostatni rajd Jana, siedemnastokrotnego mistrza Polski, trzykrotnego zwycięzcy Rajdu Akropolis, wicemistrza Safari nie licząc innych sukcesów.

Skomplikowany zabieg porodowy udał się lekarzom Sejn po parogodzinnej walce o życie matki i dziecka. Urodziła się dziewczynka. Lekarka przyszła i powiedziała: – Chcecie zobaczyć małą z daleka, to zaraz was poproszę – pobiegła z powrotem w głąb korytarza.

Jan wstał szybko i powiedział: jedziemy! Właściwie uciekli, a nie odjechali. Ktoś wybiegł przed szpital i wołał za nimi, ale Jan nie zatrzymał się. Jechał bardzo szybko. Bezbłędnie. Stał dopiero w Suwałkach. Świtało. Weszli do hotelu. Poprosił portiera, aby błyskawicznie połączył go z Gołdapią. Ktoś przyjął telefon i Jan powiedział, że wycofuje się z powodu defektu.

Rano po rajdzie, który zakończył się zwycięstwem Mariusza, bo Francuz odpadł na 30 kilometrów przed metą z powodu zatarcia silnika, w kwaterze automobilistów wrzało, Wielu orzekło, że Jan po prostu nie dał rady i bujał z tym defektem. Wynoszono pod niebiosa sukces zwycięzcy. – Mamy nowego, wielkiego mistrza! – pisała prasa. O Janie pisali sporo i różnie. Byli tacy, którzy chcieli dojść prawdy. Co się stało? Odpowiadał krótko – Nic. Defekt.

Wymógł na pilocie, że nie powie. – Nawaliłeś, żeś wtedy odjechał karetką, to teraz nie możesz nawalić. Na dobrą sprawę pan Franek nie bardzo rozumiał, dlaczego tak się uparł. Namawiał go, żeby po pewnym czasie wyjawiał całą historię z tą starą i z tą małą. Wydawało mu się, że Jan już mięknie. Nalegał. Aleksandra mówiła: – Daj mu spokój.

Jan wziął się, kiedy przeczytał w jednym tygodniku wielce psychologiczny artykuł o przemijaniu sławy sportowej, o starości, a także o upiękuszonych legendach, jakie powstają nieraz wokół pewnych postaci. To były aluzje do pogłosek, najrozmaitszych plotek, bo w końcu jakaś część prawdy zaczęła się przedostawać na zewnątrz.

Mariusz zachował się wtedy dość dziwnie. Rozmawiał długo z autorem artykułu, mówił tajemniczo, że jednak dawnemu mistrzowi coś się zdarzyło na trasie, ale jednocześnie dodał, że sportowcy to też ludzie i lubią tworzyć wokół siebie legendy. – Ale jeśli jest to legenda wychowawcza, bo przecież młodzież czyta, trzeba to zrozumieć i przyjąć itd. itd.

W kilka miesięcy po Rajdzie Jezior i Lasów w mieszkaniu Jana zjawiała się kobieta ubrana zgoła nie z miejska. Przepraszała za najście śpiewnie tłumacząc, że pisała wiele razy z Poćkun, ale nie otrzymała odpowiedzi, więc ośmieliła się osobiście bardzo, a bardzo prosić tak sławnego pana i tak dobrego człowieka, aby podawał do chrztu jej Karolinę. Siedziała u Janów ze trzy godziny. Wymawiał się i w końcu niechętnie się zgodził. Chrzciny się odbyły. Jeżdżą z Aleksandrą do Poćkun czasem na wakacje.

Doktor Z. złowił kilkanaście kilogramów, a my z panem Frankiem siedem, no może dziesięć najwyżej. Porażka była dotkliwa. Doktor wpadł w jeszcze lepszy humor. Prowadziliśmy auto znów na zmianę i w doskonałych nastrojach wróciliśmy późnym popołudniem do hotelu Chiromoo. Zdążyliśmy jeszcze pójść na pożegnalny dansing i po raz ostatni widziałem starego Murzyna, który tak pięknie tańczył bez partnerki.

Odlatywaliśmy tuż przed północą i wszyscy nas odprowadzili na lotnisko. Przemili pan Edward z naszej placówki, król Safari – pan Xawery, doktor Z. i w ogóle wszyscy, których tam poznaliśmy i polubiliśmy.

Poleciliśmy wprost do Wiednia z krótkim lądowaniem w Atenach. Z Wiednia do Warszawy udałem się pociągiem. Jechałem sam. Był wiosenny ranek. W Polsce dopiero zakwitwały drzewa. Stałem przy oknie. Pociąg mknął między łąkami porośniętymi delikatną trawką, wpadał w pachnący las, mijał brzydkie i ładne miasteczka. Nagle wszystkie lwy i słonie, pogięta Toyota Singha i zagubiony w buszu camp w Amboseli wydały mi się czymś dalekim i wymyślnym, nierzeczywistym, jak przygodowy film panoramiczny w technicolorze.

Jana i Aleksandrę rzadko teraz widuję. Ale kiedy ich znów zobaczę, nie jestem pewien, czy zapytam, co słyhać w Poćkunach, chyba nic. A może sami zaczną?

Jaskółka

W opowiadaniu tym wystąpią według kolejności następujące osoby: Dziewczyna, Kandydat na reportera, Chirurg, Wiceprezes, Szofer ciężarówki, Trener, Przechodzień, Lekarz sportowy, Reporter i Jaskółka oraz siedmiu anonimowych członków Społecznej Komisji Etyki Sportowej. Trudno mi odpowiedzieć na pytanie, czy wszystkie osoby są jedynie tworem imaginacji. Nie istnieje na pewno owa Społeczna Komisja Etyki Sportowej, tego jestem pewien, ale z kolei ja mógłbym zapytać Czytelnika: a może przydałaby się taka w naszym sporcie?

Naprzeciw siedzi Dziewczyna. Wygląda najwyżej na 21–22 lata, ale z jej danych personalnych wynika, że ma 25. Niewysoka, szczupła, o jasnych włosach spiętych z tyłu w tak zwany ogon, co w pierwszej chwili trochę zaskakuje, gdyż uczesanie takie jest obecnie niemodne, a dziewczyna ubrana jest tak, jak noszą się dzisiaj wszystkie panny: bardzo szerokie spodnie, jasnoniebieskie, w granatowe łąty i różowe kwiatki oraz sweterek fioletowo-zielony bez rękawów. Duże szare oczy patrzą niespokojnie. Mówi przyciszonym miłym głosem. Wyraźnie stara się ukryć przygnębienie.

– Tak, Jaskółka odwoził mnie na dworzec. Było późno i jechał dość szybko. Jak szybko, nie wiem. Nigdy nie patrzę na szybkościomierz, kiedy z nim jadę. Przeważnie patrzę na niego. Zwykle rozmawiamy i wtedy także rozmawialiśmy. Nie, ja wiem, że kierowcy nie wolno mówić w czasie jazdy, to ja tylko mówiłam do niego. Jaskółka milczał i patrzył przed siebie.

– Dla jasności: pani nazywa Jaskółką owego młodzieńca, który tamtego dnia...

– Ależ oczywiście. Cała Polska tak go nazywa, więc panowie chyba także wiedzą, kogo mam na myśli. Inaczej nie umiem o nim mówić. Jeśli to konieczne będę starała się...

– To nie jest konieczne. Jeśli pani jest łatwiej mówić, proszę używać dalej tego pseudonimu. O czym mówiliście w czasie jazdy?

– Proszę wybaczyć, to były nasze osobiste sprawy. Znamy się dokładnie od pół roku, trzech tygodni i dwóch dni. Poznaliśmy się w grudniu tuż przed świętami. Pamiętam doskonale, rano spadł puszysty śnieg, bo w nocy przyszła zima. Był piękny dzień. Poszłam z przyjaciółką, która studiuje w AWF, na spacer do Łazienek i ona go spotkała przypadkiem. Poznała nas. Rozmawialiśmy przez dłuższy czas, przechadzaliśmy się po parku, ani się obejrzałam, jak zrobiło się późno. Wydał mi się zupełnie inny niż wszyscy młodzi ludzie, jakich dotąd znałam. Inny – tak, wiem zwykle wszystko się w ten sposób zaczyna. Ale był taki i jest – małomówny, zamyślony, jakby na wpół obecny. Próbowaliśmy rozmawiać o sporcie, przyjaciółka od razu powiedziała, że jest znanym tyczkarzem. Uśmiechnął się. Mówmy o czymś innym. Coś go chyba nurtowało, zastanawiał się wtedy, czy w ogóle uprawiać dalej sport. Mówił, że próbuje pisać, ale nie powiedział, co pisze. Dopiero później, dużo później, jak już się dobrze znaliśmy, tak w dwa tygodnie później, pokazał mi swoje wiersze. Były piękne, dziwne, zamyślane, delikatne, takie jak on. Byliśmy razem na sylwestrze w AWF i nasza znajomość przerodziła się w coś poważnego. Nie, chyba nie ma potrzeby, bym mówiła, o czym rozmawialiśmy wtedy. To nie ma najmniejszego znaczenia dla tego, co się potem stało. Jesteśmy razem, choć ja mieszkam nie w Warszawie, i mam nadzieję, że nadal będziemy razem. To jest poważne. Wydaje mi się, że i on mnie traktuje poważnie. Mieszkam w Białym-

stoku, tam pracuję. Chyba przeniosę się do Warszawy. Odwoził mnie na dworzec. Trochę zapóźniliśmy się, więc chyba spieszył się, ale naprawdę to nie była jakaś szalona jazda. Nie, nie był zdenerwowany. Może trochę. Mieliśmy ważną rozmowę. Poza tym to był ważny dla niego dzień. Te zawody...

Tak się złożyło, że akurat jednego dnia zawody i nasza ważna rozmowa. Jedno i drugie było ważne. Nie chciałam poruszać wtedy wszystkich kwestii, ale wydało mi się, że on wreszcie zdecydował się. Odczuwał potrzebę przeprowadzenia rozstrzygającej rozmowy. Przyszła na niego taka chwila. To wszystko jest nieproste. Układanie przyszłości to rzecz trudna. No, więc był trochę zdenerwowany, ale opanowywał się. On naprawdę umie doskonale opanowywać się. Zawsze mówił, że na boisku jest zimny, choć mocno przeżywa każdy start. Ale poza boiskiem jest także spokojny, nawet kiedy coś nie układa się, kiedy dojdzie do jakiegoś spięcia. Nie ma ludzi, nawet najbliższych sobie, żeby czasem nie było małego spięcia albo małego nieporozumienia.

Miałam pociąg o godzinie 13⁵⁷. Było mało czasu. Nie pamiętam, o której wyjechaliśmy od niego. Nie patrzyłam na zegarek. Powiedział, że zdążymy. Świetnie prowadzi. Szybko ale pewnie. Nawet jak się spieszy, zawsze przepuszcza ludzi na pasach. On jest bardzo dobrze wychowany. Zawsze to wszyscy mówią. I kobiety i mężczyźni. Mężczyźni, znaczy koledzy, czasem śmieli się z niego, że udaje maniery starszych, że zachowuje się tak, jak przed wojną dziadkowie. Na dworcu byliśmy cztery minuty przed odjazdem pociągu. Może trzy minuty. Jeszcze rozmawialiśmy przed dworcem. Chciałam zostać. Powiedziałam, że nie pojedę, że chcę być na stadionie. Nie zgodził się. Miałas być w Białymstoku wczoraj – powiedział. – Nie dodzwoniłaś się, nie możesz nawalić. Chciałam zostać. Uparł się. Wziął mnie za rękę i szybko poprowadził na dworzec. Pocałował na pożegnanie i wsadził do wagonu. Zawołałam, żeby nie czekał, aż pociąg odjedzie. Ukrywał zdenerwowanie, bo istotnie zrobiło się późno, wiedziałam, że powinien być już dawno na stadionie. To była moja wina, nie jego. Niepotrzebnie podjęłam wtedy tę rozmowę. On zaczął, ale mogłam się przecież wycofać. Nie umiałam, jak zaczął mówić. Byłam szczęśliwa. Potrzebował tej rozmowy. Chyba przygotowywał się do niej. Nie, nie mogłam się wycofać. Ale naprawdę to nie była szaleńcza jazda. I był zupełnie opanowany. Chyba też był zadowolony. Może nawet, szczęśliwy.

Pomachał mi ręką i zajęłam miejsce w przedziale. Pół godziny później wyciągnęłam z torby tranzystorowe radio i nastawiłam. Szła jeszcze muzyka. Nie mogłam doczekać się transmisji, więc złapałam Warszawę wcześniej. Wreszcie się zaczęło. Najpierw podali wyniki, ale już nie pamiętam jakie. Oczywiście tych konkurencji, które najwcześniej się zaczęły i trwały krótko. To chyba były eliminacje sprintów. I zaraz zaczęli mówić o konkursie. Był już rozpoczęty, tyczkarze zawsze wcześniej zaczynają. Ogromnie się zdenerwowałam. zresztą miałam niedobre przeczucie. Dlatego chciałam zostać i być na stadionie. 4.90 to przecież jest nic. Na treningach rozpoczynał ostatnio zawsze od 5 metrów albo i od 5,10. A tu słyszę, że 4,90, Kornacki przeszedł z dużym zapasem, a większość w ogóle przepuścił, ten sławny Amerykanin także. A Jaskółka skakał i nie zaliczył. To było okropne. W ogóle nie skoczył. Biegł i przebiegł pod poprzeczką. Ten reporter mówił, że pierwszy raz coś podobnego widział. Taka mała wysokość i nawet w ogóle się nie odbił. On też był zaskoczony. Ale mówił, że na pewno za drugim razem mu się uda.

– Przepraszamy panią na chwilę. Czy ten reporter go faworyzował? Wyróżniał, może specjalnie lubił?

– Trudno mi na to odpowiedzieć. To znowu inna historia i pewnie panowie ją także znają, może słyszeli komentarz w telewizji poprzedniego dnia wieczorem przed zawodami? Dużo ludzi musiało tego słuchać. Byliśmy razem tego wieczoru, słuchaliśmy razem. Jeśli to potrzebne, mogę powtórzyć. ale zrobię to na pewno niedokładnie, powtórzę tylko sens, ale czy to w ogóle ma jakieś znaczenie dla sprawy? A więc ten sam reporter wygłosił komentarz o naszych tyczkarzach i o tym konkursie, który miał odbyć się następnego dnia. Mówił, że ma-

my teraz czterech świetnych tyczkarzy, ale tylko trzech może pojechać na olimpiadę. Kornacki, Mirkowski i trzeci, nazwisko w tej chwili zapomniałam – zaraz – jak on się nazywa? Mniejsza z tym. Trzech młodych, znakomitych zawodników. I od dawna trenują razem z tym samym trenerem, trenerem... Zaraz sobie przypomnę, Kałuskim, oczywiście Kałuskim. Mają wysoką równą formę. I nagle ich starszy kolega, znaczy Jaskółka, przez pięć lat był zawodnikiem dość dobrym, dobrym – ale nie wybijającym się i bardzo nierównym, nagle osiągnął olimpijską wiosną życiową formę. Pan redaktor postawił pytanie, kogo mają wysłać, który z czwórki ma zostać w domu. I mówił potem wyłącznie o nim, że trenował sam, trenował przygotowując się jednocześnie do sesji egzaminacyjnej na uniwerku i egzaminy zdał. Bardzo ładnie to mówił. Powiedziałam Jaskółce, że go jednak bardzo lubi, że jest przejęty jego jutrzejszym startem. A Jaskółka odpowiedział, że chyba tak, ale że redaktor sam wmanewrował się w tę całą sprawę. Zaangażował się i trochę upiększa, że lubi grać na sentymencie, a jednocześnie trochę go, to znaczy Jaskółkę, postarzył. Od Kornackiego i tamtych jest starszy tylko o niespełna sześć lat. Niepotrzebnie mówił o jego bliskim zakończeniu kariery. Po co wyciąga metrykę? Bo wyciągnął. Mówił w tym sensie, że metryka nie powinna decydować o kandydowaniu do reprezentacji. Powinni jechać ci, którzy są w tej chwili najlepsi. Ale jest problem. Wszyscy są niemal równi. Tamci trenują od trzech lat razem z trenerem, a Jaskółka sam. Ale jest także świetny. Forma wzrasta. Tak, wyczuwało się, że jest za jego udziałem w olimpiadzie i stawia na niego.

– Czy pan Jaskółka używał alkoholu?

– Nie rozumiem. Znaczy czy pił? To zaskakujące pytanie. Zaraz, może dokończę, co mówił wtedy ten redaktor. Nie potrzeba? Mam odpowiedzieć na to pytanie. Czy wtedy pił? Wtedy naprawdę nie piliśmy w ogóle. Ja w ogóle nie piję. Parę razy w roku, wino przy jakichś okazjach. Zawsze mówią, że jestem niedzisiejszą dziewczyną. Aha, chodzi o niego. No więc wtedy oczywiście w ogóle nie piliśmy, nawet nie było o tym mowy. Przecież mówiłam, że byliśmy razem i rozmawialiśmy o poważnych sprawach.

– Pytamy, czy w ogóle jest pijący, bo słyszeliśmy, że czasem nie stronił.

– Wcześniej. Aha, przedtem. Więc od długiego czasu, od bardzo długiego czasu w ogóle nie pije, przestał.

– Przestał, a więc kiedyś jednak używał alkoholu.

– Kiedyś może trochę pił. Teraz wszyscy młodzi ludzie trochę piją, nawet niektórzy sportowcy. Trochę pił, może był okres, że trochę więcej, niż trochę... Proszę mi wierzyć Jaskółka dotrzymał przyrzeczenia. To było jeszcze zimą. Zaczął ostro trenować. Miał jakieś rozmowy z różnymi ludźmi. W ogóle nie pił. Mogę zaręczyć. Mogę być świadkiem. Bardzo obiektywnym świadkiem. Przysięgam, że od bardzo długiego czasu nie miał kieliszka w ustach.

– Może zechce pani nam powiedzieć od jakiego czasu.

– Ja sędzę, że to jest jasne. Nie rozumiem dlaczego mam do tego powracać. Na początku znajomości. Na samym początku może parę razy widziałam, że miał małego rausza. Ile razy, nie pamiętam. Może trzy najwyżej cztery razy. Pan się śmieje. Dlaczego pan się śmieje. Tłumaczyłam Jaskółce, że to bez sensu.

– Pewnie przebywał w nieodpowiednim towarzystwie?

– On nie jest towarzyski. Dużo przebywa sam. Teraz o dobre towarzystwo trudno. Młódzież jest niespokojna, ciągle mówicie, że jesteśmy trudni. Dużo chłopców pije. Ale uczą się, są solidni, a że czasem trochę wypiją? Są różni. Ale Jaskółka jest wyjątkowy i przestał.

Był ogromnie przejęty zbliżającą się olimpiadą. Pamiętam ostatniej zimy. Byłam u niego. Wtedy chyba po raz pierwszy powiedział, że wierzy w swój start na olimpiadzie. – Mam talent, ale nigdy mnie nie wystawiali. Cztery lata temu też nie wystawili, bo byli lepsi. Dwie olimpiady przejdą mi koło nosa. Siedział w sporcie już wiele lat. Rozpoczął go uprawiać w

szkole. Bardzo ładnie mówił o tym, czym jest olimpiada. Chciał to wszystko przeżyć sam, nie jako widz v/ fotelu przed telewizorem. Uwierzył chyba trochę w siebie, kiedy wziął się za trening, zmienił tryb życia.

– A więc przed tym nie prowadził jednak sportowego trybu?

– Ja tak nie powiedziałam.

– Ale wynika z pani słów.

– Wcale nie wynika. Pan myśli, że wszyscy sportowcy to Spartanie? Ascetyczny tryb życia, o ósmej spać, nie znają dyskotek, dziewczyn, zabawy? To śmieszne. To chyba nie idzie o to. Jesteśmy młodzi, chcemy się bawić, mamy prawo do rozrywki. Liczy się to co robimy, czym się wykazujemy, jacy jesteśmy naprawdę. I ja wiem, jaki on jest naprawdę. Jest wspaniały tylko dziwny. Nerwowy? Nie. Bardzo wrażliwy, ale umie się opanowywać.

– Dziękujemy pani, to chyba byłoby wszystko.

– To wszystko? Prawie nic o nim nie powiedziałam. Jest wyjątkowym mężczyzną. Już panowie to słyszeli? Proszę pozwolić, jeszcze tylko dwa słowa. Słuchałam transmisji już w domu w Białymstoku. Ogromnie przeżywałam. To chyba zrozumiałe. Wszystko było takie dziwne, dramatyczne. Piękne i niesamowite, jak on. O niczym nie wiedziałam. Ten sprawozdawca przecież nic nie mówił o tym, co się stało. Pewnie nie wiedział. Był ogromnie przejęty, jak teraz wszyscy mówią: „zaangażowany”. Pod koniec mówił raptem ktoś inny. Nie wiem, nie znam go z głosu. Jakiś młody głos, pewnie nowy reporter. Krzyczał, emocjonował się, strasznie przeżywał. Zakończenie konkursu ogłosił jako coś niezwykłego. Zaraz musiał przerwać, jak się skończyło i od razu wszedł dziennik. Nie słuchałam już. Nawet nie pamiętam, czy zgasiałam radio. Już? Dziękuję. Mnie się wydaje, że panowie sami doskonale rozumieją, bo przecież Jaskółka... Aha, mam iść. Do widzenia.

Za stołem siedzi młody człowiek w dzinsach i kraciastej koszuli. Ma długi wydatny nos, delikatnie wykrojone usta, falujące włosy opadają na ramiona. Jest bardzo przejęty, ale odnieść można wrażenie, że mniej sprawą aniżeli tym, że został zaproszony do tej rozmowy i oddano mu głos. Mówi długimi zdaniami, starannie dobierając słowa. Widoczne jest, że chce wywrzeć wrażenie na obecnych.

– Pracuję tam dopiero od roku. To było ziszczenie moich wieloletnich marzeń, gdyż ko-
cham sport i dopatruję się w tym zjawisku dużo głębszego znaczenia, niż powszechnie się przypuszcza. Sport spełnia wielorakie ważne funkcje społeczne, jest wybitną szkołą charakteru... Panowie to wszystko wiedzą, bardzo przepraszam, ale, jeśli można, chciałbym dokończyć swoje myśli, gdyż ma to duże znaczenie dla dalszego biegu wydarzeń, jakie miały miejsce tamtego wieczoru pełnego dramatycznych spięć. To była wyjątkowa historia, w której ujawniły się cechy natury ludzkiej...

– Może pan przejdzie do rzeczy.

– Naturalnie. A więc pracuję tam dopiero od roku i doprawdy bardzo optymistyczne to, że niekiedy jednak marzenia ludzkie się spełniają...

– O której pan przyszedł na stadion?

– Na stadion? Wtedy? Otóż spóźniłem się zaledwie o kilka minut i wynikło to nie z mojej winy, gdyż nie załatwiono dla mnie karty wejściowej. Czekałem w ogromnym napięciu przed główną bramą, jak było umówione. I wreszcie raczyła przyjść koleżanka Matylda, tak, z naszej redakcji, pracuje również mniej więcej od roku, ale nie jest redaktorką, załatwia jedynie sprawy techniczne, i czasami nie załatwia tak, jak należałoby oczekiwać. Spóźniła się ładnych kilka minut, ale w końcu przyszła z tą kartą i weszliśmy na stadion. Zostawiłem ją i pobiegłem do kabiny, bo było już późno. Brałem pod uwagę, że być może on jest już na stanowisku. Zawsze przychodzi godzinę przed imprezą, wszyscy o tym wiedzą. Ale nie przypuszczałem, że znów będzie tak nieuprzejmy i przywita mnie tak ostro. Próbuję się do tego przyzwyczaić, nawet dawałem mu nieraz delikatnie do zrozumienia, że stosunki międzyludzkie lepiej się układają, jeśli kierować się wzajemną delikatnością i zrozumieniem. To, że jestem

młodym i dopiero, jak to się mówi, obiecującym sprawozdawcą, nie ma najmniejszego znaczenia. Widzą panowie, niełatwy jest los kogoś nowego, kto dopiero wchodzi. Odwieczny problem – starzy i młodzi... A więc co powiedział? Dlaczego tak późno przyszedłem. Ale jakim tonem! On jest już od godziny, a ja dopiero w ostatniej chwili. Nawet na mnie nie spojrział. Posłał pannę Matyldę po coca-colę i jak zawsze zaznaczył, żeby nie była zimna, bo zimnego w ogóle nie pije, tak jakby nikt o tym nie wiedział. Dba o gardło, ale chyba przesadza. To są takie dziwactwa w pewnym wieku. Taka zapobiegliwość, można by powiedzieć rutyna. Był bardzo zaabsorbowany. Rozmawiał z technikami przez mikrofon, a potem robił próbę mikrofonu. Przeglądał notatki. Zawsze ma tyle kartek zapisanych niewyraźnym, żeby nie powiedzieć nieporządnym pismem. Pełno kartek, a potem w ogóle na nie patrzy. Nie mogę pojąć, dlaczego notuje na tych karteluzkach. Spojrzy i sam nie może siebie odczytać i zaraz ze złością na podłogę. Zaczyna mówić i w ogóle nie patrzy na notatki. Może jak zapisze, to mu się bardziej utrwała w pamięci. Każdy ma jakąś metodę pracy. Ale to nie będzie moja metoda. Oczywiście mówić umie. Czasem pomyli się, ale jakoś z tego wybrnie. Ma ogromną rutynę. Obserwowanie jego pracy na pewno jest pouczające, choć jest nierówny. Rzecz prosta bardzo go cenię, a nawet lubię. Tamtego dnia chyba go dokładniej poznałem. Choć nie wszystkie jego reakcje były dla mnie w pełni zrozumiałe. Doszukać się w nich można było pewnych niekonsekwencji.

– Jakich, może pan nam powie. I proszę się streszczać.

– My, reporterzy jesteśmy trochę gadatliwi. Cóż, taki nasz zawód. Z tego się żyje. Ale będę się starał mówić krótko, choć nie chciałbym nadmiernie wysuszyć mojej opowieści. Wydaje mi się, że mógłbym więcej wnieść, gdybym miał niejaką swobodę w wyrażaniu mych myśli.

– Jeśli to panu pomoże, proszę mówić tak, jak panu wygodniej.

– Dziękuję. A więc wyznam, że zaraz na początku trochę mnie zgasił, ale przedtem zaskoczył mnie pytając, dlaczego nie lubimy się z panną Matyldą. Skąd się domyślił? Wyjaśniłem, że ona nie pasuje raczej do naszego grona, jest zbyt zimna i rzeczowa i nie ma fantazji. Powiedziałem także, że znamy się od czasu wspólnych studiów dziennikarskich i nigdy nie mogliśmy znaleźć wspólnego języka. Czym mnie zgasił? Sądziłem, że będę dłużej na antenie. Miałem już kilka samodzielnych występów, co prawda nagrywanych na taśmę, ale to już szło na antenę. A on od razu zapytał, jaką konkurencję chce dziś robić? Pozwoliłem sobie zapytać się, czy tylko jedną? – Jedną – uciał. – No to dziesięć kilometrów – odpowiedziałem dodając, że mam już obmyśloną całą dramaturgię. Ale znów przerwał. – Zdecydowałem, że będzie pan dzisiaj pięć minut na antenie. Poda pan niektóre wyniki. – Czy mogę ośmielić się zapytać dlaczego tak krótko? W tym momencie zadzwonił telefon. Szybko podniósł słuchawkę. – Tak, tak, proszę mi dać natychmiast rozdzielną. Powiedział, żeby go połączyli z inspektorem programu. Chciał zacząć transmisję o dwie minuty wcześniej.

Przygotowywał się ze szczególną starannością. Bardzo zabawne były jego rozmowy z panem Teofilem. Pan Teofil to technik od akustyki, weteran, złota rączka. Już mocno starszawy człowiek. Był jakiś czas w naszej kabinie. Jak zwykle gderał, pytał go, jak chce dzisiaj robić, czy na tym normalnym stojącym mikrofonie, czy na tym małym wiszącym na szyi. Przekomarzał się, udawał, że nie wie, a przecież każdy wie, że on zawsze lubi prowadzić transmisję trzymając mikrofon w ręku. Mówił do technika. – Niech, pan, panie Teosiu porzostawia mikrofony efektowe inaczej niż zwykle. Na rozbiegu skoku o tyczce i przy materacach, na które spadają i jeszcze jeden kierunkowy w środku rozbiegu, żeby łapał ich kroki, jak będą biegli. Był znów w doskonałym humorze. Zatarł ręce i powiedział: – Panie Teosiu, robimy dzisiaj duży reportaż! Jeszcze nigdy tak tyczki nie obstawiliśmy. Kazał starymu pójść na boisko i porozumiewali się już krótkofalówką. Żartowali, rozmawiali o szansach. Stawiał na Jaskółkę, a pan Teofil także. Przynajmniej raz się nie kłócili, bo zawsze jest odwrotnie. – Ja na Polskę, to pan na Holandię, ja na tę Angielkę, to pan zaraz na Szewińską – mówił do mikrofonu, a

technik stał na trawie w dole, trzymał pudełko krótkofalówki w ręku i mu odpowiadał. A potem zrobili tę hecę, nie wiem, czy wygłupiali się, czy to było na poważnie. W pewnym momencie powiedział: – Kochany, niech się pan nie gniewa, proszę spróbować pobiegać w tym miejscu. No tam, gdzie Jaskółka będzie brał rozbieg. Milczał, słuchał co mu odpowie tamten, a potem powiedział śmiejąc się do panny Matyldy: – Wie pani, co on mówi? On powiedział, że to się nie da zrobić. Muszę mu przynieść kolce. Zabrać cztery krzyżyki i dać kolce. Ale biega pan Teoś, popatrzcie! I doskonale słyhać kroki. Pani wie, ja z nim pracuję już 25 lat.

Wtedy w kabinie był jeszcze świetny nastrój. Odpęrzył się, widać było, że ma ogromną ochotę zacząć transmisję.

– Panie kolego, po tym długim opisie jego, czy waszych przygotowań do transmisji proszę powiedzieć wreszcie, kiedy on rozmawiał wtedy pierwszy raz z Jaskółką?

– Później. No więc było tak. To Jaskółka chciał z nim rozmawiać, zaraz jak przyjechał na stadion. Panna Matylda jeszcze przed transmisją otrzymała polecenie, aby przynieść wszystkie listy startowe z naniesionymi poprawkami i przy okazji zebrać jakieś nowinki. Szło mu przede wszystkim o płotkarki i obsadę 10 kilometrów, a pewnie przy okazji chciał przekonać się, jak sobie panna da z tym radę. Poszła i wróciła z tymi listami, ale nowinek nie przyniosła żadnych. Tylko tyle, że Jaskółka zaczepił ją przed wejściem do kabin i pytał o niego. Mówiła, że chciał przyjść na górę, ale zatrzymał go jakiś działacz, zdaje się wiceprezes. Kazał mu wracać na boisko, bo konkurs tyczki już się zaczynał. Zresztą Matylda powiedziała Jaskółce, że w kabinie go jeszcze nie ma. – Dlaczego pani powiedziała nieprawdę? – był znowu ostry, od razu zmienił ton. Nie straciła rezonu. – Po co ma się męczyć i wchodzić po schodach tak wysoko? Niech się koncentruje. A czy pan chciał żeby tu przyszedł? – Nie wiem, co ode mnie chciał – odpowiedział w roztargnieniu. Przeglądał listy startowe, był znowu zaabsorbowany. Chyba już zapomniał o tym, że tyczkarz chciał z nim rozmawiać. Nie przywiązał wtedy do tego żadnej wagi. Dopiero później zaczął sam biegać do niego na dół.

– Więc kiedy wreszcie przeprowadził pierwszą rozmowę z tyczkarzem?

– Na samym początku konkursu. Dostał te dwie minuty na wcześniejsze rozpoczęcie transmisji od inspektora programu, tak jak chciał. Rozmawiał przez telefon i akurat wyprowadzali ich na boisko. Szli długim sznurkiem, gęsiego, było ich aż siedemnastu. Jaskółka szedł jako drugi od końca. – O już idą – zawołałem do niego, kiwnął głową, powiedział inspektorowi: dziękuję i położył słuchawkę. Patrzył bacznie na maszerujących po trawie tyczkarzy, znów był w humorze. – Kolego, zaraz zaczynamy. Za dwie minuty i trzydzieści pięć sekund. Halo, halo i tak dalej. Zaczął i robił biegi krótkie. W jakieś dziesięć minut później stało się tamto. Jaskółka strącił poprzeczkę za pierwszym razem na wysokości 4,90. Wszyscy przeszli z zapasem, albo opuścili. On w ogóle nie skoczył, tylko przebiegł pod spodem.

– Czyli nawet nie strącił?

– A tak, tak się tylko wyraziłem. Oczywiście nie strącił, poprzeczka wisiała i nawet nie drgnęła, ale nie zaliczył, bo przebiegł pod spodem, jak powiedziałem. Nie było tragedii, jeszcze miał dwie próby. Było źle dopiero, kiedy nie udało mu się i za drugim razem. Przygotowywał się dłużej. Wreszcie ruszył, wbił tyczkę i uniosła go w górę. Ale wszystko było jakieś anemiczne, bez wyrazu, o właśnie, bez wyrazu – tak powiedział do mikrofonu. Patrzyliśmy na Jaskółkę. Wstawał z materacy z trudem, na twarzy miał zniechęcenie. Przez widownię przeszedł szmer zdziwienia.

– I co było potem? No, niech pan mówi dalej.

Kandydat na reportera poruszył się z zadowoleniem, poczuł, że jego opowiadanie nareszcie zrobiło na zebranych wrażenie. Rozsiadł się wygodniej i ciągnął: – Nie próbował po raz trzeci atakować wysokości 4,90. Skakali na razie inni, paru poprawiło, a on przybiegł zaraz do nas, to znaczy do niego. Stał naprzeciw naszej kabiny i machał ręką. Pierwszy go dojrzałem i pokazałem reporterowi. Dla odmiany był znowu wściekły, bo mu się czas transmisji skończył i użerał się przez telefon z inspektorem, aby mógł wejść ekstra, choć na dwie minuty na ten trzeci skok Jaskółki. Ale mu nie dali, bo szło w programie coś ważnego. Zobaczył

tamtego, że macha ręką, więc zawołał: zaraz wracam i pobiegł na dół. Rozmawiali chwilę. Jak wrócił, był jakiś dziwny. Ani zły, ani zadowolony, po prostu dziwny. Aż bałem się zapytać go, co z Jaskółką, co mówi. Tymczasem poprzeczkę podnieśli już na 5,10. Widać zorientował się, że widzę jego dziwne zachowanie, więc sam się odezwał. – Przepuszcza 4,90, będzie skakał od razu 5,10. Rzucił niby lekko, ale było to wymuszone. Nie wiedziałem, co się stało. Krążył po kabinie nerwowo, nie patrzył w ogóle na boisko. Dwa razy podnosił telefon i kładł na widełki. Podniósł trzeci raz i odezwał się pan Teofil. Zaczął mu coś tłumaczyć, ale nadal nie wiedziałem o co chodzi. Chciał się połączyć z jakimś szpitalem. Akurat był wrzask, bo znów biegli sprinterzy. Zaraz ucichło. Skończył rozmowę, popatrzył na mnie i spojrzął na zegarek. Chciał coś powiedzieć, ale znowu zadzwonił telefon. To było z programu, że zaraz wchodzimy na antenę. Jednocześnie zadzwonił drugi aparat i technik zaczął go łączyć z kimś z miasta. Miotał się przy dwóch słuchawkach, rozmawiał jednocześnie, właściwie krzyczał. A publiczność też krzyczała, bo akurat znów biegli. – Tak, wiem, za 75 sekund zaczynamy, dobrze, mam podsłuch programu, słyszę, idzie jeszcze muzyka! – a w drugą słuchawkę: – Proszę z dyżurnym lekarzem, natychmiast! Szukają go? To niech go znajdą zaraz, do cholery! I znów do pierwszej: – Spokojnie, mamy jeszcze równą minutę. A potem coś nagle usłyszał, zaklął jeszcze raz i powiedział: Nie mogę czekać. Sam zadzwonię za chwilę. Rzucił obie słuchawki. Zwrócił się do mnie: Uważaj pan za 25 sekund wchodzę. Ja pana zapowiem. Da pan radę przekazać dotychczasowe wyniki? Omal nie podskoczyłem z radości, nie zdążyłem odpowiedzieć: tak, naturalnie, dam radę, wszystkie wyniki mam spisane, a on już mówił dalej: – Mamy teraz odcinek dziesięciominutowy. Zaraz oddam panu głos. Już. Zaczynam...

Zaczęliśmy. Powiedział, że Jaskółka opuścił 4,90 po dwóch nieudanych skokach i oddał mi mikrofon. Byłem na antenie! Nie pomyliłem się, chyba dobrze mi poszło, szkoda że nie słyszał. Przez cały czas rozmawiał z kimś przez telefon, ale cicho, nie przeszkadzało mi to. Oddałem głos do studia, a on też zaraz skończył. Milczeliśmy. Nie wytrzymałem i powiedziałem pierwszy: – Wszystko w porządku. Czy pan choć trochę słyszał jak mówiłem? Nie odpowiedział. Spojrzałem uważnie. Był błąd.

– Dziękujemy panu. Może jeszcze poprosimy pana dla złożenia kilku wyjaśnień i uzupełnienia paru szczegółów, jeśli będzie to potrzebne. A na razie...

– Zaraz. On potem jeszcze raz będzie z Jaskółką rozmawiał. Dopiero zaczyna się najważniejsze. Ja mam dużo do opowiedzenia. Bądź co bądź to ja prowadziłem transmisję w rozstrzygającym momencie, zupełnie samodzielnie. Zostawił mnie potem i poszedł na boisko.

– To wiemy.

– To wszystko jest nagrane, co mówiłem. To warto przesłuchać.

– Być może przesłuchamy pańską transmisję, na pewno była interesująca, ale może później, na razie wystarczy.

Chirurg, lekarz ze szpitala mówi jednostajnym, niemal obojętnym głosem. Widać że jest bardzo zmęczony, jak wyjaśnił ma za sobą dwa całodobowe dyżury, bo zastępował kolegę, który choruje.

– Przejechali go blisko naszego szpitala, miał szczęście, bo zaraz go przywieźli i można było udzielić pomocy. Wypadek był dosyć ciężki, ogólne potłuczenie i groźba wewnętrznych urazów, lewa noga złamana w dwóch miejscach z przemieszczeniem, ponadto szarpana rana mięśni z uszkodzeniem nerwów. W ogóle paskudnie to wyglądało i wstępne rozeznanie nasuwało ewentualność amputacji.

– Panie doktorze, tu leży dokumentacja obrażeń i zapoznaliśmy się z nią. Chcielibyśmy kilka szczegółów dotyczących innego aspektu sprawy. Chodzi nam o stronę etyczną raczej...

– Ja nie jestem od spraw etycznych. Byłem akurat na dyżurze, dali mi go na stół i zrobiłem, co mogłem.

– Idzie nam o to, jaką drogą dowiedział się pan doktor, kto jest sprawcą wypadku, jeśli można zapytać?

– Można. Telefonicznie. Trochę byłem zaskoczony, bo telefonowali ze stadionu i ten ktoś, początkowo nie poznałem go po głosie, był zupełnie zagłuszony wrzaskiem ludzi. On mnie źle słyszał i ja jego też, a mówił dosyć cicho. Dzwonił chyba drugi albo trzeci raz, bo już przedtem kolega mnie poinformował, że ktoś mnie szuka i chce informacji o jednym z wypadków. Nie wiedziałem, o który chodzi, bo akurat mieliśmy w szpitalu sporo roboty. W pierwszej rozmowie nie bardzo dogadaliśmy się, on pytał natarczywie a jednocześnie spieszył się. To był mocno poddenerwowany człowiek. Powiedziałem tylko, że wypadek, o który mu chodzi, jest ciężki i jest w ogóle nie za dobrze z tą nogą. Uderzenie było silne, nie mieliśmy wtedy pełnego rozeznania, czy nie ma jakichś wewnętrznych urazów. Powiedział, że znowu zadzwoni i że to bardzo ważne, odwiesił słuchawkę. Byłem trochę zdziwiony, że to dzwoni właśnie on i w dodatku ze stadionu, jakby nie mógł wybrać bardziej stosownego miejsca.

– Rozmawiał pan z nim potem drugi raz, prawda?

– Już nie pamiętam ile razy telefonował. Chyba ze trzy razy. Powiedziałem, że są szansę na uratowanie nogi ale nie za duże. I dodałem, żeby ten ktoś zgłosił się na milicję, bo i tak zawiadomiliśmy o wypadku i nawet już w szpitalu byli.

– Sprawca odwiózł ofiarę sam do szpitala. Dlaczego go nikt nie zatrzymał?

– Tego nie wiem, bo przy tym nie byłem. Mieliśmy rejwach, już mówiłem. Dyżurny lekarz nie stoi przed szpitalem i nie czeka na sprawców, ani na ofiary wypadku i nie legitymujemy ich. Jestem od udzielania pomocy, to wszystko.

– Więc pan doktor nie może opisać faktów, jakie miały miejsce w momencie, kiedy poranionego przywieziono do szpitala.

– Nie chcę powtarzać wersji, jakie słyszałem od osób trzecich. Opis obrażeń tu leży i panowie go znają, jak przed chwilą sami powiedzieli. Naprawdę jestem skonany, chcę jechać do domu i wreszcie się wyspać. To zresztą nienową sprawą, znaczy ten wypadek, każdego dnia mnóstwo takich się zdarza. Jutro znów będę w szpitalu i ta sama kołomyja zacznie się od nowa.

– Współczujemy panu doktorowi i już zaraz pan jedzie do domu. Dosłownie jedno pytanie. Czy udzielił pan owemu informatorowi ze stadionu jakiejś rady, co czynić, aby ewentualnie zabezpieczyć sprawcę wypadku przed jeszcze większą odpowiedzialnością?

– Nie bardzo rozumiem pytania.

– Jest proste. Sprawca wypadku nie był abstynentem. Czy wtedy w rozmowie telefonicznej nie radzono się pana ze stadionu, czy warto zbadać krew kierowcy tego samochodu? I jak tego dokonać?

– Owszem, ta kwestia wynikła. Nie pamiętam, kto ją poruszył. Może ja, może stadion. Poradziłem, żeby sprawca jak najszybciej pojechał gdzie należy i to zrobił, ale odpowiedziano mi, że jest to niemożliwe, gdyż sprawca wypadku jest w tej chwili bardzo zajęty i nie może opuścić boiska.

– Czy wtedy już domyślał się pan doktor o kogo chodzi?

– Miało być jedno pytanie. Moje domysły są sprawą nieistotną. Można domyślać się wielu rzeczy i mylić się.

– W każdym razie nie mógł to być widz, nawet najbardziej zapalony do sportu, bo by chciał zapobiec ewentualnym okolicznościom obciążającym, zakładając że nie był pod wpływem alkoholu? Był to więc któryś z uczestników zawodów? Na przykład zawodnik startujący akurat w jakimś konkursie?

– Tak, raczej uczestnik, ale nie koniecznie zawodnik. Mógł to być przecież na przykład sędzia, działacz, albo reporter.

– Pan doktor niewątpliwie domyślił się od razu, że osoba, która telefonuje tyle razy, nie niepokoi się jednak o siebie, lecz o kogoś innego?

– Niepokoila się przede wszystkim o stan ofiary wypadku, a niepokój wzrastał, bo stan był ciężki.

– Teraz już naprawdę dziękujemy. Niech pan doktor jedzie szybko do domu i wypocznie.

Oto Wiceprezes. Jest zażywny i wygląda dobrodusznie, niemal poczciwie. Ale po kilku chwilach rozmowy twarz o grubych rysach raptownie mu się zmienia i przy niektórych pytaniach ten zaokrąglony człowiek ukazuje się z innej strony. Jest prawie wyniosły, a dokładniej mówiąc, stara się przybrać pozę wyniosłości. Ma 43 lata, ale ubrany jest niemal młodzieżowo – w kraciatą marynarkę o bardzo szerokich klapach, koszulę w kwiatki i krawat w duże kolorowe wzory. Włosy mocno przerzedzone, ale zapuścił gęste baki, właściwie są to duże bokobrody. Ta ozdoba twarzy ma wyrównać znaczne ubytki włosów spowodowane szybko postępującą łysiną. Mówi z ogromną wprawą, widać że przyzwyczajony jest do przemawiania.

– Wiem o co chodzi i dobrze się stało, że będę mógł naświetlić niektóre aspekty, przede wszystkim aspekty natury wychowawczej, bo właśnie ta strona działania została mi w naszym związku powierzona, a jest to odpowiedzialny odcinek. Idzie przecież o naszą młodzież, o pokolenie, które nas kiedyś zastąpi. – Nabrał oddechu... – A sport...

– Właśnie. Jak by obywatel prezes scharakteryzował zawodnika, którego powszechnie nazywają Jaskółką, więc i my temu ulegliśmy i tak też go tu nazywamy.

– Znakomity tyczkarz. Trenował od dłuższego czasu sumiennie, studiując jednocześnie na wyższej uczelni, co warte jest szczególnego podkreślenia, gdyż egzaminy zdaje pomyślnie. Przed zbliżającą się olimpiadą osiągnął szczytową formę, co udowodnił w wyjątkowo trudnej dla niego walce. Fatalne okoliczności, znane nam wszystkim, które zdarzyły mu się w drodze na stadion... Ale jeśli by były jakieś zastrzeżenia, bo inaczej nie chciałbym określać przyczyn, to ze względu na światowy poziom, jaki reprezentuje i szansę medalowe, które teraz ma – mogę zapewnić, że ma – należałoby czym prędzej oczyścić wokół niego atmosferę i przeciąć wszystko. Najważniejsze, by mógł w skupieniu przygotowywać się do olimpiady i stanąć na starcie w możliwie dobrym samopoczuciu. Czy muszę w tym gronie podkreślać, jak wielkie znaczenie propagandowe oraz społeczne dla naszego kraju ma każdy sukces na polu międzynarodowym...

– A gdyby był zawodnikiem nie tak wysokiej klasy i nie o tak wielkich szansach olimpijskich, czy prezes też byłby za szybkim, jak się wyraził zakończeniem całej sprawy? Inaczej mówiąc za jej zatuszowaniem?

– Oczywiście. Nie. To dosyć dziwnie postawione pytanie. Zatuszować? To nie idzie o to. Cóż to mam być indagowany? Jestem wiceprezesem dużego związku. Jak powiedziałem, powierzono mi całą stronę wychowawczą, chyba więc znam się na tym. Zawodnik Jaskółka sprawował się od dłuższego czasu dobrze, trenował, uczy się, wykazuje ambicję, słowem wyrósł nam wybitny zawodnik. Nie lekceważyłbym znaczenia sukcesów sportowych, znaczenia o wielorakim ciężarze gatunkowym, które ktoś tutaj próbował przed chwilą podważyć stawiając mi zupełnie niepotrzebnie podchwytliwe pytanie. Proszę mi nie przerywać. Chciałbym ustosunkować się do postawionego problemu kompleksowo, to znaczy ująć go kompleksowo, powiem pryncypialnie – otóż oczywiście nie idzie o to, by wysyłać chuliganów, aby wykolejone jednostki stojące poza kolektywem wkładały koszulkę z białym orłem. To jest zupełnie inny przypadek. Włożyliśmy zbyt wiele pracy w tego zawodnika, ta praca teraz zaowocowała i byłoby niesłuszne zrezygnować z tak mocnego punktu w obliczu zbliżającej się wielkiej konfrontacji sił, jaką jest olimpiada.

– Taka pozytywna opinia o zawodniku i to wiceprezesa musi być dla nas miarodajna. Proszę się nie denerwować. Przecież wspólnie chcemy przedyskutować całą rzecz i rozpatrzeć ją wielostronnie. Czy prezes zawsze tak wysoko oceniał postawę i umiejętności sportowe zawodnika Jaskółki?

– Zawsze. Nie, może nie zawsze. Wtedy, kiedy mniej trenował i uzyskiwał gorsze wyniki, rzecz prosta niejednokrotnie analizowałem przyczyny tego stanu rzeczy. Nieraz rozwój kariery Jaskółki stawał na posiedzeniu. Od tego jesteśmy my, działacze. Kierujemy się bezstronną oceną postaw i uzyskiwanych rezultatów przez tę młodzież. Nie mogę jednak w żadnym wy-

padku powiedzieć, abym faworyzował tego zawodnika. Nie tępiłem go również. Był okres, że byli lepsi od niego i wówczas w nich widziałem naszą nadzieję.

– Czy wówczas nie szło jednak prezesowi raczej właśnie o postawę niż o wyniki? O ile wiemy, zawodnik Jaskółka w swoim czasie nie prowadził wzorowego trybu życia.

– Przeżywał wtedy jakiś konflikt wewnętrzny, jakiś kryzys, ale wkroczyliśmy i pomogliśmy zawodnikowi. A że pomoc ta była skuteczna, najlepiej świadczy forma, jaką teraz osiągnął.

– Na czym polegała ta pomoc? To jest ciekawe i może być dla niejednego z nas tu siedzących pouczające. Większość z nas także pracuje społecznie, niekiedy z młodzieżą.

– Rozmawia się z nimi. Trzeba interesować się ich życiem pozasportowym. Życzliwość odpowiednio wyważona przy zachowaniu pewnej dozy surowości, oczywiście jeśli jest konieczna, daje na ogół pozytywne rezultaty. Na zgrupowaniach prowadzi się zajęcia wychowawcze, zaprasza prelegentów – specjalistów różnych dziedzin życia, są różne formy szkolenia, słowem idzie o rozszerzenie horyzontów młodzieży, by nie zasklebiała się tylko w sporcie. O, strona pedagogiczna to szeroki temat! Mamy duże osiągnięcia na tym polu, choć jest jeszcze wiele do zrobienia. Napotyka się przecież również jednostki o niezadowolającym poczuciu świadomości obywatelskiej, które szukają w sporcie jedynie szansy wybicia się, okazji do wyjazdów. Czasem myślą jedynie o korzyściach materialnych, o wygodnym urządzeniu się. Dopiero w kolektywnym działaniu i zbiorowym współżyciu kształtuje się takich młodych ludzi. To niekiedy są procesy długotrwałe. Naszym nadrzędnym celem jest nie tylko tworzenie tężyzny fizycznej, ale wszechstronny rozwój osobowości. Bardzo istotną sprawą jest autorytet działacza, trzeba go umieć stworzyć.

– Prezes wspominał o zgrupowaniach treningowych. Zawodnik Jaskółka przecież nie chciał z nich korzystać. Twierdził, że nie odpowiadają mu. A potem, kiedy słabo skakał, został skreślony nawet z kadry olimpijskiej.

– Tak było w istocie. Jestem przekonany, że teraz po przeżyciach, jakie ma za sobą, zrozumie swój błąd.

– Na chwilę chcielibyśmy powrócić do tematu, który prezes sam poruszył na wstępie. Poziom sportowy. Czy w naszej kadrze jest obecnie więcej zawodników tak wybitnych, jak Jaskółka? Albo inaczej: czy jest jeszcze ktoś wśród lekkoatletów, kto ma jeszcze większe szansę zdobyć złoty medal na zbliżającej się olimpiadzie? Aby nie było już nieporozumień ustalamy, że wszyscy tu z obecnych w jednakowym stopniu doceniają znaczenie sukcesów sportowych dla kraju, co prezes tak dobitnie podkreślił.

– Zdobyć złoty medal jest bardzo trudno. Konkurencja na całym świecie stale wzrasta.

– To wiadomo. Ale interesuje nas opinia tak świetnego znawcy co do szans zawodnika Jaskółki w porównaniu z szansami jego kolegów.

– Zaraz... Kto tam jest jeszcze? Chwileczkę. Nie. Jaskółka jest naszym najmocniejszym obecnie punktem. Osiągnął życiową formę. Jak zdobędzie medal, jestem przekonany, że zarówno wszyscy tu obecni jak i całe społeczeństwo będą z niego dumni.

– Na pewno będziemy się cieszyć na równi z obywatelem prezesem i wszystkimi miłośnikami sportu, do których także się zaliczamy. Aha, czy miał prezes jakieś dyskusje, czy występowała odrębność zdania z kimś miarodajnym ze świata sportu na temat wystawienia zawodnika Jaskółki do ekipy olimpijskiej? Idzie o dyskusję, zanim doszło do znanych wydarzeń.

– Nasz aktyw żyje sportem. Jest to środowisko bardzo zaangażowane. Dyskutuje się na wiele tematów, więc i na jego temat toczyły się rozmowy.

– Zdaje się szczególnie różnica zdań występowała pomiędzy prezesem i znanym reporterem?

– Odnosimy wrażenie, że dyskretne milczenie prezesa jest potwierdzeniem odmienności sądów. Dyskusje, jak wiemy, były niejednokrotnie zażarte.

– Podchodzimy chyba inaczej do sportu. Stosunek do sportu tego sprawozdawcy jest już oderwany od realiów życia i raczej pasuje do epoki minionej. Jest to podejście chyba trochę już konserwatywne, żeby nie powiedzieć idealistyczne. Idee Coubertina były na pewno piękne i szlachetne, ale to był wiek dziewiętnasty. Życie idzie naprzód. Trzeba praktycznie rozwiązywać niektóre zagadnienia. Trzeba zejść na ziemię i chodzić po twardym gruncie. Sport przestał być przyjemną zabawą dobrze wychowanych dżentelmenów. To jest praca, to są nakłady pieniężne, obozy, rozwój sprzętu, rozwój nauki. Sport wysokokwalifikowany zabiera młodzieży wiele czasu. Oczywiście powinna ona uczyć się i rozszerzać swoje horyzonty, podkreślałem to już – ale stwarzając jej idealne warunki musimy stawiać zawodnikom duże wymagania. Zbliżają się igrzyska. Teraz nadrzędną sprawą są medale i punkty, które trzeba będzie ciężko wywalczyć na boisku. Potem musi nastąpić jakieś rozliczenie. To są twarde sprawy. Nie ma miejsca na sentymenty, cackanie się. A wyznam, bo panowie nalegają, że ów sprawozdawca ma tendencje do rozszczepiania włosa na czworo. Wbrew pozorom, wbrew całej swojej pewności – niekiedy chwieje się, pełen jest wątpliwości. Komplikuje sprawy proste. Coś jest białe albo czarne, a on: to jest w odcieniu szarym ani białe ani czarne.

– Ostatnia sprawa, proszę pozwolić, prezes zajmuje się młodzieżą uprawiającą wyczynowo sport. Jakiego jest pan zdania na temat wyłaniania nowych talentów, dawania szans komuś młodemu, kto się wyróżnił? Krótko mówiąc: kogo forsować – młodych czy starszych?

– Trzeba stawiać na młodych. W sporcie wyniki osiąga się teraz zadziwiająco wcześniej. Zawsze większą wartość przedstawia młody zawodnik robiący postępy niż rutyniarz, który bywa, że jest już wypalony i całą energię zużywa na podtrzymywanie osiągniętego poziomu. To ja teraz zapytam: czy warto w takiego inwestować?

– Istnieje, co prawda stara maksyma sportowa głosząca prawo równych szans dla wszystkich, ale to temat osobny i nie chcielibyśmy zabierać więcej cennego czasu. Rozpoczęlibyśmy na pewno zbyt obszerne dygresje, co w tej chwili niepotrzebne.

– Bardzo potrzebne. Są oczywiście wyjątki. Zostałem znów źle zrozumiany. W naszym środowisku niestety nie brak pewnych tarć, może nawet i zawiści. Już domyślam się, że na marginesie niektórych dawnych dyskusji na temat Jaskółki...

– Ależ nie. Rozumiemy się doskonale. Dziękujemy za bardzo pożyteczną rozmowę. Życzymy lekkoatletom sukcesów na olimpiadzie, na ręce prezesa składamy życzenia...

Szofer ciężarówki. Ma 51 lat, mieszka w Wołominie pod Warszawą. Posiada prawo jazdy od 28 lat, a od 17 pracuje w tej samej instytucji, bazie transportowej. Mówi krótko, rzeczowo, choć jest trochę stremowany, że znalazł się przed obliczem zupełnie innych ludzi jak ci, z którymi styka się na co dzień, ale szybko tremę gubi. Mówi: – Jechałem mocno wyładowanym samochodem, zachowywałem szybkość obowiązującą. Trzymałem się prawej strony dając wolną drogę osobowym autom. Tych chłopców zobaczyłem od razu. Mam dobry wzrok, nie noszę okularów. Widziałem ich już na 200 metrów. Grali w piłkę. Może narysować planik? Dobrze, będę mówił tak, żeby było wszystko widać. Więc grali w piłkę na wolnej przestrzeni po prawej stronie tej arterii, a więc po mojej prawej stronie, dość głęboko, znaczy daleko od jezdni. Nagle piłka poleciała w kierunku ulicy. Zaraz zwolniłem. Było jeszcze przynajmniej 50 metrów. Jeden z chłopców pobiegł za nią, zatrzymał i chciał odkopnąć z powrotem. Podbiegł drugi. Kiedy byłem blisko, cały czas trzymając nogę nad hamulcem, raptem ten drugi zaczął się kiwać z tym pierwszym. Śmieli się, byli rozbawieni. Nagle ten drugi kopnął niespodziewanie piłkę wprost na jezdnię. Coś mu strzeliło do głowy, pewnie pomyliło mu się, gdzie jezdnia, a gdzie ich boisko. I tamten rzucił się za piłką, wprost na ulicę, pod moje koła. Wcześniej, ze trzy razy spojrzałem w lusterko i widziałem tego fiata. Był daleko, ale jechał oczywiście szybciej niż ja. Potem był o kilka długości za mną, na lewym pasie. Wskos za mną. Hamowałem, ostro hamowałem. Nie dałbym rady, uderzyłbym go, musiałem więc dać trochę w lewo. Chłopak spostrzegł mnie późno i dał szczupaka jeszcze bardziej w lewo,

wprost ze środka jezdni na lewo, akurat pod koła tamtego. Ten z fiata nic nie widział. Ale przyhamował zawczasu. Sekundy, nie, ułamki. To było trudne do przewidzenia. Zahamował. Uciekał w lewo, na chodnik. Nie stracił głowy. Nie wiem, jak zrobił – uderzył go nie maską, ale jakoś bokiem, prawym bokiem. Ile mógł mieć? Już nie dużo. Wystarczy. Stuknąć człowieka mając 20 kilometrów, wystarczy. Dorosłemu wystarczy, a to był chłopak, dzieciak. Zręczny chłopak, bo też ratował się jak mógł, ale jak już wpadł pod koła, to nie mógł wyjść z tego. Grają w piłkę i zapominają o bożym świecie. On w ogóle nie wiedział co robi, kiedy wbiegł na jezdnię. Nie wiedział w ogóle, gdzie jest. Dopiero później, jak zobaczył mnie, a potem tamtego, to się ratował biedak. Tak było.

– Może pan powie, co było później.

– Leczą go w szpitalu. Podobno nie za dobrze się miewa.

– Co było później? Czy – i jak zajęliście się ofiarą?

– Oczywiście zajęliśmy się. Niedobrze to wyglądało. Dużo krwi, leżał bezwładnie. Ruszać go czy nie? Tam było pusto. Otwarta przestrzeń. Parę osób przybiegło. Krzyczeli, że umiera, że nie żyje, żeby go wieźć do szpitala. Jeden mężczyzna pobiegł do telefonu, ale najbliższa budka była o dwa kilometry. Jak na złość nic nie przejeżdżało. Otwarta przestrzeń. Nie ma domów. Ułożyliśmy go razem z nim do jego fiata i pojechał do szpitala, ja za nim. Numer oczywiście zapisałem. Zachowywał się jak lunatyk. Nic nie mówił. Taki silny młody człowiek, a w ogóle nie mógł go podnieść. Nie miał siły przez nerwy. Wbiegł do szpitala i zaraz przyprowadził sanitariuszy. Nosze itd. To on pierwszy w szpitalu rozmawiał. Postąłem, poczekałem aż wyjdzie. Dałem mu swój numer i nazwisko. – Panie, to będzie panu potrzebne. Obudź się pan! Jestem świadkiem. Powiedział – dziękuję. A ja pytam: – Załatwiłeś co potrzeba, powiedziałaś im wszystko?

– Tak, powiedziałem.

– Będą nas wzywać. Niedobra sprawa, ale będę świadczyć. Nie wyglądał, że pił, tylko strasznie nerwowy. Zapuścił motor. Podszedłem: – Nie pryskasz chyba? Powiedziałaś kto, co i jak? Kiwnął głową i odjechał. Nie miałem dużo czasu, ale poszedłem sam do szpitala i rozmawiałem z tymi ludźmi. Mówili, że ciężki wypadek, ale są gorsze. Czasem kilku przywiozą w ciągu godziny. Nie zdążą wnieść na salę, a już trup.

– Czy kierowca fiata zatrzymał się zaraz po wypadku, czy próbował uciekać?

– Skąd! Przecież powiedziałem, że wkładał chłopaka razem ze mną do swego auta i odwiózł do szpitala.

– Jak daleko zatrzymał się fiat od miejsca wypadku?

–

– Niech pan odpowie, jak daleko zatrzymał się ten fiat po wypadku?

– Nie patrzyłem specjalnie. Wyskakiwałem z wozu i biegłem do chłopca, a potem był przy mnie.

– Ile mogło czasu upłynąć?

– W takich chwilach nie liczy się czas. Nie umiem powiedzieć.

– No to inne pytanie: czy ten fiat musiał zawrócić, aby znaleźć się z powrotem na miejscu wypadku?

–

– Czy zawracał, czy nie zawracał?

– Nie zawracał.

– Wrócił na wstecznym biegu, tak?

– Chyba tak.

– A tamten mężczyzna już pobiegł do telefonu?

– Dokładnie nie pamiętam. Może i pobiegł.

– A co ta kobieta świadek krzyczała do pana a potem do kierowcy fiata? Że chciał uciec, bandyta! Tak?

- Jak kogoś potrąca na ulicy, zawsze ludzie krzyczą na nas, że jesteśmy bandyci.
- Czy po wyhamowaniu i po uderzeniu chłopca fiat pojechał kawałek dalej i dodał gazu w pierwszej chwili?
- Mówili tak, ale może był to jakiś manewr, poślizg, czy ja wiem? Zaraz był z powrotem. Nikt by chłopaka nie wyminął. Może Sobiesław Zasada przefrunąłby nad nim, ale ten kierowca to przecież nie rajdowiec.
- A wie pan kim jest?
- Może wiem, a może nie bardzo. Czy muszę interesować się sportem? Akurat się interesuję, więc wiem. Ale w pierwszej chwili go nie poznałem, taki był zmieniony. Wszystko z niego wyszło.

Trener kadry tyczkarzy, dawny zawodnik, raz startował na olimpiadzie i odpadł w eliminacjach. Mężczyzna 35-letni o sylwetce młodzieńca. Sympatyczna powierzchowność. Mówi chętnie, widać, że temat leży mu na sercu, sprawę przeżył mocno i chce się wygadać.

– To był dylemat. Po raz drugi zdarzyło się tak w naszym gronie, znaczy w rodzinie lekkoatletycznej. Pierwszy raz nie miałem z tym nic wspólnego, to dotyczyło wówczas plotkarzy. Ale wszyscy przeżywalismy. Także zbliżała się olimpiada i także było trzech bardzo dobrych zawodników i jeszcze czwarty, ale tamten czwarty był dla odmiany najmłodszy. Wybił się raptem. Wygrywał wszystkie biegi, wyrównał nawet rekord krajowy. Wygrywał z tamtymi nieznacznie, niekiedy w jednakowym czasie. Kogo wystawić? Mój kolega, trener plotkarzy zastanawiał się, męczył, rozmawiał z chłopcami i w końcu zdecydował. Cała czwórka reprezentuje jednakowy poziom. Ale ci trzej pracowali od trzech lat, mordowali się razem, żyłowali, a ten młody wyskoczył nagle. Ma jeszcze czas. Na jednej olimpiadzie świat się nie kończy. Pojedzie na następną. Będzie startować w następnym sezonie, przecież będą mistrzostwa Europy. I nie pojechał. Tamci startowali na olimpiadzie i dwóch weszło do finału. Nie zawiedli. A tamten nie pojechał i już w ogóle nie pojechał na żadną olimpiadę. Złapał straszną kontuzję. Leczył się przez półtora roku, potem kurował przez następny rok i więcej nie wrócił na bieżnię. Wiele o tym pisano i jeszcze więcej mówiono. Została legenda, jak zwykle – po pewnym czasie trochę zniekształcona. Minęło sporo lat i oto nagle ja znalazłem się w podobnej sytuacji. Wychowałem trzech dobrych tyczkarzy. I znów był ten czwarty. Ale teraz już nie najmłodszy ale właśnie najstarszy. Właściwie pod koniec kariery zaczął tak skakać, nigdy przedtem tak nie skakał. Tamten był bardzo młody i dopiero rokował nadzieję, miał perspektywy, następne olimpiady stały przed nim, kto mógł wiedzieć, że tak skończy? A dla tego to była już ostatnia szansa. Albo ta olimpiada, albo żadna. Byłby za stary, aby czekać do następnej olimpiady. To rzadko się zdarza, aby tyczkarz trzydziestokilkuletni zdobył medal na igrzyskach. Raz zdobył go jeden starszawy zagranicznik, ale w dawnych latach, kiedy wyniki nie były tak wyśrubowane jak teraz.

Też się męczyłem. Z tymi trzema tworzyliśmy jedną rodzinę. Razem na zgrupowaniach, na boisku, na zawodach, bywali u mnie w domu. Świetni, ofiarni chłopcy. Jaskółka trenował sam. Kiedyś był razem z nami i nie układało się. On był dosyć trudny, indywidualista, nastrojowiec. Nie wiedziałem właściwie czego chce. Czy interesuje go sport, czy co innego? Mówił o studiach polonistycznych, zaczął studiować, ale także mu przez jakiś czas nie szło. Był okres, że w ogóle mu nie szło – ani sport ani nauka. Zagubił się chyba trochę. Też dobry chłopak, ale się zagubił. Wpadł w niedobre towarzystwo. Nie można było go wyciągnąć. Próbowałem, potem machnąłem ręką. Może za mało próbowałem. Tyle zajęć, miałem tych swoich trzech i sporą grupę juniorów, poświęcałem im cały czas. Związek też próbował, ile on skakał wtedy? 5 metrów dwa razy do roku. Raptem robił jakiś dobry wynik. Mistrzostwa Polski, odpada jako pierwszy. Wygrał coś, wstawili go do reprezentacji. Jest mecz i w ogóle nie zalicza żadnej wysokości. Lubiłem go, ale był inny. Coś w nim siedziało – ale jak to coś wyciągnąć i przerobić na siłę? Zbliżała się olimpiada. Słyszałem, że zaczął trenować. Przyszła

wiosna i świetnie skacze. No, no – długo tak będzie skakał? Wygrał kilka konkursów. Raz był trzeci, rozdzielił moich, wszyscy uzyskali ten sam wynik, wygrał ten, który zaczął skakać najpóźniej od najwyższej wysokości. Ale zaczęli pisać i wołać: uwaga na Jaskółkę! Zaczęła się dyskusja w prasie, radio i TV. Znowu problem: kogo wystawić? Teraz ja męczyłem się tak, jak kolega od płotkarzy. Mój błąd chyba to, że nie byłem zdecydowany. Związek nalegał, ale i tam jedni mówili tak, a inni inaczej. To wszystko nie takie proste.

– Wasz wiceprezes zdaje się być kategorycznego zdania, że zawodnika Jaskółki nie należy wysłać na olimpiadę. Jego głównym argumentem był zdaje się wiek...

– Nie chciałbym polemizować z moim wiceprezesem. Ja siedzę na boisku.

– Panie trenerze, jesteśmy, dorosłymi ludźmi, tu nie chodzi o wykazywanie nielojalności czy lojalności. Idzie nam o całokształt sprawy. Rozmawialiśmy już z wiceprezesem.

– I co on powiedział?

– Powiedział dużo interesujących rzeczy. Teraz oczekujemy tego od pana. Proszę do nas mieć zaufanie. Słyszeliśmy z miarodajnych źródeł, że wiceprezes miał swoje racje, swoje argumenty i chcieliśmy teraz usłyszeć od pana, co pan myśli o tych argumentach.

– Chyba nie był za wysłaniem Jaskółki. Nie popełnił żadnej nielojalności, na ostatnim zebraniu związku w przeddzień tych zawodów dyskutowano przez półtorej godziny na ten temat. Półtorej godziny? Trzy godziny. Było wiele osób, nie tylko ja.

– Więc niech pan mówi spokojnie.

– A więc chodziło rzeczywiście o wiek. U nas patrzy się perspektywicznie. Szukamy zdolnej młodzieży, robimy wysiłek aby znaleźć młodych chłopców na prowincji, w szkołach. Jeśli już natrafi się na takich, trzeba ich najpierw umiejętnie poprowadzić, a potem dać szansę. Jechać stale na starych, to jest polityka krótkowzroczna.

– Czy jest to pańskie zdanie, czy przytacza pan opinię wiceprezesa?

– On chyba tak często mówił. Ja się z tym w dużym stopniu zgadzam.

– W dużym stopniu, a więc niecałkowicie?

– Są wyjątki.

– Takim wyjątkiem był właśnie Jaskółka?

– Chyba tak. Dlatego byłem taki niezdecydowany.

– I na czym w końcu stało?

– Jeśli Jaskółka na tych zawodach wygra zdecydowanie z moją trójką i w ogóle wygra ze wszystkimi zagranicznymi, to powinien pojechać.

– I wiceprezes zgodził się na takie postawienie sprawy?

– Zgodził się. Trudno było się nie zgodzić. Powiedział: – Niech wygra ze wszystkimi, niech pokona tyczkarzy z NRD, wszystkich Skandynawów i jeszcze tego Amerykanina – bo obsada była naprawdę mocna, to powiedział – będę pierwszy, który go wsadzi do samolotu.

Ale zdaje się, nie bardzo wierzył w to.

– Powiedziałem, że były długie dyskusje, gorące, nawet trochę sprzeczano się. Ten dziennikarz pożarł się z wiceprezesem. Inni załagodzili i wiceprezes powiedział w końcu: koledzy o co chodzi? Jeśli ten Jaskółka jest najlepszym tyczkarzem świata, to co nas obchodzi, jak i z kim trenował, co kiedyś robił i co teraz robi, do samolotu, wepchnąć w fotel i niech przywozi złoty medal. Śmiał się i wszyscy się śmieli, a dziennikarz jakoś kwaśno. Atmosfera była nieco napięta, wszyscy byli już zmęczeni. Niektórzy mieli dosyć i Jaskółki, i w ogóle całej tyczki. Panowie, przecież nie tylko tyczkarze mają swoje problemy. A biegi długie, a ustawienie składów sztafet? Dyskusja przeszła na inny temat, ale potem znowu wrócili do Jaskółki.

– Kto wrócił?

– Dziennikarz i wiceprezes. Już nie pamiętam, kto pierwszy zaczął. Poszło o „wyłamanie się z zespołu”. O to, że Jaskółka źle się czuł w grupie, na zgrupowaniach, we wspólnych wyjazdach. Trzymał się na uboczu, albo był jakiś drażniący innych. Wiceprezes rozwinął tę sprawę. Mówił, że sport powinien uczyć harmonijnego współżycia, że indywidualiści nie są

nam potrzebni, wprowadzają nie dobrą atmosferę. Długo mówił i trzeba przyznać przekonywująco. Wiceprezes w ogóle dobrze mówi, umie mówić.

– A reporter, co mówił?

– Mówił, że oczywiście sport powinien uczyć solidarności, ale nie można lekceważyć indywidualnych cech. To są dwie różne sprawy. I przytaczał opinie niektórych zawodników, którzy nie lubią długich zgrupowań. Nie lubią, ale się temu poddają.

– I na czym stanęło?

– Właściwie na niczym. Jeszcze raz odłożono całą sprawę do zawodów. W konkursie rozstrzygnie się wszystko.

– Jeszcze jedno pytanie. Czym pan tłumaczy, że w ostatnich miesiącach tyczkarz Jaskółka zaczął tak dobrze skakać? W ogóle zmienił się na korzyść. Trenował systematycznie i prowadził wzorowy tryb życia.

– Właśnie dlatego zaczął tak skakać, bo rozpoczął inny tryb życia.

– Ale jakie przyczyny to spowodowały, że zmienił się na korzyść?

– Natury osobistej. Zamierzał się ożenić. Miał dziewczynę i ta dziewczyna dobrze na niego wpływała. Wreszcie trafił.

– Czy zmiana na korzyść była pańskim zdaniem trwała?

– Powiedziałem już, że lubię Jaskółkę. Ale powiem też szczerze, że nie byłem całkiem pewien, czy jest to zmiana trwała. Wspominałem już o tym, że nie bardzo go rozumiałem, nie umieliśmy ze sobą nawiązać kontaktu, to znaczy próbowałem nawiązać z nim kontakt, ale to nie udawało się. Nie tylko mnie. On był jakiś pogmatwany. Ze sobą też nie umiał dać sobie rady. Nie byłem pewien, czy dojdzie do tego małżeństwa czy nie. Przedtem też były różne dziewczyny – ładniejsze i brzydsze, inteligentne i nie za bardzo inteligentne. Zmieniał je. To nie jest oskarżenie. W tym wieku często zmienia się dziewczynę. Jaskółka to ładny chłopak, tak, jestem całkowicie szczery: nie byłem pewien, czy ta pozytywna zmiana, jaka w nim zaszła, była trwała. Kilka lat temu już raz wziął się w garść. Trenował przez dwa miesiące i nagle przestał przychodzić. Zjawił się dopiero latem. Rok temu poskakał parę razy w zawodach, strącił 5,30 i nawet nie powiedział dowidzenia. To było drażniące. Marnował swój talent. Jaki on był szybki! A skoczność! Naturalne zdolności ruchowe. Już dawno mógł mieć pewne miejsce w reprezentacji. Mógł skakać. Silny fizycznie i nie za silny pod względem psychicznym. Miał siłę i refleks. Mógł biegać przez płotki, w ogóle chyba był materiałem na dziesięcioboistę. Szybkość płynąca z jakichś impulsów, pobudliwości.

Starsza pani ubrana skromnie, o suchej twarzy i wąsko zaciśniętych ustach. Stara się być zasadnicza, ale mówi nerwowo chwilami wpadając nawet w histeryczny ton.

– Pędził jak wariat. Od razu wiedziałam, że coś się stanie. Potem huk, świst i nieszczęście. Leżał biedaczek na ulicy cały we krwi. Zabił go i zaraz uciekł.

– Na szczęście nie zabił i chyba nie uciekł, bo przecież odwiózł go swoim samochodem do szpitala.

– Nieprawda. Pojechał dalej. Dopiero później wrócił. Tyłem się cofał, bandyta! Omal mnie nie przejechał. Zatrzymał się dosłownie tuż przede mną. A potem był zupełnie obojętny, jakby się nic nie stało. Wołałam: szybko, ratujcie go, bo umarł. A on tak powoli wkładał go do auta. Gdyby nie ten drugi szofer, to by pojechał z nim dopiero po godzinie. Tamten to był zaradny. To tamten go włożył do środka. Przez cały czas pilnował, żeby znowu nie uciekł. Ale też pędził jak wariat. To są wszyscy bandyci! Zabijają nas i dzieci. Raz na Nowym Świecie przechodzę i omal mnie nie zawadził. A na Grójeckiej przedwczoraj to przyjechał tak blisko, że trącił o palto. Jak ich widzę, to grożę, karać łobuzów, do więzienia! Piją, pijani prowadzą samochody. Pędzą na złamanie karku...

– Rzeczywiście problem kultury kierowców nadal jest palący. W ogóle kultury zachowania się kierowców i przechodniów. Tak, i przechodniów także proszę pani. Niech pani się uspokoi i poda fakty. Więc jak to było. Uciekał czy nie?

- Uciekał. Przecież mówiłam.
- Ale zaraz był na miejscu.
- Tak, omal mnie nie potrącił.
- Ile czasu minęło od chwili wypadku do tego momentu, kiedy, jak pani mówi, omal panią nie potrącił?
- To było długo. Zdążyłam podejść do tego biedaka, pochylałam się, a on na mnie jedzie.
- Jak daleko była pani od miejsca wypadku?
- To było na moich oczach. Stałam dosłownie o parę metrów. Zamarłam z przerażenia i pewnie coś krzyknęłam i zaraz przy nim byłam. Jestem bardzo opanowana. Chciałam pomóc. To wyglądało okropnie.
- A więc zrobiła pani kilka kroków, krzyknęła i już była pani przy ofierze wypadku, a sprawca nadjechał?
- On chciał uciekać.
- Czy pani zapamiętała numer?
- Przecież wiadomo, kto to zrobił. Nie myślałam o takich rzeczach. Wołałam, co robić z tym biednym chłopcem i posłałam mężczyznę do telefonu.
- A jakiego koloru był samochód sprawcy wypadku?
- Biały, zielonkawy. Nie muszę pamiętać.
- A ten drugi samochód, tego kierowcy, który zachował się spokojnie i energicznie?
- To był duży samochód. Chyba taksówka jakaś.
- Nie ciężarówka?
- Może ciężarówka. Też jechał jak wariat. Kupa żelaza. Karać surowo. Do więzienia. Ale teraz ten biedny chłopak...
- Niech pani się nie denerwuje, wszystko się robi, aby go wyleczyć. A sprawa rzeczywiście smutna. Bardzo dziękujemy pani, że zechciała się do nas pofatygować.

Lekarz sportowy. Młody człowiek wyglądający raczej na studenta niż na lekarza. Jest nim dopiero od trzech lat. Zakochany w sporcie poświęca pracy społecznej każdą wolną chwilę, współpracując ze sztabem lekarzy opiekujących się kadrami. Lubiany i ceniony, jedyne zastrzeżenie wysuwane przez niektórych działaczy, że nazbyt koleżeński wobec zawodników. Jest raczej ich kumplem, a nie przedstawicielem nauki, którą uważa się od pewnego czasu za ważne wsparcie wyczynowego sportu. Nosi się niedbale, przyszedł w koszulce z krótkimi rękawami i głębokim dekoltem, płóciennych spodniach i sandałach.

– To będzie trwało krótko. Mamy do pana doktora właściwie tylko jedno pytanie. Czy znany nam wszystkim od dawna reporter zwrócił się do pana podczas przedolimpijskich zawodów w Warszawie z pewną dziwną propozycją.

– Jeśli krótko, to nie owijajmy w bawełnę. Wiem, o co chodzi. Kiedy konkurs tyczki dopiero się rozwijał, Jaskółka po opuszczeniu nieszczęsnego 4,90 skoczył wreszcie 5,10 i nie odpadł, ten reporter przybiegł i poprosił, żebym natychmiast przeprowadził Jaskółce badanie krwi. Na szczęście miałem ten aparat na miejscu. Jaskółka wkrótce przyszedł, badanie to zrobiłem, jego wynik jest znany i to jest wszystko.

– Czy reporter powiedział panu, dlaczego trzeba zrobić zawodnikowi Jaskółce to badanie?

– Nie powiedział. Powiedział tylko, że jest to ważne i trzeba koniecznie zaraz to zrobić. Był zdenerwowany. Nie pytałem go o co chodzi, bo od razu domyśliłem się.

– A więc skojarzył pan natychmiast znane fakty, które miały miejsce w swoim czasie. Domyślił się pan, że zachodzi obawa, czy zawodnik Jaskółka nie używał alkoholu przed zawodami. Nie było tajemnicą dla waszego środowiska, że on pijał alkohol?

– Czasem pił, ale w poprzednim okresie. Od dłuższego czasu nie pił i o tym także w naszym środowisku wszyscy wiedzieli.

– A jak pan doktor scharakteryzowałby tego zawodnika?

– Jesteśmy prawie w jednym wieku i nie mam ochoty wydawać jakichkolwiek ocen określających go jako człowieka. Lubię go tak jak wszystkich sportowców. To ciekawy człowiek. Nietypowy w naszym środowisku. Skomplikowany organizm. Duża siła fizyczna przy jeszcze większej wrażliwości, może nawet nazbyt wrażliwy. Tacy ludzie dochodzą w sporcie czasem do wielkich wyników. Są jednak nierówni. Świetne rezultaty przeplatają się ze słabymi. Gdyby wszyscy byli z żelaza, sport byłby nudny.

– Wyniki pańskiego badania krwi są znane komisji. Jakiego był pan zdania na temat składu naszych tyczkarzy na igrzyska olimpijskie? Którzy z nich powinni pojechać, a którzy zostać w domu?

– Oczywiście powinni pojechać ci, którzy są w danej chwili najlepsi. Jedyną formą eliminacji, formą najlepszą są zawody, czyli bezpośrednia walka. Tak, jak ostatecznie zdecydowano.

– Słowem należał pan do tych działaczy, którzy byli za rozstrzygnięciem dylematu właśnie podczas owych zawodów i nie był pan przeciwko wystawianiu zawodnika Jaskółki bez dania mu jeszcze jednej szansy?

– Moja opinia nie miała w tym wypadku większego znaczenia. Jestem od niedawna w tym środowisku. Nie uważałem za stosowne, aby agitować za Jaskółką. W związku są dorośli ludzie, lepsi fachowcy niż ja. Jest także kilku lekarzy dużo bardziej doświadczonych ode mnie.

– A może pan jednak rozmawiał na ten temat z kimś? Na przykład z wiceprezesem?

– To nie ja z nim rozmawiałem. On ze mną rozmawiał. Nie tylko ze mną zresztą.

– I jakiego był zdania w tej kwestii?

– Mieliśmy krótko rozmawiać. Panowie zadają dużo pytań. Wiceprezes stwierdził, że patrzy na całą sprawę z szerszego punktu widzenia. Dla niego najważniejsze – zawsze to mówi, są sprawy wychowawcze. Miał duże zastrzeżenia wobec Jaskółki. Uważał go za zawodnika niesubordynowanego, chimerycznego i w pewnym stopniu miał rację. Widzą panowie, sport wyczynowy ma jeden walor, o którym się czasem zapomina. Wyłania osobowości. Kto nie ma osobowości, na ogół nie osiąga wielkich rzeczy w sporcie. Są osobowości różne. Im bardziej złożona osobowość, tym bardziej męczą się działacze. Czy mogą podziękować panom za zaproszenie?

– To my dziękujemy panu doktorze.

Reporter. Niewysoki, szczupły mężczyzna o szpakowatej gęstej czuprynie. Na skroniach siwe pasma. Przenikliwe czarne oczy. U lewej ręki brak dwóch palców, pamiątka z ostatniej wojny.

– Znamy się od dawna panie redaktorze. Jest pan starym sportowcem, uprawiał pan kiedyś wioślarstwo, i o ile pamiętamy, pańska osada zdobyła przed laty brązowy medal na olimpiadzie. Był pan niezastąpionym sternikiem.

– To było tak dawno, że prawie nieprawda. Ważyłem wtedy 57 kilogramów. Ale przecież nie chodzi o wioślarstwo, ani o mnie. Idzie o Jaskółkę.

– Pańska rola w tej sprawie jest niemała.

– Przejdźmy więc do niej.

– Zaczniemy od pewnego szczegółu. Znany jest pan z tego, że nie oddaje nigdy mikrofonu komu innemu kiedy powierza się panu długą, ważną transmisję. To znaczy, że czasami pracuje pan z kimś, ale w najtrudniejszych rozstrzygających chwilach, a tamte chwile były naprawdę bardzo szczególne i ciekawe, zawsze brał pan na siebie cały ciężar reportażu. Tymczasem wtedy powierzył pan pracę komu innemu i to, powiedzmy sobie szczerze, niedoświadczonemu reporterowi, właściwie nowicjuszowi, debiutantowi.

– Na ten temat rozmawiało ze mną kierownictwo mojej instytucji. Złożyłem odpowiednie wyjaśnienia.

– Oczywiście jest to sprawą przede wszystkim pańskiej instytucji. Prosimy wybaczyć musimy jednak rozwinąć tę rzecz.

– Idzie o to dlaczego opuściłem stanowisko reporterskie i poszedłem na boisko pod koniec konkursu tyczki?

– Tak, o to idzie. Może zechciałby pan opowiedzieć ze swego punktu widzenia, jak to było wtedy na stadionie. Mamy czas. Słuchamy.

– Chyba wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby nie głupi przypadek. Jaskółka szukał mnie na stadionie tuż przed zawodami i pewna młoda pracownica naszej redakcji, zresztą w najlepszej wierze, powiedziała, że jeszcze mnie nie ma. A byłem, bo przychodzę zawsze wcześniej. Nie chciała żeby mi przeszkadzano. Przygotowywałem się do pracy. Zawsze im mówię, żeby mi nie przeszkadzali. Muszę się wtedy skupić. Była posłuszna i stąd błąd. Paradoksalne. A więc chciał ze mną rozmawiać. To jest pierwsza istotna rzecz. Chciał rozmawiać właśnie ze mną. To mnie zobowiązało. Oczywiście dopiero później dowiedziałem się, dlaczego mnie szukał. Na jego zaufanie wpłynął na pewno fakt, że byłem za jego wysłaniem na olimpiadę. Komentarz w telewizji w przeddzień zawodów był moim publicznym odkryciem kart. Pewnie słuchał go i poczuł, że ma sojusznika. Jak rozpoczął konkurs, wiadomo. To był znów dawny Jaskółka. Nadmiernie napięty i nieskoordynowany. A tego dnia jeszcze gorszy niż zwykle. Wyznam, kiedy za pierwszym razem w ogóle nie wykonał skoku, lecz przebiegł pod poprzeczką, nie przyszło mi nawet do głowy, co stało się przed zawodami. Jak mogła mi przyjść do głowy taka rzecz? Wszystko, ale nie to. Chociaż z kolei każdy, kto prowadzi samochód, może spowodować wypadek, przecież nie koniecznie z własnej winy. Ale o tym nie myślałem. Jak strącił po raz drugi 4,90, myślałem dla odmiany, że po prostu stało się to, co przewidywali inni, którzy byli właśnie przeciwko wysłaniu Jaskółki na igrzyska. Po prostu nie wytrzymał nerwowo wielkiej stawki. Byłem zmartwiony. Nawet trochę głupio się czułem. A więc popełniłem pomyłkę. To się zdarza, ale żaden reporter nie lubi się pomylić. A ten mój asystent, któremu potem oddałem na dłuższy czas mikrofon, zaczął wtedy gadać, że to coś dla mnie, że oto na stadionie rozgrywa się wielki dramat i że ja to lubię. Miałem na dobitkę sporo kłopotów ze zmienianiem odcinków transmisyjnych. Jego trzeci skok na 5,10, po przepuszczeniu 4,90, wypadł jak na złość na inną audycję. Starłem się wydebić dodatkowo kilka minut, ale inspektor musiał odmówić i oczywiście miał rację. Byłem zły na niego, na Jaskółkę i w ogóle na wszystko.

Potem Jaskółka przybiegł przed kabinę i asystent pierwszy go dostrzegł. Pobiegłem na dół. Pytam, co się stało. Przecież pan teraz lekko zaliczy. Ktoś akurat pchał kulę. Kończył się jakiś bieg. Przy blokach startowych kręcili się plotkarze przygotowujący się do półfinału. Był bardzo zmieniony. – Mam coś ważnego – powiedział takim tonem, że przelazłem przez barierkę i wziąłem go na bok. – Rozbieg panu nie wychodzi. Nie ma wiatru. Idealna pogoda. Niech pan spojrzy. Niebo było błękitne bez chmur. Flagi na masztach zwisały nieruchomo nad koroną stadionu.

– Niech pan zadzwoni do szpitala numer sześć. Zabiłem człowieka. – Oniemiałem.

– Nie, ten chłopiec jeszcze żył. Może tylko tak wyglądał. Niech pan natychmiast dzwoni i zapyta co z nim.

Wziąłem go energicznie za ramię. – Zaraz zadzwonię. Dlaczego pan zaraz do mnie nie przyszedł?

Jaskółka mówił bezładnie: – Powiedziałem im, że przepuszczam trzecią próbę na 4,90. Nie wiem co robię. Wycofuję się – rzucił gwałtownie i zrobił krok w kierunku boiska.

– Zaraz – powiedziałem. – Szpital numer sześć. O której to było?

– Czterdzieści pięć minut temu. Nie, może godzinę. Nie pamiętam. Jechałem na stadion. To straszne.

Byłem wstrząśnięty. Próbowałem go uspokoić, pocieszyć, że może nie jest tak źle. Ten chłopiec na pewno żyje i na pewno już się nim odpowiednio zajęli. Jaskółkę znam chyba do-

syć dobrze, ale pierwszy raz widziałem go w takim stanie. Nie można się dziwić. Nawet ktoś, kto ma skórę nosorożca, byłby załamany. Wtedy jeszcze nie zastanawiałem się nad jego postępowaniem. Jednak przyjechał na stadion i próbował startować. Działał pod wpływem szoku, ale szok skierował go jednak na boisko. To musiała być jakaś potężna siła. Te wszystkie okresy jego lekkiego traktowania sportu, wszystkie załamania i krótkie wzloty, które w istocie nigdy nie były prawdziwym wzlotem, to rozwichrzenie woli, jakieś niezdecydowanie, jakie wykazywał, akurat uleciało jak na złość w tym dniu, kiedy miał wziąć udział w rozstrzygających o jego dalszej karierze zawodach. Niekiedy tacy ludzie jak on w końcu podejmują postanowienie i jest to decyzja nieoczekiwanie stanowcza. Wszystkie siły psychiczne, bo przecież w każdym człowieku tkwią takie siły, skoncentrował od dawna na tym właśnie starcie. I oto zdarzyło się coś strasznego. Znow się rozsypał. Nie wiedział co robić. Przyjechał na stadion, jak się domyślam, bezwiednie, jakby poza własną wolą. Chciał być przy tym chłopcu, a jednocześnie był na boisku. Chciał wygrać konkurs, a przegrywał z kretesem i wiedział dlaczego przegrywa. Cały Jaskółka. Oczywiście, kiedy wracałem na swoje stanowisko, a on poszedł na boisko, w tych krótkich chwilach nie myślałem o tym, co teraz mówię, nie analizowałem jego stanu psychicznego. Także działałem pod wpływem impulsu. Pierwszą jedyną myślą, mówię to z całą szczerością, było to, aby mu pomóc. Cóż stało się, ani ja ani on tamtemu biedakowi pomóc nie mogliśmy. To był taki układ, że tylko ja mogłem coś zrobić. Natychmiast dzwonić do szpitala. Już skakali na wysokości 5,10. Nie pamiętam kto pierwszy zaczął, bodaj Mirkowski. Przeszedł z zapasem. Potem jeden ze Szwedów, potem drugi z naszych. Amerykanin przeskoczył także za pierwszym razem i miał największy zapas. Jaskółka siedział na ławce ze zwieszoną głową. Widziałem go dokładnie z kabiny. Parę razy podniósł głowę i patrzył w moją stronę. Instynktownie, także instynktownie czułem, że w tej chwili nikt nie powinien wiedzieć, co się stało. Ważne przedolimpijskie zawody. Ponad stu zawodników z kilkunastu krajów. Tłumy na trybunach. Idealna pogoda. Świetny nastrój. I oto nasz tyczkarz bierze udział w zawodach mając na karku taką rzecz. Skacze ze ściśniętym gardłem, z omdlewającymi mięśniami ze znużenia, źle powiedziałem, tu znużenie nie pasuje. Jak określić stan człowieka, który jest w rozpacz, a ma szybko i sprężyć biec, pamiętać o wszystkich niuansach technicznych, potem wbić tyczkę, odbić się w idealnym momencie i wdrapywać się czy też szybować na wysokość blisko dwóch pięter? A wie, że od wyniku, który uzyska zależy jego przyszła kariera. Niech będzie – kariera. Musi uzyskać znakomity wynik, musi przeskoczyć siebie, nie mówiąc już o innych należących do czołówki światowej...

– Pan redaktor podszedł do sprawy, tragicznej sprawy jedynie od jej warstwy czysto sportowej, pozwolimy sobie zaznaczyć.

– Niech tak będzie. Można uznać, że płynie to z mojego skrzywienia zawodowego. Przeszło dwadzieścia lat przesiedziałem na stadionach gadając do mikrofonu. Opętały mnie rekordy. Tak, lubię, jak ktoś bije rekordy. Niech będzie, że patrzyłem na tę sprawę od strony czysto sportowej. Potem gadałem, tyle że nie do mikrofonu, ale do telefonu. Technik znalazł szybko numer tego szpitala i połączyli mnie. Rozmawiałem z lekarzem. Co się wtedy działo na stadionie, nie wiem. Patrzyłem tylko na Jaskółkę. Wyciągałem ile się da informacji o tamtym chłopcu. Pierwsza rozmowa była niedobra. Lekarz nie chciał nic powiedzieć, albo nie mógł nic powiedzieć. Potwierdził tylko, że stan chłopaka jest ciężki, że wszystko może się skończyć arcyźle albo tylko źle. Mówił o stanie chłopca, nie znam się zresztą na tym. Miałem zadzwonić znowu za jakiś czas. A on siedział na ławce albo wstawał i krążył wokół skoczni. Czekał na wiadomość. Co miałem mu powiedzieć? Jak jest zła wiadomość i trzeba komuś, kogo się lubi, ją przekazać, to zwykle się kłamie. Ja skłamałem. Pobiegłem na dół, bo w końcu musiał skakać, całe szczęście, że się przedłużało, bo 5,10 próbowało wielu. Przez cały czas mnie obserwował i kiedy znalazłem się znowu przy barierce oddzielającej trybuny od boiska już tam był. Starłem się zachowywać jak gdyby nigdy nie. Ludzie mogli nie dziwić się, że po raz drugi rozmawiam z zawodnikiem. Opowiedziałem się publicznie za nim. Była sensacja.

Skakał źle. Tłum czekał na jego trzeci skok. A że jestem przejęty, też nikt się nie dziwił, że biegam do niego i rozmawiam, to rozumiałe. Zbieram materiał do transmisji.

Stał przede mną i o nic nie zapytał. Czekał, aż sam powiem. Ja też nie wiedziałem co powiedzieć. Skłamię – ale jak zacząć? Ułatwił mi. Wreszcie sam zapytał: – Co powiedzieli?

Otworzyłem usta i jakoś samo poszło. – Nic groźnego. Jest potłuczony. Ma dobrą opiekę. Chyba wszystko nie będzie tak źle, jak pan myśli. No, Jaskółka!

Zaskoczyło mnie, że tak się ucieszył. Jak szybko człowiek przechodzi od rozpaczki do radości! Uwierzył. W pierwszej chwili się wierzy, dopiero potem ogarniają znów wątpliwości. Toteż zaraz powiedział: – Naprawdę? Był nieprzytomny. Widziałem krew.

– Nie jest tak źle – powiedziałem. Ale wyrwało mi się: – Czy to pana wina? Szybko pan jechał.

– Jest potłuczony – powiedział. – Żyje. Będzie żył.

– Szybko pan jechał? – musiałem powtórzyć po raz drugi, bo myślał tylko o tamtym, a nie o swojej winie i jej rozmiarach.

– Miałem 70, może 80 na godzinę. Tam właściwie można, bo teren nie zabudowany. Stała mu nagle ta chwila przed oczami. Raptownie zmienił się na twarzy, ale przekazywał informacje, a nie swoje uczucia. – Ciężarówka mi zasłoniła. Wybiegł z za ciężarówki. Robiłem, co mogłem. Uderzyłem go lekko. Słyszę wciąż ten stuk.

W naszą stronę biegł jeden z działaczy czy sędziów. Machał ręką na Jaskółkę. Ponagłał.

– Niech pan wraca. Zaraz pan skacze. Będę znów dzwonił. Dowiem się nowych szczegółów.

– Jaskółka, gdzie się pan podziewa – wołał tamten.

– No, Jaskółka. Miał pan pewnie świadków. Wszystko jakoś będzie. Niech pan biegnie i skacze. Jak pan mnie wpakował w tę kabałę, to pomogę.

– Wycofuję się z konkursu! – powiedział histerycznie i w tym momencie wydawał mi się nie młodym, silnym mężczyzną, ale małym chłopcem.

– Szybko. Na pana kolej. 5,10 z zamkniętymi oczami pan skoczy – wołał sędzia. – Ustawiliśmy panu tak, że dziecko skoczy. Wszyscy skaczą, nawet gorsi, to i pan skoczy. Biegnijmy! – poderwał go.

Po chwili był już na skoczni, zrzucił szybko dres i stanął na rozbiegu. Nie koncentrował się. Ruszył od razu. Wbił tyczkę i ze sporym zapasem przeskoczył na drugą stronę. Przy najmniej w ciągu tych kilku sekund wszystko z niego opadło. Lunatyczny skok – pomyślałem. Rozległa się burza braw, długa, przeciągła. Mirkowski i Kornacki podbiegli i klepali go po ramieniu. Uśmiechał się, proszę sobie wyobrazić, że uśmiechał się. Byłem z powrotem w kabinie i obserwowałem go przez lornetkę. Wkładał dres. Znowu zmieniła mu się twarz. Podnosili poprzeczkę wyżej, chyba na 5,30. Przygotowywał się jeden ze Skandynawów. On siadł znów na ławce. Co chwilę spoglądał w stronę kabiny. Siedział nieruchomo, ale był na pewno sprężony, odnosiło się wrażenie, że trąci go ktoś palcem, a on zerwie się i pobiegnie jak oszalały w moim kierunku.

Już nie pamiętam teraz dokładnie tych wszystkich telefonów, wejść na antenę, rozmów z młodym asystentem, który chyba nie rozumiał, co się dzieje. To, że jestem zdenerwowany, kładł na pewno na karb perypetii Jaskółki. Była następna rozmowa z lekarzem. On nie słyszał mnie, a ja jego, taki był wrzask na trybunach. Akurat dużo się działo na stadionie. Kiedy trochę uciszyło się i mogliśmy rozmawiać, jak na złość odezwał się drugi telefon z komendą, że zaraz muszę wchodzić na antenę. Wpuściłem tego małego. Powiedziałem tylko ludziom, że Jaskółka przeszedł i jest dalej w konkursie. A potem wsadziłem mu mikrofon do ręki. Niech gada. Chciał dłużej gadać, więc niech ma. I dokończyłem rozmowę z doktorem. Potwierdził swoje pierwsze przypuszczenia. Jest źle. Powiedział, żeby temu sprawcy wypadku zrobić jednak badanie krwi. Jak najszybciej, jeśli można to na stadionie. Powiedziałem, że to się da zrobić. Znowu było to oświadczenie bez pokrycia. Położyłem słuchawkę, a tamten skończył swój reportaż, zdaje się nie poplątał, dał wyniki, jak należy, bez pomyłek. Teraz było trochę czasu do następnego odcinka.

Powiedziałem, żeby uważał, co się dzieje na boisku i pobiegłem znów na dół. Załatwiłem to badanie krwi. Lekarz w ogóle nie zapytał dlaczego ma to zrobić. Sympatyczny, bystry. Zgodził się. Teraz trzeba było ściągnąć do niego Jaskółkę. To urządzenie do badania było poza boiskiem, miejsce było dobre, dyskretne. Ale trzeba było zaprowadzić go tam zaraz. Wróciłem na stanowisko. A tu ten mówi: – Jaskółka był, pytał o pana. Nic nie powiedział, jak się czuje i co przeżywa przed atakiem na wysokość 5,30. Pytałem go także, co mówi Amerykanin. W ogóle nic nie rozumiał. Pytał o pana i zaraz wybiegł.

– Ma gadkę ten mój asystent, trzeba mu przyznać. Zwymyślałem go znowu, cholerowałem dlaczego go nie zatrzymał. I zaraz posłałem go do sekretariatu zawodów, żeby szybciej przynosili nam wyniki. Mamy jeszcze sporo minut do następnego wejścia. Więc niech pobiegnie i powie, żeby szybciej dawali rezultaty. – Dzisiaj przynoszą nam rezultaty bardzo szybko – wtrącił.

– Niech pan idzie i nie gada tyle! – chyba tak mu powiedziałem i wtedy go wyniosło.

Miałem teraz chwilę czasu i byłem sam. Technik, pan Teoś połączył mnie natychmiast z MO. Już wiedzieli o wszystkim. – Jaskółka! Że też musiało mu się to przydarzyć. Oficer także był zaskoczony i chyba nawet zmartwiony, wyczułem żal w głosie. Mówiłem mu jakieś głupstwa, że nie ucieknie, że ręczę za niego, że na pewno nie pił. Rozmawiałem z nim przed chwilą i nie czułem alkoholu. Prosiłem ich o dyskrecję w postępowaniu. Zapytał o krew. Powiedziałem, że zrobione, tu na stadionie, przez lekarza oczywiście. Przyślą gdzie trzeba. Znowu wyprzedzałem czas kłamiąc, już nie wiem, które to moje kłamstwo w ciągu tamtego popołudnia.

Przeskoczył, za drugim razem, ale przeskoczył 5,30. Dwóch odpadło, jeden ze Skandynawów i chyba Kornacki. Konkurs ciągnął się długo. Lekarz wziął mu krew. Miałem z Jaskółką znów rozmowę. – Nie pił pan? – zapytałem wreszcie. W pierwszej chwili znów nie zrozumiał. – Chyba pan nie pił? Milczał, pytanie wciąż nie dochodziło do niego. – Chyba pan nie pił idioto – powiedziałem po raz trzeci bardzo twardo. Dotarło. – Od pół roku nie miałem kieliszka w ustach – odpowiedział wreszcie żarliwie. – Przecież pan wie. Badanie dał sobie zrobić bez wahania. Potem sprawiał wrażenie, że spadł mu z serca ciężar. Patrzyłem na niego, jak szedł z powrotem na skocznię i raptem przypomniała mi się pewna scena. Jesień ubiegłego roku. Byłem w jednym lokalu. Grała muzyka, tańczono. Opodał przy innym stoliku siedział Jaskółka niedbale wciśnięty w krzesło, otoczony przez kilka ładnych dziewcząt. Kokietowały go, ale nie zwracał na nie uwagi. Chwilami był ożywiony, coś bełkotał, by zaraz zapasać w ponurą zadumę. Jedna z dziewczyn pociągnęła go na parkiet. Poszedł obejmując ją i chwiejąc się na nogach. Zaczął tańczyć, przez chwilę jakby wytrzeźwiał. Wykonał kilka płynnych kroków i raptem niezbyt delikatnie odsunął partnerkę od siebie i ruszył do stolika. Zatrzymał się pośrodku sali ściągając wzrok zebranych. Niektórzy go poznali. Wyczuł, że go poznają. Obrzucił salę wyzywającym spojrzeniem. Dostrzegł mnie. Podeszedł. Przeprosił panie, jednak przeprosił, trochę szarżował, przysiadł się. Bełkotał mi coś na ucho, że się źle prowadzi, że młodzież musi się wyszumieć. Było mi głupio, bardziej głupio niż przykro. Nagle powiedział: – Kończę z tym! I zaraz dodał z rozbijającą bezradnością: – Tylko nie wiem kiedy. Milczałem. Znowu zaczął bełkotać: – Ja pana bardzo szanuję. Niech pan się nie martwi. Ja codziennie trenuję – zrobił pauzę. – I codziennie piję – dodał jako rozpaczliwy żart. Powiedziałem, żeby poszedł do domu. – Już idę – dźwignął się z krzesła. Szedł do swoich. Zawrócił – z którą mam iść do domu? Moi znajomi patrzyli z niesmakiem. Już nie pamiętam, kto z nas wyszedł pierwszy. Chyba jednak ja, zdaje się widziałem go jeszcze w szatni, ale unikałem spotkania wzroku i jakoś umknąłem. Mówię to wszystko rozmyślnie. Tak było. To też jest Jaskółka. Ale potem było inaczej.

– No więc, proszę panów, mówię teraz chyba nie tylko o czysto sportowej warstwie tej całej historii. A teraz znów sport. Jadę dalej. Skakali potem 5,50. Zostali Amerykanin, Mirkowski, jeden ze Skandynawów i Jaskółka. Ciężej im szło. Konkurs był wciąż otwarty. Prze-

szedł 5,50 za trzecim razem. Amerykanin za drugim. Kornacki też za drugim. Skandynaw opuścił. Jaskółka miał szansę wygrać. Małą, ale miał. Chciałem, żeby wygrał. Następne niedługie wejście na antenę zrobił w połowie ten młody. Rozmyślnie dałem mu mówić wtedy, kiedy Jaskółka skakał po raz pierwszy 5,65. Już zmierzchało. Długo koncentrował się. Na pewno znów naszło na niego to wszystko. Po co skacze? Bez sensu. Stał i stał. Bałem się wtedy, że w ogóle zejdzie z boiska. W końcu mógł się załamać. A ten mój asystent obok tak mówił: – Piękne jest to skupienie sportowca, który przez tyle lat tak sumiennie przygotowywał się do przepięknych igrzysk. Przejmująca chwila koncentracji. Cicho na stadionie, jakby makiem siał. Teraz tyczkarz myśli tylko o jednym – o tej zawrotnej wysokości, którą ma przed sobą. Tak mówił ten młody.

Jaskółka stracił. Zrobiłem kolejny grzech. Zostawiłem go samego w kabinie. Powiedziałem, że dobrze sobie daje radę i zmieniam decyzję – będzie samodzielnie robił do końca. Był przerażony i szczęśliwy, dawno nie widziałem tak szczęśliwego człowieka. Tego popołudnia i wieczora ciągle stykałem się z radością i rozpaczą, z załamaniem i nadzieją. Do końca konkursu przesiedziałem już na boisku. 5,65 skoczyli Amerykanin, Mirkowski i Jaskółka. Następna wysokość także przeszli, za to Skandynaw odpadł. Podnieśli 10 centymetrów wyżej. Zostało ich dwóch: Amerykanin i Jaskółka. Było już ciemno. Zawiesili im rekord świata. Było ciemno, więc ściągnęli wóz straży ogniowej. Wjechał na bieżnię i zapalił reflektory. Napięcie było ogromne. Nikt nie wyszedł ze stadionu. Blisko skoczni zgromadził się teraz tłum głowa przy głowie. Mało rozmawialiśmy z Jaskółką. Jeśli któryś z nas mówił, to przede wszystkim ja. Nie pamiętam, co mówiłem. Szło mi o to, żeby miał całkowitą wiarę w siebie. – Skoczysz dzisiaj na pewno tyle, ile będzie trzeba, aby pokonać Amerykanina! Bez względu na to, czy będzie to wyrównanie rekordu świata czy jeszcze wyżej. Wyciągnął się na tej swojej ławeczce opatulony w dres, szyję zawiązał rękami, bo wieczorem zrobiło się chłodnawo – i słuchał.

Wstał i oglądał tyczkę. Wziął ją na ramię i podszedł do poprzeczki. Raz jeszcze sprawdził wysokość uchwytu. Wrócił wolno na miejsce, skąd postanowił wziąć rozbieg. Stał. Stał przed rekordem świata. Zwilżył wargi, garbił się, marszczył czoło. Znów wyprostował się. Trzymał koniec tyczki na barku, zaciskał dłonie, jakby chciał ją zgnieść, to znów przebierał palcami. Pochylił się. Nagle jakiś malec wbiegł na trawę kierując się w stronę wysoko ułożonych materacy, na które spadali tyczkarze. Dostrzegł go mężczyzna z opaską porządkowego na ramieniu i ruszył naprzeciw. Chłopiec wywinął się i zmienił kierunek, pędził wprost na nieruchomo stojącego tyczkarza, jakby tam szukał ratunku. Drugi porządkowy przeciął drogę i złapał chłopca wpół. Szarpał i ciągnął na bok. Byłem zaskoczony, że Jaskółka tę scenę dostrzegł. Zdawało się, że widzi tylko poprzeczkę zawieszoną wysoko i oblaną strumieniem światła z reflektorów. Ale dostrzegł szarpiącego się chłopca, opuścił tyczkę, położył ją na trawie i raptem podbiegł do porządkowego. – Puść go pan. Porządkowy nie zrozumiał i prowadził chłopca dalej w stronę widowni. Stała się rzecz dziwna. Zawodnik, który przygotowywał się właśnie do ataku na rekord świata, nagle wtrąca się do takich rzeczy. Położył rękę na ramieniu porządkowego i powtórzył: – Puść go pan zaraz. Chłopiec usiadł na trawie i patrzył na tyczkarza. Jaskółka nawet na niego nie spojrzał. Wracał na miejsce. Reflektory prześliznęły się po sylwetce i twarzy tyczkarza, ale zaraz pobiegły w bok jakby zawstyżone, że go oślepiły i znów sunęły wolno po ciemnym mrowiu widzów. A ten główny strumień światła cały czas był nieruchomy, wycelowany na wiszącą poprzeczkę.

Skoczył.

– Jaskółka! Jas-kół-ka! – skandowali widzowie. Reflektor prześliznął się teraz po zdziwionej twarzy Amerykanina. Uśmiechał się nerwowo. Jaskółka! Jaskółka!

Miał już rekord świata ale był jeszcze Amerykanin. Jestem już trochę zmęczony, zresztą panowie wiedzą, że ten znakomity zawodnik przegrał na tej wysokości. W pierwszej próbie

był także bliski rekordu świata, ale w dwóch następnych osłabł. Bili mu długo brawo dziękując za walkę. Cóż, nastrój był świetny. Wygrał Polak. Wygrał i jeszcze miał rekord.

– Wiedziałem, że Jaskółka nas pogodzi – podszedł do mnie Mirkowski. – Jedzie.

– Pan też.

– Mogłem przejść swoją wysokość tylko w pierwszym skoku. Tak jak on – wskazał na Amerykanina. – Nie czułem, że strącam. Potem już wysiadłem. Nogi nie te. Jestem strasznie zmęczony. Która godzina?

– Dwudziesta druga dwadzieścia siedem – nie wiem dlaczego ale zapamiętałem, że była wtedy taka godzina.

Jaskółka leżał na trawie. Przykucnąłem obok. – Ile teraz skaczesz?

– Poprosiłem, żeby zawiesili 15 centymetrów wyżej. Jak robić rekord, to robić. Żeby długo został.

Przez mgnienie oka wyglądał brzydko, kiedy wspinał się w górę, zanim tyczka go wyrzuciła. Ciężko spadł wprost na poprzeczkę. Taka była pierwsza próba. Położył się na trawie. Wyglądał znowu na zrezygnowanego. Znowu usiadłem obok.

– Nie dam rady. Mam dosyć.

– Teraz skoczysz. Niewiele brakowało – to było jeszcze jedno moje kłamstwo tego dnia, chyba już ostatnie.

Nie zwrócił na moje słowa uwagi. – Czy krew w porządku? – nagle wrócił do tamtego.

– Wszystko będzie dobrze. Skacz i rób rekord. Czasami każdy z nas umie spojrzeć tak na drugiego człowieka, że powie więcej, niż zawarłby w stu słowach. On wtedy właśnie tak spojrział. Już rozumiał całe moje zachowanie. Zrobiliśmy wszystko, co było można. Tak nam się wydawało. Jedyłą rzeczą, która pozostała było bicie tych głupich rekordów świata. Tak, są głupie, a jednocześnie piękne. Los zrządził, że wreszcie miał tę swoją jedną jedyną chwilę w dziwnej, nieudanej przecież karierze sportowej. Pobić rekord! A reszta już nie należy do niego. Całą resztą będzie to, co obowiązuje każdego z nas w życiu: odpowiedzialność za każdy uczynek, konsekwencje za to, co zrobiliśmy nie tak jak należy. Za przypadek też się płaci.

– Musi pan skrócić trochę rozbieg, ale pójść mocniej. Biegłeś za długo. Trochę zwolniłeś przed odbiciem – coś mu tam takiego mówiłem.

– Niech pan zrozumie, już nie mam siły. – Skoczysz.

– Podszedł jeden z sąsiadów. – Panie Jaskółka jesteśmy gotowi. I odszedł.

Tyczkarz wstał ociężale. Poszedł na bok. Ja za nim.

– Zrozum, mimo wszystko to są dwie oddzielne sprawy. Zostaw tamto teraz.

Odpowiedź była nieoczekiwana! – Jak pobiję po raz drugi rekord świata, będę miał lżejszą sprawę? Tak? – po raz pierwszy odezwał się do mnie jakimś nieprzyjemnym tonem. – Pan tego nie rozumie?

– Dobrze, nie rozumiem. Niech ci będzie. Skacz. Przeskoczysz.

– Pan tego nie rozumie.

– Skróć trochę rozbieg. Nigdy tak nie skakałeś jak dziś. Bez słowa wziął tyczkę i skierował się w stronę poprzeczki

– Będę wdzięczny, jeśli trochę zmienią kierunek reflektora – powiedział do sędziów. – Źle widzę poprzeczkę.

Był teraz rzeczowy, niemal zimny. Jak ten człowiek się zmieniał! Szybko przechodził od depresji do całkowitego opanowania. W jednym i drugim nie był połowiczny. Ta wrażliwość raz była jego słabością, a raz dawała siłę. Jasne strugi światła przesuwwały się po milczącej widowni, po jakichś twarzach, a potem wszystkie światła skierowano na rozbieg i wąziutki pasek poprzeczki. Jeden reflektor zapóźnił się i przesliznął po twarzach ludzi stojących tuż przy skoczni. Napięta twarz Mirkowskiego, zaciekawiona, spokojnie uśmiechnięta tyczkarza z USA, znajoma twarz jednego z sędziów. Jaskółka odtruchtał w głąb boiska. Zatrzymał się i odwrócił. Ruszył raptownie od razu z dużą szybkością, bo wziął krótki rozbieg, ale dodawał,

jakby wciąż było mu mało pędu, nie tracił jednak rytmu. Najpierw miał w oczach błysk, jakby chciał zatrzymać się i zacząć od początku. Ale biegł, biegł dalej, był blisko, w twarzy pojawił się wtedy krótki przebłysk nadziei.

– Tak bym skończył, proszę panów. Więcej nie wydusicie ze mnie ani słowa. Tak mi się skomponował koniec tej opowieści. Niech będzie pointa utrzymana znów w warstwie czysto sportowej. Do widzenia wysokiej komisji.

Wysoki, rozrosły w ramionach młody mężczyzna, rzeczywiście bardzo przystojny, o mocno zarysowanej brodzie, ale w oczach jakiś łagodny wyraz. Mówi Jaskółka przed komisją:

– Powiedzieli panowie, że moja sprawa nie jest jeszcze przegrana, mogę się już domyślać, że za tymi słowami kryje się jakaś nadzieja – szansa pojechania na olimpiadę. Otóż chcę wyjaśnić, bez względu na werdykt – przegrałem, choć nie czuję się pokonany. Przegrałem, bo stałem się sprawca wielkiej krzywdy, jaka spotkała drugiego człowieka, w dodatku człowieka bardzo młodego, który dopiero wchodzi w życie. Krzywdę wyrządziłem mimo woli, ale to nie zmienia jej skutków. Doszedłem do wniosku, zanim zapadnie werdykt, że rezygnuję ze startu w olimpiadzie. Rezygnuję, mimo że chciałbym na niej być. Jeśli bym wziął udział w olimpiadzie, wiem z góry – wyrzuciłbym sobie, że uległem tej pokusie. Wolę zrezygnować i do prawdy trudno mi powiedzieć, która decyzja jest trudniejsza. Ale wybieram tę. Brzmi to wszystko górnolotnie. Wiem o tym, ale inaczej nie umiem wyrazić tego, co czuję. Może właśnie wstrząs i to postanowienie pomogą mi wynieść wreszcie coś ważnego z uprawiania sportu. Będę go uprawiał dalej ale już tylko dla siebie, własnej satysfakcji i pewnie zdrowia, nie dla rekordów, popularności i najrozmaitszych innych korzyści. Ktoś powie, że jestem epigonem, przedstawicielem sportu staroświeckiego. Kto inny, że błąkam się nadal i jest to niezyciowe, niepotrzebnie komplikujące sprawy. Nie mogę postąpić inaczej. To wszystko stało się co prawda poza moją wolą, ale również i z tego powodu, że chciałem być w jakimś miejscu o pięć minut wcześniej. Jakie znaczenie ma pięć minut? Jaką wartość ma, że ktoś skoczy 5,80 albo 6 metrów? To jest absurd.

– Kolego Jaskółka, w stanie zdrowia chłopca następuje wyraźna poprawa. Okoliczności i przyczyny wypadku, który pan spowodował są zbadane i wynika...

– Będzie kulał do końca życia. Proszę przyjąć wyrazy mojej wdzięczności za życzliwość i zrozumienie oraz obiektywizm, jaki panowie wobec mnie zachowali. Odnoszę nawet wrażenie, że wkradły się nuty nazbyt dużej życzliwości, która obiektywizmem już nie jest. Ale za to też dziękuję.

Siedmiu członków komisji nie siedzi już za stołem. Krążą po obszernej, zadymionej sali. Są odprężeni. Słychać przytłumione rozmowy, czasem pojedyncze słowa.

– Niebawem! Co za człowiek! Jednak naprawdę trudno go zrozumieć.

Raptem uchylają się drzwi i ukazuje się w nich głowa kandydata na reportera. Pod pachą trzyma magnetofon.

– Mieli panowie przesłuchać ostatni fragment mojej transmisji. Jestem i przyniosłem taśmę.

Przez chwilę robi się cicho, potem słychać pojedyncze pogodne głosy. – Dobrze niech pan daje, kolego. Posłuchamy sobie. A długo to będzie trwało?

– Tylko ten ostatni skok. To najwyżej trzy minuty. Siadają. Młodzieniec pieczołowicie ustawia taśmę, naciska magnetofon i patrzy ze źle ukrywanym niepokojem na zebranych.

Na tle wzrastającego rozgwaru słychać emfaticzny, młodzieńczy głos:

– Już biegnie, biegnie, smugi reflektorów, pogodne niebo, nie czarne, nie widać gwiazd, tylko ten pas światła i poprzeczka. Biegnie. Leci w górę. Jest! Pobił! Po raz drugi rekord świata! Wielki tryumf naszego sportu! Jaskółka pobił rekord świata. Jedzie na olimpiadę! Będzie maszerował wśród wspaniałej, najszlachetniejszej młodzieży z całego świata na najbardziej szczytnym stadionie, na którym płonie znicz. Mamy nowego bohatera!

Mecz

Na występy Marcela Renarda przychodziły tłumy ludzi. Grał efektownie i ofensywnie, porywał publiczność. Z chwilą ukazania się Marcela na korcie obok przeciwnika, tak samo jak on biało ubranego, zrywały się frenetyczne oklaski. Szła od tej sylwetki jakaś iskra, która rozpałała widownię. Był wysoki, zgrabny, elegancki. Kiedy losował kolejność serwisu, jego wyrzut rakiety w górę miał coś z gestu dobrego aktora, który gra – ale czyni to z ogromną dozą powściągliwości. Zręczny, niedostrzegalny ruch wprowadzający raketę w błyskawiczne obroty. Wzlatuje w górę i płasko pada na kort. Potem Marcel schyla się po nią, jakby kłaniał się publiczności.

Kiedy przegrywał losowanie i tracił prawo pierwszeństwa serwisu, zwykle uśmiechał się do przeciwnika, po czym, elastycznie szedł na swoją stronę. Czuło się, że ma ochotę grać. Nie lubił długich wymian z głębi kortu. Był klasycznym przedstawicielem nowoczesnego tenisa. Miał mocny serwis: pierwszy z lekkim fałszem, którym nadawał najrozmaitszą rotację piłce, drugi za to, jak mówiono, był typowo deblowy. Rotacja jeszcze mocniejsza, jeszcze bardziej złośliwa – ale lot piłki stosunkowo wolny. Czynił to rozmyślnie, aby zyskać jeszcze ułamek sekundy i wykorzystać go na jak najszybsze dobiegnięcie do siatki. Tam minąć go można było najlepiej miękkim passingszotem. Lecz musiało to być bardzo, a bardzo precyzyjne zagranie. Marcel był szybki i miał intuicję, nazbyt często wyczuwał, gdzie przeciwnik skieruje piłkę i natychmiast tam był. Jakby czekał, aż zagra mu wprost na raketę.

Był silny, miał dobrą kondycję. Jeśli natrafiał na równie mocnego gracza – albo jeszcze lepszego (bo i tacy się zdarzali, jako że coraz to pojawia się nowy mistrz rakiety) i walka przeciągała się na godziny, Marcel nie niecierpliwił się, choć i na niego przychodziły kryzysy. Ale ostatni kwadrans walki zwykle należał do Renarda. Wymęczony do ostatnich granic, jak i rywal po drugiej stronie siatki, nagle zwykł wykonywać mocne wymachy ramion przed każdym serwisem. Czasem przepraszał rywala i sędziego krótkim uniesieniem otwartej dłoni i szedł do stolika, aby napić się tyk herbaty. Nie, właściwie nie pił, tylko zwilżał wargi. Poprawiał włosy i znów wracał na kort. Teraz następował znak dłonią jako gest podziękowania za krótką przerwę, która zresztą nie była naruszeniem regulaminu.

To były wszystko jednak tylko pozory wynikające z zachowania zewnętrznych form. W istocie Marcel był twardy dla przeciwnika i nie znał litości. Kiedy miał swój dzień i wszystko udawało mu się, natychmiast zwiększał tempo, dążąc do błyskawicznego zwycięstwa. Po co marnować czas? Nie przedłużać agoni! Dobić! I do szatni.

Nie wszyscy go lubili. Szczególnie sędziowie liniowi patrzyli nań krzywo i bali się go. Nie złościł się, kiedy który pomylił się na jego niekorzyść, nie robił gestów zniecierpliwienia. Opuszczał raketę i tylko patrzył na linesmana. Było to spojrzenie zimne i zaprawione domieszką pogardy. Nie dopatrywał się bowiem złej woli, tylko nieumiejętności, fuszerstwa, braku refleksu. Takie zachowanie – spokojne i pogardliwe – wywoływało tym żywszą reakcję publiczności. Zrywały się gwizdy i pojedyncze okrzyki: „Zmienić sędziego! To był aut!” Albo: „Dobra piłka! Zmienić go!”

Na chwilę pryskało skupienie na korcie i widowni. Sędzia główny, chcąc nie chcąc, dyskretnie interweniował u gospodarzy, a ci natychmiast wymieniali liniowego na innego, który, wydawało się, będzie lepszy.

Marcel Renard przez 7 lat utrzymywał się w czołówce światowej. W Wimbledonie niemal z reguły dochodził do ćwierćfinału, dwukrotnie zakwalifikował się nawet do półfinału – ale tam pokonał go raz Australijczyk, a raz Amerykanin. Wygrał za to wiele mniejszych turniejów. Był podporą reprezentacji pucharowej swego kraju, która za jego najlepszych czasów zawsze wywalczała wysokie miejsca w europejskiej strefie.

Mijały lata i Marcel wciąż czynił postępy. Były one już nie tak błyskotliwe, jak w początkach kariery, już nie tak szybkie, lecz systematyczne – wciąż dostrzegalne dla dobrych znawców. Trochę wzmocnił serwis i urozmaicił return. Wchodził na piłkę jeszcze szybciej, skracał uderzenie. Wszystko teraz zmierzało do jednego celu – uwolnić się z końcowej linii. Na półkort! Do siatki! Tam dopiero czuł się jak u siebie.

W noworocznym obszernym wydaniu „Magazin des Sports”, w trzy dni po ślubie ze znaną aktorką filmową, wyznał dziennikarzowi ze swobodną szczerością, że obecnie jego największym pragnieniem jest wygranie za pół roku międzynarodowego turnieju, który rozgrywany był tradycyjnie na kortach klubu, gdzie stawiał pierwsze kroki. To był duży, głośny turniej, drugi pod względem wagi po Wimbledonie. Renard miał pecha, ilekroć startował w tej imprezie. Raz zachorował w dniu półfinałów, a był akurat w życiowej formie. W następnym zaś roku w ogóle nie mógł wziąć udziału, gdyż mocno potłukł prawą rękę w niegroźnej zresztą kraksie samochodowej. Miał już 33 lata i 7 miesięcy, kiedy ukazał się numer z owym wywiadem. Potem była zima, akurat przypadał rok zimowych igrzysk olimpijskich i świat sportu zafrapowany był najpierw przygotowaniem narciarzy i hokeistów, a potem emocjonował się przebiegiem ich walk. Dopiero wiosną ktoś przypomniał jego słowa. Ale już bez wiary w Marcela. Pewien dziennikarz pozwolił sobie nawet na szczyptę złośliwości, a kilku innych to podchwyciło. Ukazało się kilka sarkastycznych komentarzy, a turniej właśnie zbliżał się.

Dziennikarze w ogóle go nie lubili. Był wobec nich wyniosły, nawet lekceważący. Kiedy rozegrał słabszy mecz, krytyka prasowa nie była jednak zbyt ostra. Liczono się z nim, gdyż publiczność go lubiła, czy raczej lubiła jego tenis z racji dużej widowiskowości.

Który dziennikarz napisze surowo albo wręcz źle o głośnym i bardzo popularnym zawodniku?! Jeśli już chce szukać sensacji i wykazywać odrębność swego stanowiska, będzie penetrował inne rejony. Wynajdzie aferę przekupstwa, wyceluje w złego albo niesumiennego trenera, odsłoni brudne kulisy, no... czy ja wiem... roztrąbi tragiczną sprawę śmierci boksera w ringu; może wreszcie zaatakować tryb pracy federacji piłkarskiej albo śmiało zawadzić nawet o komitet olimpijski... Takich sensacji wciąż nie brakuje w sporcie. Nie, nie atakuje się sławnego zawodnika, który jest stale w dobrej formie, nie pije, na boisku zachowuje się jak należy, a w dodatku jest sportowcem ściągającym na widownię tłumy.

Renarda poznałem osobiście w wiele lat po zdarzeniu, które będzie tu opisane. Był raz również w Polsce i grał w towarzyskim meczu przeciwko naszej reprezentacji. Pierwsze spotkanie wygrał łatwo z wicemistrzem Polski, a ostatniego dnia meczu, kiedy jego drużyna już zapewniła sobie zwycięstwo prowadząc do zera, pozwolił sobie na niedbały występ przeciwko jednemu z weteranów naszego tenisa. Omal nie zakończyło się wszystko ogromną sensacją, gdyż weteran odmłodził tego dnia (może już po raz ostatni?) – zagrał świetnie i miał nawet jednego meczbola. Tylko pech czy raczej nieuważny sędzia liniowy, albo sędzia zbyt nerwowy, zmienił kolej wypadków. Pomylił się po prostu w rozstrzygającym momencie i nie krzyknął: „aut” – choć Renard broniąc meczbola ryzykownym smeczem wyrzucił piłkę o parę centymetrów za linię. Gra potoczyła się dalej, a drugi smecz Renarda był już celny. Zdobył więc równowagę i zaraz przeszedł do generalnego natarcia, a weteran załamał się. Dalej mecz trwał krótko i po dziesięciu minutach ściskali sobie dłonie nad siatką.

Nasza publiczność była srodze zawiedziona. „Jakże, taką okazję zmarnować!”

Sędzię oczywiście wygwizdano, a z kolei wyszydono w prasie. Biedak tłumaczył się, jak mógł ale daremnie, takiej rzeczy nie przebacza się łatwo. Myślał, że pretensje w końcu miną. Gdzie tam! Nieszczęsna pomyłka z biegiem czasu nabrała posmaku legendy. Mówiono, że aut był nie centymetrowy, ale półmetrowy, a potem że Renard w ogóle zasmezcował poza korytarz; ktoś nawet przysięgał, że piłka poleciała wprost w trybuny.

Tak czy inaczej sprawa była głośna i przysporzyła autorowi pomyłki tyle popularności, że po paru latach inni sędziowie zaczęli się przyznawać...

– To ja siedziałem wtedy na linii. Wyznam panu szczerze, że spojrzałem akurat na pewną panią siedzącą w łoży – mówił jeden. A inny:

– Cóż zdarza się, pomyliłem się. Pan rozumie, taki mecz! Siedzę na linii, a tu Renard przegrywa! Własnym oczom nie wierzyłem.

Nie jeden weźmie na siebie każdy ciężar, byle tylko o nim mówiono... Byle wyróżnić się z tłumu.

Renarda zobaczyłem po raz drugi dopiero wiele lat później. Już dawno zakończył karierę tenisisty. Prowadził interes handlowy związany ze znaną firmą rakiet i piłek – miał jej przedstawicielstwo na Skandynawię. Jadąc do Bukaresztu zatrzymał się na parę dni w Polsce. Ukazały się o nim wtedy już tylko małe wzmianki w gazetach, których zresztą nie czytałem, gdyż akurat siedziałem na parotygodniowym urlopie w górach. Wracając z Zakopanego zatrzymałem się w Krakowie, a ponieważ jechał ze mną pewien bardzo młody pasażer, który nigdy w Krakowie nie był, więc chciałem pokazać mu Wawel, katedrę i groby królów.

I właśnie przy trumnie księcia Pepi, mimo półmroku, jaki panował w krypcie, od razu zauważyłem Renarda. Nawet niewiele zmienił się. Też zwiedzał Wawel w jakiejś grupie cudzoziemskich gości. Nasze spotkanie było więc najzwyczajszym przypadkiem. Kiedy wyszliśmy na górę, przypomniałem się. Pamiętał albo udał, że pamięta. Oczywiście nie powstrzymałem się i chcąc go ubawić opowiedziałem całą historię o meczbolu, nieszczęsnym arbitrze i innych sędziach, no, w ogóle jak głośna stała się ta sprawa. Początkowo zdawał się nic nie rozumieć. Uśmiechał się ale przez grzeczność. Był jak zwykle wytworny, ale trochę denerwująca była jego nonszalancja, zdawkowość, wyniosłość – nie wiem, jak to określić. Wolę przytoczyć, co Renard wtedy powiedział.

– Tak, tak to zabawne, ale co ja mam z tym wspólnego?

– No, przecież wygrał pan po meczbolu... nie swoim. My to świetnie do dziś pamiętamy. On miał 5: 3 i 40: 30 w piątym secie. Bił pan łatwego smeczka. W aut! – a sędzia nic krzyknął... I niech pan sobie wyobrazi – mówiłem ale już bez cienia zapału, czując że w ogóle niepotrzebnie to wszystko wyciągam – znam pięć osób, które twierdzą, że to one pomyliły się wtedy...

Był grzeczny, ale nadal chłodny.

– Bardzo możliwe – brzmiało to nieszczercze. – A może to w ogóle nie ja, lecz kto inny grał wtedy w Warszawie?

Chciałem oponować, lecz widząc jego kamiennie ugrzecznoną twarz i spokojny głos, nie zdradzając żadnego podniecenia, zacząłem delikatnie wycofywać się. Gdy wyczuł to, postanowił, jak zwykle czynił na korcie, dobić mnie. Uśmiechnął się uprzejmie i powiedział:

– Nie mogę wszystkiego pamiętać. Grywałem sporo, rozegrałem na pewno kilka tysięcy meczów. Ale tego spotkania nie przypominam sobie. Pan jest dziennikarzem, więc pan wie dobrze, że nieraz wyolbrzymiacie fakty, tworzycie półprawdy – poprawił się: – legendy. Ubarwiacie pewne zdarzenia. Nie mówię, że pan to teraz robi... Widzi pan, o mnie często pisano najrozmaitsze rzeczy. Kiedyś wmawiano mi, że umyślnie przegrałem mecz.

Od razu wiedziałem, co miał na myśli. Natychmiast ożywiłem się.

– Bardzo przepraszam, ale chyba nie powie pan, że pański pojedynek z Yodą nie był czymś wspaiałym, jedynym w swoim rodzaju...

Spojrzał na mnie znów lodowato:

– Był pan wtedy w Paryżu?

Zabrzmiało to nie jak pytanie, ale jak stwierdzenie, że nie i byłem.

Zaskoczył mnie zupełnie.

– Nie, nie byłem – odpowiedziałem.

Patrzył z lekką ironią i widać było, że definitywnie uważa temat za skończony. Nie powiedziałem więc, że znam każdy szczegół meczu z Yodą, że wiele razy czytałem obszerny reportaż z tej walki, że wreszcie pewna osoba, bardzo ze mną zaprzyjaźniona, oglądała ją na własne oczy. Miałem więc wystarczające źródła dla poznania prawdy. Wiedziałem jednak i o tym, że po meczu Renard udzielił głośnego w swoim czasie wywiadu zaprzeczając faktom. To było niesłychane interview! Obraził nawet kilka osób, wśród nich sprawozdawcę, w czasie rozmowy przeprowadzonej natychmiast po meczu w szatni.

– Co pan mówi za bzdury? Tak! to są bzdury i niech pan to wydrukuje! – wołał wściekle. – Mówi pan o moim błędzie taktycznym, o litości dla przeciwnika! Proszę nie dorabiać legendy do najzwyklejszego meczu! To była równa walka, mógł wygrać on, mogłem i ja wygrać. Ale przegrałem. Panie, ja mam prawie 35 lat! A Japończyk 22. Mogę raz zmęczyć się? Mogę! A teraz proszę wyjść i dać mi spokój. Tylko niech pan napisze to, co powiedziałem! Au revoir!

I zatrzasnął drzwi przed nosem dziennikarza. W pięć minut później wywołał awanturę z prezesem swojej federacji.

Wywiad ukazał się, dokładnie przekazując każde słowo rozwścieczonego tenisisty. Napisali także, że połamał w drzazgi rakietę, którą grał i przegrał. Czy to była prawda, już nie wiem. W każdym razie po raz pierwszy „stracił nerwy”. Pryśła jego wytworność i opanowanie. „Miał rozpacz w oczach, był roztrzęsiony... Rozegrał dramatyczny mecz, ale po meczu okazało się, że już nie ma nerwów, że jest już za stary...”

Dziennikarz, któremu zatrzasnął drzwi przed nosem, jak widać, przytaczał fakty, kreślił sylwetkę psychiczną gracza, ale wsadził mu także kilka ostrych szpil. Nie wiem, jak postąpiłbym w jego sytuacji, gdyby wobec mnie tak niegrzecznie zachował się któryś z zawodników. W każdym razie on położył główny nacisk nie na to, co działo się na korcie, ale na to co zdarzyło się w szatni. A zakończył bardzo złośliwie, ubrał wszystko w słowa pełne wyrozumiałości, serdeczności i szacunku, ale tak, że gracz mógł zatrzęść się ze złości.

„Renard ma tyle zasług dla naszego tenisa, że chyba każdy musi mu wybaczyć histeryczne zachowanie po przegranym meczu”.

Inni sprawozdawcy, właściwie cała prasa, oczywiście podjęli i wałkowali przez pewien czas tę sprawę, ale wysunęli ważniejszy problem, niż wybuch tenisisty, już nie stosując wycieczek osobistych, jak tamten dziennikarz.

„Czy Renard miał prawo tak postąpić? Co jest ważniejsze: efektowny gest, czy zwycięstwo własnej drużyny?” – roztrząsano w wielu gazetach.

Wniosek nasuwał się niby sam, bo przecież gdyby grał na własne konto, jego postępek byłby godny uznania. Ale był to Puchar Davisa, a nie turniej indywidualny, walka zespołu, którego Renard był członkiem.

I niemal wszyscy byli zdania, że jednak zachował się nie tak, jak powinien. Jakby można było przykładać dwie różne miary do tego samego czynu. Jedną – jeśli zawodnik występuje w swoim tylko imieniu, a drugą – kiedy broni barw reprezentacji. Przecież barwy, które zawodnik nosi, zawsze są te same – bez względu czy występuje w drużynie narodowej, czy walczy sam. Zarówno indywidualny jak i zespołowy sukces daje dużą satysfakcję rodakom sportowca. Więc jak ustosunkować się do całej sprawy?

Lecz piszę to już po wielu latach, ze sporej perspektywy. Cofnijmy się więc znów w pobliże owego zdarzenia. Roztrząsano by je dużo dłużej, gdyby nie to, że wkrótce rozpoczęła się letnia olimpiada, która wyparła ze szpałt nie tylko Renarda, ale i wydarzenia dużo większej wagi. Jak zwykle w czasie igrzysk olimpijskich świat bawi się przez dwa tygodnie jak dziecko, które dostało nową książkę z kolorowymi obrazkami, zakończoną bardzo pouczającym, morałem: wszyscy ludzie są dobrzy i świat od jutra będzie piękny, bo zły czarownik zginął w płomieniu Świętego Ognia z Olimpu.

Ale Renard wziął sobie mocno do serca to, co zdążono o nim napisać. Po prostu przestał grać i wkrótce wyjechał do USA wraz z żoną, która akurat otrzymała engagement do Hollywood. Wrócił dopiero po dwóch latach, z kolei został trenerem w Skandynawii, lecz nie bawiło go to długo. Miał pieniądze, żona miała duże pieniądze. Ale chciał coś robić. Wkrótce został przedstawicielem owej firmy produkującej rakietę i piłki i powodziło mu się doskonale. Wróćmy jednak do mojej rozmowy. Staliśmy z Renardem przed wejściem do katedry. Miał niedbale nastawiony kołnierz ciemnoszarej jesionki, był mimo mrozu bez kapelusza. Wymieniał z nami kurtuazyjne uwagi na temat Wawelu, jego architektury i pietyzmu, jakim otaczamy nasze zabytki.

– Podoba mi się sarkofag tego króla, co leży w zbroi ze skrzyżowanymi na piersiach rękami a w nogach pies.

– Władysław Warneńczyk.

– Ladislaw Arneńczyk – szybko powtórzył, nie trafiając oczywiście w akcent.

W pięć minut później wraz ze swoimi towarzyszami podróży wsiadł do autokaru. Mieli, jak mówił, jeszcze tego popołudnia pojechać na zwiedzanie Oświęcimia. Pożegnaliśmy się w zupełnym, pośpiechu, bardzo zdawkowo.

Niewątpliwie ta krótka i niezbyt przyjemna rozmowa była dla mnie dalszym uzupełnieniem jego charakterystyki. Zachował się konsekwentnie, nie chciał przyznać się do prawdziwych pobudek, jakimi kierował się wtedy. Nie chciał przyznać się nawet wobec kogoś zupełnie obcego, kogo miał drugi raz w życiu już nie spotkać. Taki konsekwentny upór po tylu latach... Mecz z Yodą z biegiem czasu musiał stać się dla wszystkich nieco wyblakłym wspomnieniem!

To pewne, nie był człowiekiem tak silnym, jak udawał. I dlatego taką wagę przykładął do zachowania pozorów konsekwencji w swoim postępowaniu, a jednocześnie konsekwentny przecież nie był, czego dał dowód swoim gwałtownym zachowaniem w szatni. Przedtem zdobył się na trudny gest i nie wytrzymał do końca. W obliczu tłumu łatwiej było mu odegrać tę rolę; kiedy znalazł się w szatni sam, ogarnęła go rozpacz; kiedy zaś znalazło się kilku świadków – dał się ponieść wściekłości. Można zrozumieć, mimo wszystko taką właśnie reakcję. To, co nagromadziło się w nim pod koniec meczu, kiedy był już całkowicie bezradny, kiedy chciał wygrać, a nie mógł – zdołał opanować tylko przez chwilę, która dzieli gracza od uścisku dłoni rywala do momentu, kiedy znajdzie się w szatni. Schodząc z kortu jeszcze opanowywał się. Potem nastąpiło potężne rozładowanie.

I tak przysł mit o wytworności i nieskazitelnym manierach tenisisty. Dziennikarze odsłoniли go bezlitośnie, wystawili cały jego dramat na widok publiczny. Co musiał potem przeżywać on tak czuły na atmosferę podziwu i szacunku?!

W dużym stopniu musiała odgrywać rolę jego nadmiernie wybujała ambicja i miłość własna, a nawet pozerstwo. Przez całą karierę szukał odpowiedniego modelu dla siebie. Nie był do końca przekonany, jaki chce być naprawdę. Chciał być inny. Ale nie umiał... Dlatego ubierał się w zewnętrzne formy chłodnej elegancji i wytworności i taki występował na korcie.

Lecz znowu w bezlitosnym zwyciężaniu słabszych niż on tenisistów kryła się jakaś gwałtowność, którą też można odnaleźć w jego charakterystyce. Kiedy kogoś rozniósł, zdeklasował – uprzejmość, jaką wykazywał czy raczej demonstrował, była dla bardziej czujnego przeciwnika niemal obraźliwa.

Nie, na pewno nie było w nim prostoty. Każdy gest miał czemuś służyć. Było to gorączkowe poszukiwanie jakiejś postawy, jedynej – zupełnie wyjątkowej, która by go raz na zawsze wyróżniła spośród znacznej ilości sławnych i bardzo sławnych wyczynowców.

W końcu zdał sobie sprawę, że nigdy nie zostanie mistrzem Wimbledonu. Tamten sezon był już dla niego ostatnim, może przedostatnim wielkim sezonem... Przygotowywał się więc starannie i dzięki ogromnej koncentracji osiągnął szczyt formy akurat na ten turniej, rozgrywany na jego kortach, przed oczami własnej publiczności, która go zawsze tak podziwiała.

Lecz wtedy trafił w półfinale na jeszcze lepszego od siebie gracza. Czy to jego wina, że po kilku latach, w ciągu których nie było żadnego fenomenalnego asa, raptem taki as pojawił się? 21-letni Brazylijczyk Perez natchniony wirtuoz tenisa. Każdy musiał ugiąć się przed nim, więc Renard także przegrał.

Nikt nie miał zresztą o to do niego pretensji. Ale on zaciął się, podtrzymał formę, grał nadal świetnie, czekając teraz już tylko na mecz pucharowy. W tym czasie wystąpił w kilku mniejszych turniejach. Znowu kilku tam zmiażdżył... Znowu to grzeczne, nazbyt uprzejme traktowanie pokonanych rywali. Wytworny uścisk dłoni nad siatką, poklepywanie po ramieniu. Certowanie się przy wyjściu z placu gry – kto pierwszy... Kamienna twarz, ciągle ten sam uśmiech. Ale jednocześnie bacznie obserwuje, słucha, czy oklaski widowni są równie gorące jak zwykle. A może słabiej biją brawo? Nie. Aplauz jest mocny, długotrwały. Zaraz, może dlatego tak ciepło go żegnają, bo już wkrótce nadejdzie ostateczny kres kariery? Ile tych meczów jeszcze mu pozostało? Czyżby lepiej wiedzieli niż on? Do licha, czyżby nie zdawał sobie sprawy, że to jego ostatni wielki sezon? A oni już wiedzą! Dlatego są tacy sympatyczni. Dlatego tak mocno biją brawo. I męczył się. Im więcej męczył się – tym szczelniejsza była maska, którą wkładał na twarz.

Jaki był naprawdę? Czy my, sprawozdawcy albo widzowie w istocie znamy do głębi zawodników, o których piszemy lub oglądamy w walce? Czy w jego szalonym czynie można dopatrzeć się tylko rozpaczliwego gestu?

Tak, zwykle miażdżył słabszych przeciwników. Ale jeśli byli w pełni sił? O, wtedy sytuacja była zupełnie inna! W jakimś momencie przyszła myśl, a potem decyzja. Nielatwa i ryzykowna. A może sam nie wiedział, co go podkusiło? W każdym człowieku tkwi coś takiego... Czy ja wiem, jak to nazwać? Rzucenie wyzwania... komuś albo czemuś. Dzisiaj nazywają to modnie: protestem. Ale wiąże się to z bardzo młodymi ludźmi, nastolatkami, a on był dobrze po trzydziestce.

W każdym razie obiektywnie podkreślamy, że ani zaraz po meczu ani nigdy potem nie tłumaczył się ze swego postępu, na nic nie powoływał się. Przybrał postawę szorstką, postanawiając sprawę rozegrać wyłącznie ze sobą.

Lecz najlepiej uczynię, jeśli wreszcie oddam głos komuś innemu.

Przekazuję relację naoczego świadka, mego bliskiego znajomego, o którym wspominałem. Zna się na tenisie dobrze, sam grywał, choć nigdy nie był wybitnym zawodnikiem. Akurat przebywał na delegacji służbowej za granicą i nie mógł nie wykorzystać okazji zobaczenia takiego meczu.

Paryski stadion jest ogromny, ale widać z każdego miejsca doskonale. Wysoki bardzo stromy amfiteatr. Kiedy siedzi się na samym szczycie, gracze wyglądają jak białe figurki, piłka jest punkcikiem. Uderzona rakieta wydaje charakterystyczny odgłos, ponieważ w czasie gry zwykle jest cicho, więc nawet na samym szczycie amfiteatru słyhać doskonale każde uderzenie.

Mój znajomy siedział nisko, jak opowiada, w czwartym rzędzie po prawej stronie, mniej więcej na wysokości półkortu.

– Była piękna pogoda, ogromny upał, ani chmurki na niebie, ani śladu wiatru. Kiedy Renard wyszedł na centralny kort wraz z Japończykiem Yodą, była godzina 16 minut 10. Poprzednie spotkanie, w którym Matsubasi pokonał w trzech setach Gelina, trwało krócej niż przypuszczano – niewiele ponad 50 minut! Japończycy wyrównali na 2:2, więc losy meczu dopiero teraz miały się rozstrzygnąć. Ostatecznie nie jest rzadkością, że w pucharowym spotkaniu przy stanie remisowym wychodzą do walki dwaj najlepsi zawodnicy obu drużyn. Takich spotkań kroniki Pucharu zanotowały bez liku.

– Jak grał ten Yoda? Jak wyglądał? Niech mi pan dokładnie opisz – prosiłem znajomego, przerywając mu już na samym początku opowieści.

– Niczym specjalnie się nie wyróżniał. Był taki jak większość Japończyków: nieduży, szczupły, ale umięśniony. Gładko przylizane czarne włosy, no i jeszcze jedno – nosił okulary. Wyglądał na więcej lat, niż miał w istocie, może właśnie przez te okulary. Na 25 albo nawet 26, a miał 22 lata. Grał białym Slazengerem. Spotkały się dwie zupełnie odmienne rakiety – mój rozmówca niechętny użył przenośni.

Zorientowałem się i wtrąciłem:

– Renard grał Max Playem, jak zawsze?

– Ano, tak. Ten Slazengerem, a ten Max Playem. Ale myślałem o ich odmiennym stylu gry. Renarda pan zna: nieustanna ofensywa. Szybkość i dynamika, ale wiele elementów finezji. Yoda za to reprezentował matematyczny tenis: niezwykła regularność i dokładność każdego uderzenia. Też był szybki, ale przy siatce pojawiał się raczej rzadko, kiedy Renard za bardzo go przydusił. Wtedy Japończyk natychmiast także wzmacniał grę. Biegł do siatki nawet po nie przygotowanej akcji, atakował byle jak. Chodziło mu o to, by wybić przeciwnika z rytmu gry. Udawało mu się to, ale nie za bardzo.

– Zaraz, niech pan mówi po kolei. A więc wyszli na kort...

– Wyszli. Była oczywiście burza braw dla jednego i drugiego. Yoda bardzo podobał się w poprzednim występie przeciwko Gelinowi, którego zwyciężył w czterech setach. W deblu także wypadł świetnie, choć Japończycy przegrali. Nie pokazał oczywiście tak mocnego serwisu i smeczku jak Renard – ale jego return!... Rzadko widzi się coś podobnego. Piłka szła jak po sznurku. Przeważnie mocno liftowany i bardzo głęboki cross, przechodzący nad samą siatką. Nie wiadomo, co z tym robić? Ten, co biegł po serwisie, musiał wyciągać się, wylapywać piłkę niemal wpadając głową w trybuny. Co można zrobić z takiego returnu? Zagrać też miękko. Nie ma mowy o uderzeniu z woleja. No, można jeszcze zagrać lobem – ale to też piekielnie trudne. Właśnie Yoda miał znakomity lob! Niespodziewanie, jakimś niedostrzegalnym skrętem rakiety, kierował piłkę w górę, przerzucając nad atakującymi przy siatce przeciwnikami. Piłka, mocno liftowana, padała niemal z reguły na końcową linię. I co wtedy? Trzeba się cofać, wylapywać i oddać albo też lobem, albo zaryzykować – i grać w środek.

– Dobrze, więc bili im brawo. Czy Renard był, jak zawsze spokojny?

– Tak. Był taki, jak zawsze. Nie można było dopatrzeć się czegoś niepokojącego. Tylko pod koniec pierwszego seta poprosił o zmianę liniowego. Nie popatrzył na niego ironicznie, jak zwykle to czynił, tylko po prostu przerwał grę i podszedł do sędziego głównego. A potem zapytał Japończyka, czy nie ma nic przeciwko jego prośbie. Końcowy akcent incydentu był więc typowo renardowski: przeprowadza to, co chce, jest stanowczy, ale wszystko ubiera w formę kurtuazyjnej uprzejmości.

– Kiedy zmienili liniowego, Japończyk prowadził?

– Tak 5: 4. Ale zaraz, niech pan pozwoli, że zacznę od początku. Rozgrzewali się bardzo długo. Chyba ponad 10 minut. Publiczność 3-krotnie zaczęła klaskać. Widownia pierwsza nie wytrzymała nerwowo. Japończyk chciał już zacząć, ale Renard poprosił go o przedłużenie treningu. Serwował i serwował, chyba ze 20 razy próbował pierwsze podanie. Już w czasie rozgrzewki przyspieszał grę, wchodził strasznie wcześnie na każdą piłkę Yody. Widać było, że przygotowuje plan batalii w najdrobniejszym szczególe. W końcu sędzia główny powiedział ze swojego stołka: „Mister Renard, first service! – i od razu zrobiło się cicho.

Zaczął od swojego podania i szybko przegrał gema. Zrobił dwa błędy serwisowe. Dwukrotnie pospieszył się z atakiem – raz wyrzucił piłkę na aut, a raz posłał w siatkę. Potem podawał Yoda i po długiej walce znowu wygrał gema. 2:0. Renard w ataku lecz nie trafia w kort, robi często auty. Bije mocno, wstrzeliwuje się dopiero. 3:0. Wreszcie Renard odnajduje uderzenie. Zaczyna cisnąć. Ach, to jego raptowne przejście z obrony do ataku! Cudownie biegał. Broniąc się przed płaskim zagranem, uderzał rakieta z całej siły i nagle pojawiał się przy siatce. Niby idzie na samą siatkę, ale już czuje, że pójdzie lob, więc cofa się do tyłu. Smeczkuje z półobrotu. Wyczuwa lot piłki przeciwnika. Tempo! Tempo! 1:3, 2:3, 3:3. Rozpo-

czyna się ofensywa. Yoda nareszcie zorientował się. Bije return krótko, podchodząc blisko linii serwisowej. Teraz on w ataku. Renard chwilami musi się bronić. Japończyk obejmuje prowadzenie 4: 3, a potem 5: 3. Lecz nie może powstrzymać naporu Renarda. Przegrywa gema: 5: 4 i 30: 30.

Wtedy właśnie sędzia liniowy pomylił się i skrzywdził swojego gracza. Renard poprosił o zmianę, ale widać zdenerwował się trochę, gdyż zaraz przyspieszył za bardzo po pierwszym, mocno podciętym serwisie Japończyka i wysłał piłkę na aut. Pierwszego seta wygrał Yoda 6: 4.

Było dużo braw, ludzie poprawiali się na swoich miejscach. Każdy widział, że Renard jeszcze nie jest całkowicie rozegrany. Japończyk za to był już mocno zgrzany i długo wycierał się rącznikami. Renard stał przy linii i rakieta koźlowała piłkę. Patrzył na Yodę, jakby chciał go ściągnąć wzrokiem i ustawić w tym miejscu, gdzie przyjmuje się serwisu. Ale Yoda nie widział tego. Stał tyłem, mały i niepozorny, zdjął okulary i uważnie położył na stoliku. Potem sięgnął znów po szklankę z herbatą. Wreszcie wrócił na kort.

Od pierwszych chwil huraganowe ataki Renarda. Wszystko mu wychodzi. Próbuje najtrudniejszych uderzeń. Mocny serwis, przeważnie pierwszy od razu jest celny. Płaska, dokładna odpowiedź Japończyka. Stara się wydłużyć grę i trzymać za wszelką cenę przeciwnika w głębi kortu. Ale Renard zagrywa wszystko niemal z półwoleja. Czeka najdłużej 2–3 wymiany i już jest przy siatce! Miękki, coraz bardziej rozluźniony, wpada w rytm gry. Co chwila zmienia szablon. Długa piłka w prawy róg i jeszcze raz długa w to samo miejsce. A potem raptowny cross w lewo po ostrej przekątnej. Yoda wyciąga krótkie nogi. Wyłapuje piłkę z bekhendu. Renard zakrył całą siatkę. Już czeka. Yoda odpowiada równie ostrym crossem. Renard już tam jest.

Łapie na rakieta i zabija bez litości. Yoda próbuje minąć go wysokim przerzutem, kilkakrotnie mu się to udało! Renard puszczał wtedy piłkę, nawet nie wyskakiwał do góry i nie cofał się. Wołał: good shot! – i podnosił rękę na znak uznania. Rozkładał siły. Rzucal je wtedy, kiedy był pewny swego. Zresztą, czy warto wracać się po „uciekającego” loba, kiedy prowadzi się w gemie 40: 0?

Drugiego seta Renard wygrał 6:2. Była ogromna, przeciągła burza braw.

Grają dalej, oczywiście bez przerwy. Renard zwiększa tempo. Nawołuje chłopców, by szybciej rzucali mu piłki. Stadion widzi, czuje, że passa trwa. Patrzyłem już na zegarek – w ile to minut Renard go wykończy. Dwa sety trwały, co prawda, godzinę i 16 minut, ale gemy teraz biegły coraz szybciej. Atak za atakiem. 2: 0 dla Renarda. Przy zmianie stron kortu Yoda rozmawiał przez minutę ze swym kapitanem. To też był taki mały, czarny Japończyk w okularach, o wyglądzie ofermi. Coś mu szeptał na ucho. Zaraz przekonaliśmy się, co to były za rady.

Yoda zaczyna grać teraz wprost na Renarda, kiedy ten jest przy siatce. Strzela w Renarda. Trochę zaskoczył go i wygrał gema. 2: 1. Kiedy przeciwnik już go wyczuł i dawał sobie radę z tymi drajwami, Japończyk zaczął ciąć piłkę – w lewo, w prawo, demonstrował jakieś sztuczki. Kilka razy nie udało mu się to, ale i Renard zrobił kilka błędów. Gra trochę poszarpała się.

– Renard do ataku! – woła ktoś z trybun. Okrzyk zagłuszają oklaski. Ważny moment, gdyż Japończyk nie kapituluje. Publiczność natychmiast wspiera swego gracza. Wie, że Renard lubi owacje „przy otwartej kurtynie”.

Przy stanie 2: 1 wygrywa natychmiast gema ze swego serwisu na sucho. Posyła dwa asy nie do odbicia, a potem dwa ataki zakończone potężnym wolejem. 3:1.

Następny gem trwał bardzo długo. Yoda znów stara się przejść sam do ofensywy, ale po przygotowanym i dobrym ataku. Wie pan, że Renard jest najsłabszy, kiedy zaatakuje się go długą i miękką piłką. Po lekkiej piłce nigdy zbyt dobrze nie mijał atakującego przy siatce przeciwnika. Odpowiada wtedy niezbyt celnie i potem męczy się w obronie, biegając z jednego rogu w drugi. Aż wreszcie znajdzie moment i wyrznie piłkę z całej mocy. Wtedy od razu

obraz gry zmienia się. W ułamku sekundy. Jak kot – już przy siatce. Wymiana wolejów... Jeden... drugi... trzeci... i brawa. Renard znalazł jakąś lukę, był jeszcze szybszy!

Po 15 minutach uciekł Japończykowi na 4: 1. Grali już godzinę i 49 minut. Dopiero końcówka trzeciego seta.

„Tak, załatwi go w dwie godziny i kwadrans, nie licząc 10-minutowej przerwy. Przecież ten Yoda już ledwo dyszy” – mówił mój sąsiad z trybuny.

Dwa ostatnie gemy trwały trochę krócej. Japończykowi ręka kilkakrotnie odmówiła posłuszeństwa. Dwa razy zrobił ogromne auty. Rozłożył ręce bezradnie i spojrzął na swego kapitana. Ten patrzył w zupełnie inną stronę, jakby dostrzegał kogoś dawno nie widzianego na trybunie. Uśmiechał się do siebie i poruszał wargami. Zachowywał się tak, jakby siedział na leżaku i odpoczywał po dobrym obiedzie. A tu, ten Yoda! Spocony, wymęczony, z coraz większą bezradnością patrzący to na Renarda, to na małego czarnego kapitana: 5: 1.

Grali już godzinę i 58 minut. Serwis Renarda. Za każdym razem Yoda odpowiada wysokim lobem. Chce zyskać trochę czasu i zwalnia tempo gry stale teraz przybierające na sile. Renard smeczkuje z głębi kortu, mocno i pewnie. Yoda broni pierwszego setbola, zupełnie zaskakującym skrótem. Znow setbol dla Renarda! Serwuje. Wszyscy oczekują teraz na loba ze strony Japończyka, a tu raptem znow skrót. Równowaga. Teraz Renard serwuje ze zdwojoną siłą. W samą linię. Trzeci setbol. Podrzuca piłkę do góry i potężny, szybki młynek rakietą. Trafia piłką dosłownie w przecięcie poprzecznej i podłużnej linii serwisowej, w sam rożek. Nie można wyobrazić sobie bardziej efektownego zakończenia seta. 4:6, 6:2, 6:1, po 2 godzinach i 7 minutach gry. Prawie koniec. Japończyk pochyla nisko głowę i lekkim truchem, w którym wyczuwa się ogromne zmęczenie, podbiega do stolika swego kapitana. Ten wolno wstaje, bierze sweter i okrywa nim ramiona gracza. Idzie pierwszy w stronę wyjścia, za nim wolno drepcze Yoda. Do szatni. Jak najszybciej do szatni! 10 minut przerwy. Wszyscy wstają z miejsc, poprawiają się, a potem składają ręce do oklasku, bo oto Japończyk już zaraz zniknie z kortu. Podziękowanie za wspaniałą walkę, która jest jeszcze nie skończona. Huragan braw przybiera na sile, kiedy Renard z narzuconym ręcznikiem kieruje swe kroki do wyjścia. Chłopcy zamiatają kort, poprawiają zamazane linie. Sędzia wolno złązi ze swego stołka. W megafonach słychać Aznavoura.

„10 minut przerwy. Nie, jeszcze dziewięć i pół” – mówi mój sąsiad patrząc na zegarek. „Japończyk jest już piekielnie zmęczony. Szkoda, że wszystko nie potrwa długo”.

„Ale przygotował się do tego meczu!” – wtrąca inny widz. (Jak to w przerwie, gada się).

„Najlepiej grał w końcówce drugiego seta. Nie, cały trzeci był znakomity. Renard zrobił tylko 11 błędów. Liczyłem. Wszystkie wtedy, kiedy albo spieszył się, albo otrzymywał miękka i podciętą piłkę”.

Aznavoura zmienia Dany Kay. Linie na korcie znow ciągłe i świeże. Ukazuje się sędzia główny. Na krzeselkach liniowych widać już także kilka sylwetek.

„Jeszcze 3 minuty” – mówił skrupulatny sąsiad, stale patrząc na zegarek. Widać było, że kocha tenis i uwielbia grę Renarda.

„Pograją najwyżej 20 minut” – powiedział. Ale widać było, że chciałby, abym zaprzeczył.

Nic nie powiedziałem, a on dalej: „Szkoda. Na grę Renarda mogę patrzeć godzinami. Kiedy gra tak, jak dziś”.

Najpierw pojedyncze oklaski, a potem długi, przeciągły szum. Wyszli.

Ludzie sadowią się z powrotem na swoich miejscach. Szmer z wolna cichnie, gdyż Renard już pochylał się nisko, a naprzeciw Japończyk wyprężył się przy pierwszym serwisie. Podcięte uderzenie na bekhend. Szybka odpowiedź. Japończyk znow tnie. Renard rozpoczyna atak krótkim forhendem i sunie długimi susami na połowę kortu. Zabił piłkę bekhend-wolejem w pięknym podskoku. Doskonale pamiętam! Tak zaczął się czwarty set.

Przy stanie 2: 0 dla Renarda, Japończyk, odbijając piłkę w lewym rogu, nagle potknął się i przewrócił. Wstawał z wolna. Umazał sobie całą rękę czerwoną nawierzchnią, a chyba i tro-

chę pokaleczył, gdyż kiedy znalazł się koło swego kapitana, ten wyjął z torby plaster i zaczął zalepiać mu łokieć. Renard na chwilę podbiegł do stolika, a kiedy przekonał się, że nie stało się nic poważniejszego, wrócił na kort i czekał.

Tymczasem Yoda pokazywał na rękę, był skrzywiony, gestykulował i ociągał się z podjęciem gry. Kiedy szedł z powrotem, widać było wyraźnie, że utyka na nogę. Zaraz podjął walkę na nowo. Zaserwował, ale niecelnie. Drugi serwis za to był dobry. Renard odbijał piłki mocno. Yoda tylko bronił się. Rychło było już 3: 0. Nagle w momencie, kiedy Marcel zagrał mocnego crossa, a potem by zmylić przeciwnika, powtórzył zagranie w to samo miejsce, gdzie akurat znajdował się Japończyk, Yoda nie odbił piłki. Ruszył i w połowie drogi zatrzymał się.

Lecz za chwilę znów skoncentrował się, przyczajony jak kot, ze wzrokiem utkwionym w piłce. Tak, teraz wyraźnie zwalniał grę, stosował półłoby – i znów Renard był przez chwilę w kłopotcie. Spróbował zagrać mocniej, ale wyrzucił piłkę na aut. W chwilę później jednak podbiegł bliżej siatki i mocnym wolejem zmusił Japończyka do kapitulacji. Serwuje Renard. Pierwsza piłka niedobra, druga – w korcie. Yoda odbija ją, a kiedy piłka znów wraca do niego, biegnie z wyraźnym trudem i z łatwej pozycji posyła piłkę w siatkę. Był źle ustawiony, wyraźnie tracił z każdą sekundą szybkość i miękkość ruchów. Zwykle zwinny (zwracała uwagę jego kapitalna praca nóg!), teraz był jakiś ociężały.

Renard przygotowuje atak, zagrywa o dwa metry od Yody. Ten przechyla ciało w tę stronę, czyni ruch, jakby chciał podbiec, i nagle znów zatrzymuje się. Piłka przelatuje tuż obok jego rakiety.

Coś się z nim dzieje, ale co? Renard po drugiej stronie siatki gotuje się do wznowienia gry, ale Japończyk nie jest przygotowany. Nawet nie podniósł ręki, aby przeprosić za zwłokę. Stoi w miejscu, schylił się i ujął za nogę. Potem położył raketę na ziemi, przykląkł. Masuje łydkę. Zrobiło się cicho na stadionie. Wie pan, czasami takie rzeczy stają się nagle. właśnie po przerwie, kiedy zdawałoby się, że zawodnik odpoczął. Musiał walczyć z bólem na pewno od dobrych kilku minut. To nie był przypadek, że wtedy wywrócił się przy tym strzale Renarda w lewy róg. To był już pierwszy znak...

Masował swoją szczupłą nogę chyba przeszło minutę. Jego kapitan nie drgnął. Już wcześniej wiedział, co się dzieje. Renard cierpliwie czekał. Znów kozłował piłkę i łapał z ręcznie. Potem przerwał. Patrzył na Yodę. Trudno było odczytać z jego twarzy, co myśli. Nic nie można było z niej odszyfrować. Zrobił tylko krótki niecierpliwy ruch rakieta, kiedy dobiegła minuta przerwy. Yoda wstał i kuśtykając skierował się do kapitana. Kiedy już dochodził, odwrócił się wreszcie do przeciwnika. Uśmiechnął się. Ruch ręką, że przeprasza – i zaraz drugi gest, że nie jest z nim źle i będą zaraz grać. Renard nie drgnął. Usiadł teraz na rakiecie. Wyciągnął nogi, opierał się lekko i rozglądał się po trybunach. Kapitan pochylił się nad Yodą. Masował mu nogę. Szmer na widowni, ludzie już nie wytrzymywali napięcia. Znów cicho. Słychać tylko to klepanie. – Podda się czy wróci na kort? Aha, wraca. Nawet mniej kuleje. Ten kapitan musiał na pewno znać się na masażu. Jak długo będzie mógł biegać? Takie kurcze nie mijają prędko.

Serwis Renarda. Yoda kuśtyk, kuśtyk – gdzie tam, za późno! Nieprzyjemny widok. Tak ładnie grali: ten wspaniale atakował, a ten mądrze bronił się. A teraz jatki... Kto to lubi?...

Renard serwuje znów, ale trafia w siatkę. Posyła drugi serwis – ten podcięty – biegnie do siatki, gdyż Yoda odbił wcale nieźle. Renard musi skakać w bok, przerzuca wolejem na drugą stronę. Japończyk kuśtyk, kuśtyk i loba!... Renard wraca, smeczkuje z podskoku – niecelnie. No ale nie był to łatwy smecz, taki z półobrotu, wie pan?... Znów pierwszy serwis nie udał mu się. Piłka w grze, strzał Renarda – autowy. Równowaga. Jakby coś nagle zacięło się w doskonale funkcjonującej maszynie, która przed chwilą jeszcze niszczyła, miażdżyła, przejeżdżała po Japończyku. Te przerwy może zdekoncentrowały Renarda, wytrąciły z równowagi, grał przecież jak w transie. A tu ten schodzi mu z kortu, wraca... Łapie się za nogę, klęka, masaż... Znów przerwa.

Piłka w grze. Renard gra teraz ostrożniej, pewnie chce znów wejść w uderzenie, nie ryzykuje ataku, jakby bał się grać po liniach. Kieruje piłkę o metr, półtora przed końcem kortu. Oglądamy długie wymiany. Japończyk doskonale ustawia się, nie potrzebuje zresztą wiele biegać. Dwa razy podciął, to były straszne lifty. Renard źle obliczył rotację i wyrzucił dwukrotnie piłkę na aut. Niespodziewanie gem dla Japończyka 3:1. Nie trzeba zmieniać stron kortu. Ale Yoda idzie na chwilę do kapitana. Krótki błyskawiczny masaż łydki. Kapitan zdjął marynarkę z emblematem, miętosi nogę, klepie – aż słychać w naszych rzędach. Zupełna cisza. Japończyk wraca, nadal kuleje. Grają. Renard nie atakuje. Parę razy, co prawda, próbował, ale powtarzały się wciąż błędy, przyznam niewielkie. Raz zagrał wzdłuż linii i wyrzucił najwyżej o dwa centymetry. Trudnego smecza mocno uderzył – sam nie wiem, czy piłka była dobra czy nie. Tylko mignęła, a sędzia krzyknął: „aut!”. Renard spojrział na niego, ale tym razem krótko i bez ironii. Jakby pohamował się. Grali miękko i wolno. Długie przerzuty. Bardzo ostrożne, jak wtedy kiedy spotka się dwóch tenisistów w takiej rozstrzygającej sytuacji jak oni, a „score” jest, powiedzmy, 6:5 dla jednego i – równowaga. Ale tu przecież on miał dwa sety wygrane zdecydowanie, prowadził 3: 1, a przeciwnik okulał! Po co więc taka ostrożność w grze? Co się za tym kryje? Jeszcze nikt nie denerwował się na trybunach. Była tylko jakaś niesamowita atmosfera, coś się działo, ale właściwie nikt nie umiał powiedzieć co. Przecież Yoda zaraz przewróci się albo znów złapie za nogę. Biega z trudem, ale biega. Dokładnie plasuje piłkę, ale też z ostrożnością.

Niech pan wyobrazi sobie, że potem było 3:2, a po kilku minutach 3: 3.

„Renard do ataku!” – rozległ się raptem pojedynczy głos widowni. To chyba był ten kibic, który pierwszy przeczuł, co nastąpi.

Renard usłuchał, zagrał raz mocniej, a potem strzelił – ale nie w róg, lecz w sam środek kortu. A tam stał ten mały, uparty Japończyk i odbijał wszystko, po swojemu, dokładnie wciąż na tę samą odległość z lekkim liftem, nie za wysoko ponad siatką.

4: 3 dla Yody. Zmieniają strony. Renard pije herbatę, kamienna twarz, nie wiadomo, co w nim siedzi. Kapitan masuje Yodę. Przeciwnicy nie patrzą na siebie. Gwar na trybunach. Renard stracił uderzenie, czy bawi się jak kot z myszką? Zaraz przejdzie do ofensywy. Okrucieństwo czy chwila litości?

Opowiadający umilkł na chwilę. Po pauzie powiedział:

– Dopiero później domyśliłem się, że on oszczędzał Japończyka, nie chciał miażdżyć takiego kulejącego...

A potem sam się rozkleił i już nie mógł. Niech pan słucha dalej. Grają.

Raptowny mocny serwis Japończyka. Takie bomby posyłał tylko w pierwszym secie. 15: 0. Teraz miękki serwis, szybka odpowiedź Renarda, który pędzi do siatki – ale Yoda strzela mu wprost w piersi. Nieprzyjemne zagranie. 30: 0. Znów wymiana piłek. Yoda biega z trudem, ale trochę płynnie, świetnie doszedł do crossa i odpowiedział takim samym. Renard wyciągnął się, ale już nie zdążył.

„Renard atakuj!”

Przecież atakuje, tylko za mało. Jakby stracił kontenans. Pędzi do siatki po akcji nie przygotowanej, 5: 3 dla Yody. Ogromne brawa dla kulejącego tenisisty. Renard po raz pierwszy denerwuje się. Zacisnął mocno dłoń na trzonku rakiety. Wyrzuca piłkę, uderza – ale Yoda odbił. Renard zagrywa stopwoleja, Yoda dobiegł. Spięcie przy siatce. Cała seria krótkich wolejów. Burza braw. Yoda wygrał punkt. Jak kot wyskoczył w prawo. Skrzywił się potem i klepnął po łydce, ale rażno stanął do przyjęcia następnej piłki. Tak, już wyraźnie mniej kulał.

Zupełnie niespodziewanie czwarty set zakończył się jego zwycięstwem 6:9. Wygrał sześć gemów z rzędu!

„Renard do ataku!” Znów odezwał się ten kibic, ale zabrzmiało to ironicznie. Zresztą zaraz ktoś wrzasnął co innego:

„Renard broń się! Graj na przerzut!” Szmer wesołości przeszedł przez tę część trybun. Zraz jednak ludzie zaczęli psykać i znów się uciszyło.

Do rozpoczęcia piątego seta pierwszy był gotów Japończyk. Kapitan już go nie masował. Noga była w porządku. Kurcze jak szybko przyszły, tak szybko minęły. Tyle, że całkowicie zmienił się obraz gry. Renard próbował wszystkiego. Atakował, lobował, bił mocno albo podcinał serwisy, próbował wzmocnić uderzenie, to znów podejmował grę na przerzut. Błędy, całe serie błędów, prostych, denerwujących! A żółty malec grał jak maszyna. Nie, nie jestem w stanie opowiedzieć panu, jak to wszystko kończyło się. Przykry widok. Przy stanie 4: 0 dla Yody Renard zdobył gema z kilku rozpaczliwych wypadów do siatki. Ale to już była gra na siłę, nie było w niej żadnej dokładności ani finezji. Tylko rozpacz.

Japończyk odpowiedział zaraz wielką ofensywą. Zaczął stosować teraz jakiś zupełnie inny serwis. Szalenie silny, ze stałą zmianą rotacji. Piłka odbijała się to w lewą to w prawą stronę. Przeważnie kierował ją jednak na bekhend. A potem on szedł do siatki. Przy stanie 4: 1 dla Yody gra toczyła się w oszałamiającym tempie. Ludzie gwizdali, padały najbardziej złośliwe okrzyki. Zapewne większa część widowni chciała jeszcze walki, psykała, usiłowała uciszyć rozżłoszczonych kibiców. Wiemy, jak to jest na stadionie. Bardzo często mniejszość jest w przewadze. Wystarczy, że znajdzie się setka awanturników – zagłusza resztę. Wybuchło kilka awantur, kilka osób pobiło się na trybunie. A tam w dole na czerwonym placu uwijały się dwie białe sylwetki; wysoki, zgrabny Francuz – i mały Japończyk. Cóż, przez całego piątego seta prawie w każdej wymianie o jeden raz więcej Yoda przerzucał piłkę. A o co innego chodzi w tenisie?

Przy stanie 5: 1 Renard po raz ostatni zerwał się do walki. Wygrał nawet gema, w następnym prowadził 30:0. Teraz słyhać było ogromne brawa. Jeszcze jest nadzieja. „Trzymaj się Renard!” Ale już było za późno. Nastąpiła nagła seria prostych błędów. Przegrał za pierwszym meczbolem. Kiedy zaczynał serwować, miał taką minę, jakby w ogóle chciał zejść z kortu. Pohamował się. Wyszedł mu serwis – biegnie do siatki, Yoda mija go płasko. Renard skacze. Wyłapał. Ale Japończyk zagarnął piłkę rakieta i wyrznął z całej siły wprost w linię! Zwiesił głowę i truchtem do siatki. Zawisła jego ręka na chwilę w powietrzu. Renard był jeszcze w wyskoku. Opadł na ziemię. Teraz on się potknął i przejechał kolanem po czerwonej ziemi kortu. Wyglądało to niezmiernie dramatycznie. Ten z wyciągniętą ręką, a tamten kłęczący – pokonany.

Wyprostował się szybko i spokojnym krokiem szedł do siatki. Oo... teraz widać było, że chyba myślał przez cały piąty set o tej właśnie chwili, jak trzeba będzie iść i wyciągnąć dłoń do Japończyka!... Wszystko było już obliczone wcześniej. Lekko uśmiechnął się... On miał już wyuczony ten uśmiech. Zawsze miał taką twarz, kiedy kończył zwycięsko partie. Więc teraz chciał tak samo.

Najpierw brawa mieszały się z okrzykami. Potem wibrująca fala gwizdów. A jeszcze później już tylko brawa – dla Yody, kiedy schodził pierwszy z kortu. Nie za dużo, bo jednak większość widzów była strasznie zmartwiona. 3: 2 dla Japonii.

Było zupełnie cicho, kiedy Renard z pękiem rakiet i ze swoim biało-granatowym zdobnym w czerwony szlaczek ręcznikiem na szyi opuszczał kort. Cisza odprowadziła go niemal do samego wyjścia. Szedł wyprostowany. Gdy nagle zerwało się trochę oklasków, tylko trochę, jakby było brawo piętnaście, najwyżej dwadzieścia osób. Skape brawa, a w tle pojedynczy okrzyk: „Grand seigneur! Wielki pan!”

Odwrócił głowę i spojrzał w tamtą stronę. Lecz w tym momencie ktoś inny podbiegł do samej bandy oddzielającej kort od widowni i wrzasnął: „Idiot!”

Renard uśmiechnął się teraz.

Okrzyk był tak głośny i wyraźny, że uciał gwar trybun. Pokonany tenisista szedł dalej i dotarł do wyjścia w zupełnej ciszy.

Grali trzy godziny i siedem minut. Wynik 6:4, 2:6, 1:6, 6: 3, 6: 1 dla Yody.

Jakoś przecisnąłem się do domku klubowego i po schodach na piętro, tam, gdzie szatnie... Nawet byłem tam wcześniej. Jeden z pierwszych. Porządkowy grzecznie zawrócił mnie z powrotem, kiedy dotarłem do zamkniętych drzwi szatni. Panowała tam absolutna cisza. Pewnie usiadł na krześle i tak siedział.

Dopiero w chwilę później zadudniło po schodach. To biegł ten dziennikarz do Renarda. I zaraz potem zaczęło się!...

Proszę o klucz

Wszedł i rozglądał się po sali. Widziałem go z tyłu i domyśliłem się, że to on tylko po rudych włosach. Rude włosy, przechodzące w kolor marchewki pamiętałem najlepiej. Oczywiście, nie kolor czupryny był wtedy najważniejszy – ale gra jej posiadacza. Mój Boże, ile to lat miałem wtedy?! Dziewięć, może dziesięć. Brat trącił mnie łokciem i powiedział: – Uważaj, zaraz wyjdą i patrz tylko na tego rudego. Zobaczysz, jak się naprawdę gra w piłkę. On ci pokaże. I zobaczyłem tę czerwoną głowę w długim szeregu zawodników, gdy stali ramie przy ramieniu naprzeciw austriackiej drużyny. Wtedy był jeszcze taki zwyczaj, że drużyny podczas prezentacji stawały nie obok siebie ale naprzeciw. Był chyba najniższy, najszczuplejszy, zupełnie niepozorny, zapamiętałem krzywe nogi. Wryła się w pamięć krwista czupryna, gęsta, opadająca kosmykami na czoło. Teraz stał w niedużej sali restauracyjnej i szukał, gorączkowo szukał kogoś, a ja spokojnie przypatrywałem się temu, bo wiedziałem, że szuka mnie.

Kiedy zobaczyłem go w restauracji hotelu Savoy położonego przy wąskiej ulicy opodal ruchliwego brzydkiego centrum – wydał mi się już mocno stary. Ludzie na starość często kurczą się i chyba starsi z nas znają to nieprzyjemne uczucie zaskakującego smętku, kiedy po latach niewidzenia raptem spotykamy kogoś, kto przed dwudziestu, czy dwudziestu pięciu laty był w pełni sił i nagle dostrzegamy, że stoi przed nami starzec. Ten sam i nie ten sam człowiek. Ten sam – tyle że drobniejszy i jeszcze niższy niż kiedyś.

Podniosłem rękę i dałem znak, że ten którego szuka, to jestem ja. Dojrzał. Nosił okulary. Potracił stolik zagrządzający przejście i szedł jakoś niezręcznie i nie uśmiechając się, ale widać było ustępujące napięcie. Szukał i odnalazł mnie. Miał uczucie ulgi na twarzy, jakby dokonał rzeczy trudnej. Bądź co bądź musiał przebyć sporo mil, z Edynburga do Glasgow to jest spory kawałek drogi. Przechodząc obok baru zatrzymał się na chwilę i przywitał z mężczyzną stojącym za kontuarem. Wreszcie podszedł.

– Przepraszam za spóźnienie. Dzień dobry panu. Przez piętnaście minut szukałem wolnego miejsca, żeby zaparkować.

To już nie było nasze polskie – „jakże się cieszę, że pana widzę!, kopę lat!”, albo – „miło mi pana poznać” lub coś w tym rodzaju, co zawsze sobie mówimy przez grzeczność, przez naszą słowiańską wylewność. Ściskamy sobie ręce, czasem ucałujemy się z dubeltówki. On rozpoczął po prostu od przeproszenia, że zabrał mi te kilka minut i rzeczowo poinformował, że stracił czas na ustawienie auta. Mówił czystą polszczyzną, tyle że wolno. Wyczułem natychmiast, że starannie dobiera słowa.

Usiedliśmy. Zapytał, czy coś zjem i dodał, że mnie zaprasza. Kiedy zacząłem certować się, zawołał kelnera i rzucił kilka krótkich, niewyraźnych zdań ze specyficzną domieszką szkockiego akcentu, który i tak wystarczająco trudną do zrozumienia angielską mowę czyni jeszcze bardziej obcą dla przybysza z kontynentu. Kelner odpowiedział pytaniem na pytanie i tyle zrozumiałem, że mój towarzysz zamówił coś do zjedzenia dla nas obu. Odwrócił się do mnie.

– Mógł pan nie podnieść ręki – powiedział – i wtedy też bym pana poznał. Widziałem pana trzy lata temu w Londynie na stadionie Cristal Palace. Siedziałem niedaleko razem z moim przyjacielem, a on znał pana z poprzednich wizyt w Anglii. On zawsze przychodzi na zawo-

dy, jak przyjeżdżają nasze drużyny z kraju. A i ja słucham pana czasem. Warszawę łapie się tutaj nie za dobrze, ale na lepszym aparacie słychać.

– Szkoda, że już wtedy nie miałem przyjemności pana poznać – odpowiedziałem ł złapałem się na tym, że jestem trochę skrępowany. Nie dlatego że był dużo starszy. Jeszcze nie umiałem pokonać dystansu, jaki nas dzielił za dawnych lat. Był wtedy kimś bardzo sławnym, a ja dla niego kimś najzupełniej anonimowym jako jeden z wielotysięcznej rzeszy kibiców, jeszcze jeden chłopiec, który po meczu cisnął się po autograf. – Panie Wykrot, niech pan i mnie podpisze.

– Ale w końcu poznaliśmy się – przerwał. Wacek Marczewski telefonował do mnie wczoraj późnym wieczorem. Powiedział, że pan znów przyjechał, chce mnie poznać i porozmawiać. A kiedy dowiedział się, że wybieram się także do Glasgow na wasz mecz, podał hotel, w którym pan mieszka i godzinę, o której pan będzie na mnie czekał. Miałem rano dużo pracy. Skończyłem, wsiadłem w auto i jestem. Słyszałem, że serdecznie was przywitani na lotnisku.

– Jak zawsze – odpowiedziałem.

Przylecieliśmy z czterogodzinnym opóźnieniem z powodu mgły. Mimo późnej pory, samolot zamiast o godzinie 19.35 przyleciał dopiero blisko północy, czekało na nas kilkadziesiąt osób. Trzech Szkotów z Brytyjskiej Federacji, pozostali sami Polacy. Prezes miejscowego kółka polonijnego wygłosił serdeczne przemówienie, a małe dziewczynki ubrane po krakowsku wręczyły nam kwiaty. – Jak masz na imię? – zapytałem ośmioletnią blondyneczkę. Spojrzała zaspanymi oczami, pewnie poukładali dzieciaki w pobliskiej poczekalni na lotnisku i spały w najlepsze – no, jak masz na imię?

– I am Mery – odpowiedziała. – Ona wszystko rozumie, tylko nie mówi po polsku – wyjaśnił prezes. – To moja bratanica. Ojciec urodził się w Nowym Targu, a matka jest z Glasgow.

– Zawsze jest bardzo miło spotkać się z wami – powtórzyłem. Pan Wykrot nic nie odpowiedział. Jedliśmy przez chwilę w milczeniu.

– No więc siedzi pan w sporcie i czasem jeździ po świecie z zawodnikami – rozpoczął.

– Siedzę w sporcie od dziecka. Pamiętam chyba wszystkie pana mecze. Przede wszystkim w Warszawie. Na Legii – z Polonią, Cracovią, z Admirą i francuskim Racingiem. Nie mówię już o międzypaństwowych spotkaniach.

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Macie teraz lepszych piłkarzy. Inny futbol niż za moich czasów. Wszystko dużo szybsze, ostrzejsze, bardziej wyrachowane. Ale i nasza piłka jest inna. Ma sukcesy. Myśmy takich nie mieli.

– O, było wiele świetnych meczów przed wojną. Z Jugosławią, z Irlandią, z Węgrami.

– Zaczynaliśmy dobrze grać, ale wojna przerwała. Ja wtedy z wolna już wycofywałem się. Grywałem tylko w lidze.

– Ale jak! – wtrąciłem.

– Grałem ostro. Mówili, że dość często fauluję, że bywam złośliwy w grze.

Powiedziałem mu, że miał świetną technikę. Nieraz przedryblował pięciu przeciwników jednego po drugim. – A pańskie strzały głową! Takie sztuczki rzadko się teraz widuje.

Moje skrępowanie z wolna nikło. Ożywiłem się. Naprzeciw siedział Alfred Wykrot, jeden z moich sportowych idoli z lat chłopięcych. Kusociński! Jędrzejowska! Marusarz! Hebda i on. Trudno było ustawić ich w kolejności. Aha, jeszcze nasz przedwojenny bramkarz reprezentacyjny.

– Pamięta pan pana Spiridiona?...

– Dostałem od niego list na Boże Narodzenie – odpowiedział spokojnie. – Mieszka teraz na Śląsku. Ma emeryturę i chowa wnuki. Same dziewczynki. Miałem dobrą technikę – chyba się także trochę ożywił. – Widzi pan, ja czasem faulowałem, jak rozzłościło mnie, że raptem ktoś okazał się lepszy. Mam piłkę przy nodze, to kiwnę go, lubiłem się kiwać. To było dobre przejechać z piłką po boisku 30 albo 40 metrów. Czasem robiłem rajdy od środka pod bramkę. Zdarzyło się, że ktoś mi ją sprzątnął. Poczekaj, zaraz ci pokażę! Kiwam, kiwam i znów mi

zabrał. Byłem wtedy zły. Nie umiałem się powstrzymać. Miałem swoje sposoby. Czasem trochę łokciem, albo nieznacznie pociągnę za koszulkę. Albo lekko trącić takiego czubkiem buta w uniesioną do tyłu nogę. Zaraz leżał. Sędziowie dawali się nabierać, ale z czasem poznali się na tym. Najsurowszy był dla mnie świetny sędzia, chyba z Krakowa, taki gruby, nie pamiętam już, jak on się nazywał. Zaraz.

– Matulewicz?

– Nie.

– Schoengarten?

– Tak, Schoengarten. Miał niemieckie nazwisko, ale Polak. Raz usunął mnie z boiska.

– Pamięta pan gola, którego pan strzelił Admirze na dwie minuty przed końcem? Wygraliście wtedy 4:3. To był „falszerz”, piłka szła na aut, a wpadła między poprzeczką a słupkiem.

– To nie było z Admirą. To było z Jugosławią.

– Nie, panie Alfredzie. To było na pewno z Admirą. Wynieśli pana wtedy na rękach. Przeskoczyłem przez balustradę oddzielającą najtańsze miejsca od boiska i biegliśmy wraz z Tadiem i Wiesiem w kierunku graczy idących do wyjścia. Raptem wyrósł porządkowy. Rozkładał ręce, aby nas zagarnąć. Uskoczyliśmy w bok. Zrobił parę kroków za nami, ale zatrzymał się, bo przez balustradę przeskakiwali następni. Biegłem po trawie boiska. Była śliska i miękka. Potykałem się co chwila. To takie jest nierówne? Z trybun wydawało się delikatnym miękkim dywanem, a był to teren grząski i ciężki jak kartoflisko. Wmieszałem się między opuszczających boisko zawodników. Otaczali ich kibice. Z trudem docisnąłem się do niego i szedłem dumny obok, jakbym to ja strzelił czwartego gola Admirze. Wy-krot! Wy-krot! – wołano na trybunach. Wydawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie. Niby niechcący dotknąłem dłonią jego ręki. Potem udałem, że potykam się i oparłem lekko dłoń na plecach piłkarza. Koszulka była mokra, jakby ktoś ją przed chwilą wyjął z wody. – Wy-krot! Wy-krot! Tak dotarłem do wejścia prowadzącego w głąb czeluści budynku stadionu. Tu zwycięską drużynę zatrzymał prezes klubu w asyście kilku działaczy. Całował brudne twarze zawodników i klepał ich po ramieniu. Zapamiętałem, że Alfred Wykrot powiedział do prezesa: – Dziękuję, też się cieszę. Ale jak panie prezesie będzie w końcu z tym mieszkaniem.

– To było na pewno z Admirą – powiedziałem. Kelner podał kawę.

– Napije się pan whisky? – zapytał.

– Napiję się, bardzo chętnie.

– Napijemy się Golden Bells. To jedna z lepszych szkockich whisky, jakie mają. We Francji ani Holandii nie dostanie pan Golden Bells, no chyba że w bardzo drogim lokalu.

Siedzieliśmy w głębi ciemnej restauracji hotelowej. Sala była niewielka o ścianach wyłożonych brązowym drzewem. Nad stołami wisiały stare lampy w mosiężnych oprawach. Na twarzach siedzących ludzi zapalał się to gasł odbłask ognia tańczącego w kominku. Po lewej ręce nad rzeźbioną boazerią biegł kolorowy pas kraciastej materii. Same kraty, a każda inna. Ciemna zieleń z ciemnym granatem, żółć z czerwienią, czerwień z granatem. Krzyżowały się jaskrawe kolory w różnych odcieniach, kontrastowały, ale cudownie harmonizowały ze sobą. Pod tą dekoracją wisiały małe tabliczki z nazwami słynnych szkockich klanów. W restauracji było trochę ludzi. przy kontuarze siedział mężczyzna w płaszczu i rozmawiał z barmanem. Naprzeciw naszego stolika znajdowało się okno, przez które widać było ulicę. Zaraz za szybą stała latarnia i spod jej klosza padała na trotuar smuga żółtego światła.

Widać w niej było krople padającego deszczu. Witryny i neony sklepowe majaczyły niewyraźnie po drugiej stronie ulicy. Mgła wypełniająca miasto od rana, pod wieczór zgęstniała jeszcze bardziej. Było chłodno i wilgotno nawet we wnętrzu restauracji. Nie chciało się wierzyć, że to lato. Połowa sierpnia, to przecież pełnia lata. Takie wieczory, jak ten zapowiadający jesień, zdarzają się w Polsce dużo później, w połowie września, czasem dopiero w październiku.

– Znów macie mocniejszą lekką atletykę – zmienił temat Wykrot. Wasi... nasi... – poprawił – są teraz lepsi w płótkach niż Anglicy. No i tyczka.

– To będzie ciężki mecz – powiedziałem. – Z Anglikami są zawsze ciężkie mecze. Umieją biegać. Są twardzi. Biegnie jakiś nieznany zawodnik i nagle wygrywa. Czasem nawet pobije rekord. Szkoda że tak zimno i mokro. To odbije się na wynikach.

– Nie poprawi się do jutra. W lipcu było trochę słońca.

Będzie znowu, ale dopiero we wrześniu. Takie tu są pogody. I dodał, że przyjdzie na stadion wcześniej, aby znaleźć dobre miejsce. – Piszą w tutejszej prasie, że jesteście faworytami – poinformował. – Zawsze tak robią. Asekurują się. Trochę ich znam. Nie od dziś – dodał i urwał.

– Długo pan tu siedzi, mógł pan ich poznać.

– Czy ich można poznać!? – Wykrot skrzywił się. – A czy oni nas znają, wiedzą jacy naprawdę jesteśmy?

Uderzyło mnie, że znów powiedział o nas „my”. Z początku tak nie mówił. Słuchałem dalej.

– Trzeba by się tu urodzić, żyć z nimi od dziecka w tej mgle, wśród tego unormowanego porządku. Poznają ich od trzydziestu lat. Dłużej. W czterdziestym drugim roku zetknąłem się z nimi po raz pierwszy na co dzień. W Afryce. Umieją być koleżeńscy. Jak jest źle i jadą na jednym wózku, w zasadzie można na nich liczyć. Wtedy były takie okoliczności, że każdy chciał mieć kogoś, na kogo mógł liczyć. Leżałem na sąsiednim łóżku przez siedem miesięcy obok jednego Anglika. To było już w Tunisie, jak wypędziliśmy z Libii Rommla. Temu Anglikowi obcięli nogę. Mnie to czekało. „Nie martw się Alf, będziemy na remis. Na razie prowadzisz 1: 0. Obetną ci także i będzie remis”. To też był piłkarz. Z trzecioligowego klubu, Walińczyk. Ale mi nie obcięli. Trochę kuleję, pewnie zauważył pan?

– Nie, nie zauważyłem. Co się z nim stało?

– Pochowali go w tydzień po moim wyjściu ze szpitala. Męczył się. Najwięcej go złościło, że umiera bez sensu, przez własną głupotę. „Trzeba było siedzieć, jeść konserwy i czekać aż oni przyjdą, a nie pchać się pierwszy” – powtarzał. Poszedł na ochotnika rozbierać miny. „Mogłem się nie zgłosić, Alf! Byłem głupi.” Ciągłe powracał do tego. No i leży sobie teraz w Tunisie. Leży tam sześć czy pięć tysięcy Francuzów, Anglików i trochę naszych. Zrobili cmentarz na wzgórzu nad samym morzem i tam ich kładli. Leżą obrócenii twarzami w stronę Europy. Byłem tam osiem lat temu. Cmentarz zarósł krzewami i trawą. Zupełnie inaczej niż na sąsiednim amerykańskim. Trawa tam obcięta jak na dobrze utrzymanym boisku i jednako- we białe krzyże. A tam, gdzie on leży, jak w zapuszczonym ogrodzie. Nawet dosyć ładnie. Chodzi się i człowiek nie czuje, że to cmentarz.

Dopiero wtedy dowiedziałem się, że Alfred Wykrot omal nie stracił nogi pod Tobrukiem. O tym, że był tam, dotarła do kraju wiadomość zaraz po wojnie: Wykrot służył w Brygadzie Karpackiej, otrzymał Virtuti, a potem nasza prasa pisała, że osiedlił się w Szkocji i jest trenerem drugoligowego klubu. Pisali i przestali pisać. Trenerem już nie jest. Miał na pewno dobrze ponad sześćdziesiąt lat.

– Co pan porabia?

– Pracuję w pralni. Mam ją do spółki z jednym Szkotem. Nie narzekam.

Przeprosiłem go na chwilę. – Powinienem mieć za kilkanaście minut telefon z Warszawy. Muszę powiedzieć w recepcji, że tu jestem.

– Proszę, niech pan idzie. Ja mam czas.

Przeszedłem bocznym wejściem po wąskich schodach na kręty korytarz, potem znów trzeba było zejść trochę w dół i znalazłem się w równie ciemnym jak restauracja hallu. W recepcji siedział portier. Na mój widok szybko wstał i uśmiechnął się uprzejmie. – Pan chce klucz? – I sięgnął szybko do tablicy.

– Nie, nie idę na górę. O siódmej trzydzieści będzie mnie wołać Warszawa. Przeliterowałem swoje nazwisko i napisałem na kartce, dodałem: „Warsaw” i powiedziałem, że siedzę w większej sali niedaleko okna.

– Niech pan będzie spokojny, jak tylko będzie Warszawa, zaraz poprosimy.

Kiedy wróciłem, przy stoliku nie było Wykrota. Stał przy barze i rozmawiał z wysokim, tęgim mężczyzną obsługującym gości, z którym przywitał się, kiedy przyszedł. Usiadłem z powrotem i czekałem. Rozmawiali z ożywieniem i chyba dobrze się znali, bo zachowywali się poufale, a Wykrot nawet parę razy się uśmiechnął, co było trochę zaskakujące, gdyż w naszej bądź co bądź przyjaznej rozmowie był opanowany i zachowywał pewien dystans. Wreszcie barman klepnął go po ramieniu i kiwnął głową w moją stronę, co pewnie oznaczało, że nie wypada, aby zostawiał gościa tak długo przy stoliku. Jeszcze coś do siebie powiedzieli i Wykrot wrócił do mnie.

– Miał pan już Warszawę?

– Jeszcze nie, ale zawołają mnie. Pewnie się trochę spóźni. To nie będzie długo trwało.

– Ja mam czas – powtórzył.

– Muszę tylko przekazać ostateczny skład drużyn, podać jak się wszyscy czują i że Kwiatkowski pobiegnie jednak na dwóch dystansach. Jaka jest pogoda no i, że będzie dużo Polaków na trybunach.

Nic nie odpowiedział. Po chwili spytał: – To pan nie robi tylko piłki nożnej?

– Robię piłkę, ale lubię także reportaże z lekkiej atletyki, boksu, nart.

– Dla telewizji czy dla radia?

– Przeważnie dla radia.

– Woli pan?

– To nie o to chodzi. To jest osobna sprawa – znów się ożywiłem. – Jedno i drugie opiera się w zasadzie na tym samym, na mówieniu do mikrofonu, z głowy, nie z kartki, jest to jakiś rodzaj improwizacji. Różnice? Są oczywiście różnice. Chyba to jest tak... sprawozdania dla radia i telewizji tym się różnią, czym różni się na przykład pisanie książki od pisania scenariusza filmowego. Pisze pan książkę, to musi pan napisać wszystko – nastrój, jakieś myśli no i nakreślić obraz. A w telewizji wszystko widać, trzeba tylko obraz czymś uzupełnić.

– Skomentować – podrzucił. – W TV reporter jest jednym z kółek, a w radio decyduje o wszystkim, chyba to jest tak.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy pojawił się kelner i postawił na stole dwie szklaneczki z jakimś płynem. Polish Vodka – uśmiechnął się i odszedł.

– Panie Alfredzie, nie będziemy mieszać – zaoponowałem trochę zaskoczony, tym bardziej że stały jeszcze nasze nie dopite whisky.

– Musimy trochę mieszać – odpowiedział. – To nie ja teraz stawiam, to on. I wskazał głową na barmana. – Powiedziałem mu kim pan jest. Że znamy się i nie znamy i trochę gadamy o dawnych czasach.

– A kim on jest?

– Także stary piłkarz. I stary pijak. Tu co drugi mężczyzna gra albo grywał w piłkę. A co trzeci za bardzo kocha whisky. Wylądował za tą ladą. A kiedyś grał i to dużo lepiej niż ja. Grał nawet w reprezentacji.

– Jak się nazywa?

– Powinien pan pamiętać to nazwisko. McKinley. Dwadzieścia siedem razy grał w reprezentacji Wielkiej Brytanii. Na prawym...

– McKinley! – zawołałem. – Ten McKinley, który był królem strzelców waszej ligi przed dziesięciu czy dziesięciu laty.

– Nie naszej ale angielskiej. A czy to było dziesięć lat temu, to nie pamiętam. Dawno.

– McKinley, McKinley! Zaraz. To przecież on grał wtedy w Warszawie.

– Co to znaczy wtedy?

Wykrot zaczął coś mówić do mnie, ale nie bardzo słuchałem. Sięgnąłem po okulary i patrzyłem bystro w głąb mrocznej restauracji. Barman stał akurat tyłem i długo wycierał szklankę. Postawił ją z powrotem na półkę i wycierał następną. Potem sięgnął po jedną z butelek, podniósł i patrzył pod światło ile pozostało płynu. Wyglądało to tak, jakby zastanawiał się: nalać sobie czy nie? Ale odstawił ją z powrotem pomiędzy rząd butelek o najrozmaitszych nalepkach tworzących drugą kolorową plamę w ciemnobrązowym wnętrzu, oprócz tego długiego pasa kraciatej materii, który biegł wzdłuż ściany tuż nad naszymi głowami. Odwrócił się i zobaczyłem jego twarz. On, czy nie on? To było dziesięć lat temu. Tamten był wysoki i barczysty, ten tak samo. Tamten McKinley był blondynem, tego włosy były także jasne. Dziesięć lat. Wtedy miał około trzydziestki, może więcej. Barman wyglądał na blisko pięćdziesiątkę. To samo nazwisko. Dwadzieścia siedem razy w reprezentacji. Ten sam, do licha! – Co mu się pan tak przygląda?

– Proszę pana, ten człowiek brał udział w najdziwniejszym meczu, jaki widziałem w życiu. Czy zna pan tę historię?

– Zależy jaką. Ja jego znam, a on miał dużo różnych historii.

– Tamten mecz był zupełnie wyjątkowy i on odegrał wyjątkową rolę. Robiłem wtedy transmisję. Nie uwierzy pan, co ja wtedy miałem! Nie zapomnę tego dnia.

Wykrot patrzył na mnie spokojnie. Mówiłem trochę bełładnie, ale jednocześnie miałem uczucie, że ten człowiek, chociaż mnie nie zna, jest mi naprawdę życzliwy. – Niech pan mówi – powiedział Wykrot. – Jak szedłem tu, wiedziałem z góry, że sobie dobrze pogadamy.

W dole zielenił się prostokąt boiska. Jak kolorowe kropki przesuwały się po nim sylwetki graczy. Siedziałem za mikrofonem w kabinie. Patrzyłem na piłkę, czasami spoglądałem w stojący na odległość wyciągniętej ręki monitor. W zależności od tego na co kierowałem wzrok, zmieniały się proporcje szczegółów. Oto ogromna, łaciata kula toczy się po trawie. Obok nogi w kolorowych getrach. W słuchawkach słyszę odgłos kopnięć, ciężkie oddechy zawodników, czasem zduszone okrzyki. Dobrze tego dnia pracowały kamery i pomysłowo porozstawiali efektowe mikrofony – cztery tuż przy liniach autowych a dwa za bramkami. Mecz dobiegał końca. Pozostało jeszcze niewiele więcej niż minuta. Wtorek rzuca się w rozpaczliwy pościg za uciekającym Anglikiem. Tak, to było wtedy. W słuchawkach usłyszałem przenikliwy gwizdek sędziego a potem jakieś bełładne głosy. Zatrzymali piłkę. Czyjeś ręce ją podniosły i niosły, niosły aż położyły na białym punkcie. Gracz poprawił ją, podniósł i ułożył z powrotem. Klepnął piłkę pieszczotliwie. Usłyszałem w słuchawkach, jak powiedział po angielsku: – leż spokojnie i czekaj. Zaraz kopnę cię tak, jak nikt nigdy cię nie kopnął!

Przeraźliwy gwizd widowni wypełniał uszy i każdy zakamarek stadionu. Piłka leżała nieruchomo. Potężny gwizd. Wychyłam się z kabiny, rozglądam. Twarze widzów, usta rozdarte w okrzyku. Kalosz! Wyrzucić drania! Cofam się w głąb kabiny, siadam. Co mówić? Informuję, że będzie karny. Patrzę w monitor. Słysząc odgłos nadbiegających kroków, a potem suche, mocne kopnięcie.

– Niech pan sobie wyobrazi, panie Alfredzie, że jego strzał nasz bramkarz obronił.

– To się czasem zdarza – powiedział Wykrot. – Kiedyś strzeliłem Jugosłowianinowi i także obronił. A strzeliłem raczej złośliwie mocno i niemal w górny róg. Innym razem na meczu z Ruchem przestrzeliłem. Ale tamta obrona karnego McKinleya to musiało być rzeczywiście coś wyjątkowego. Nikt nigdy przedtem jego karnego nie obronił. Strasznie strzelał. Może było jeszcze dwóch nie gorszych, znaczy równych mu strzelców: Hiszpan Munos, ale to jeszcze przed wojną, no i Gruby Henio, pamięta pan pewnie Henia, naszego reprezentacyjnego beka, teraz mówi się obrońcę. W ostatnich latach świetny był w karnych Anglik Cane, Tom Cane. Ale to już nie moje czasy. Oglądałem go tylko z trybun. Grywał przez wiele lat w tej samej drużynie, co on – wskazał na barmana. – Niech pan mówi dalej.

Był ciepły wiosenny wieczór, kiedy zajechałem fiatem przed swój dom. Starałem się spokojnie zamknąć drzwi auta, ale dopiero za trzecim razem trafiłem kluczykiem w zamek. Sze-

dłem chodnikiem między jasnozielonymi trawnikami. Dom, w którym mieszkałem, stał nieco w głębi pośród innych takich samych jasnoszarych dziewięciopiętrowych budynków. W piaskownicy bawiło się kilkoro dzieci, a na ławce siedziały dwie starsze panie i rozmawiały. Od Wisły dochodził warkot trenujących ślizgaczy, wzrastał się gwałtownie i przechodził w huk, a potem opadał i słychać było znów tylko dźwięczny głos dzwonka z pobliskiego kościółka. Ten kościółek stoi przy ulicy Solec w tym samym miejscu co kiedyś, odbudowali go, bo w Powstaniu uległ zniszczeniu. Może pan go pamięta, nieduży, z dwoma wieżyczkami?

Wykrot kiwnął głową, ale nie byłem pewien czy nie przez grzeczność. Tyle lat nie był w Warszawie.

Akurat dochodziła szósta. Szedłem szybko i nerwowo, potknąłem się i spod pachy wysunęła mi się teczka, a z niej wysypał się plik listów. Znowu przyszło ich dużo w ciągu dnia do redakcji, a wszystkie na ten sam temat. Schyliłem się i gorączkowo zbierałem je z powrotem. Jeden był bez koperty i mimo woli przeczytałem nagłówek: „Ty bydlaku! przeholowałeś! Jak śmiałeś mówić takie brednie”. Złożyłem wszystko byle jak, włożyłem pod pachę i wszedłem do klatki schodowej kierując się do windy. Czekala na nią jedna pani z szóstego piętra. Stała z dziesięcioletnim synkiem. Zobaczył mnie, trącił dyskretnie matkę i pociągnął za rękaw. Udałem, że tego nie widzę. Stoję z boku i medytuję. A on znów trąca matkę. Pani robi ruch. – Wiem, o co ci chodzi. Przestań! Ale chłopak znowu pociąga ją za rękę. Gest matki. – Tak, wiem, przestań! Chłopak wspina się do ucha i coś jej szepcze. Jest zemocjonowany. Zapalam papierosa. Zjeżdża winda. Otwierają się drzwi i wychodzi niski, starszy pan z ratlerkiem na smyczy. Też sąsiad. Bardzo sympatyczny, tylko ten ratlerek bardzo Rafa nie lubi, na widok mojego psa dostaje od razu hysterii. Ale wtedy coś stało się z jego panem. Na mój widok twarz mu się raptownie zmieniła. Był wyraźnie wzburzony. Stał naprzeciw mnie zagradzając wejście do windy, podniósł głowę, bo był niski i patrzył groźnie w górę. Powiedziałem machinalnie: – Dzień dobry, a on zaraz wybuchnął: – Jak pan mógł?! Trzeba nie mieć oczu!

Przyznam, że zbaraniałem. Nie wiedziałem w pierwszej chwili, o co mu chodzi. Ale kiedy zaczął wyrzucać z siebie krótkie, gwałtowne słowa, mimo że wciąż byłem zaskoczony, wreszcie zorientowałem się. – A więc i pan?! To i pan jest odmiennego zdania?

Przerwał mi z jeszcze większym oburzeniem. – Ciężko pan ich skrzywdził. Wszystkich nas pan obraził. To było oburzające!

Staliśmy we czworo przy wejściu do windy, a w niskim panu narastał coraz większy gniew, którego nie był w stanie powstrzymać. – Najwyższy czas, żeby pan przestał to robić. Na emeryturę! Dostyc tego. Niech robią inni. Na emeryturę! – dodał z zajadłą złośliwością.

Matka i chłopiec precyzyjnie się do windy i z zacięciem obserwowali całą scenę. Piesek ujadła przeraźliwie solidaryzując się wyraźnie ze swym panem. – Cicho Pelagia! – zwrócił się w końcu starszy pan do ratlerka. – Na emeryturę! Nie szczekaj! Jak pan mógł! Dostyc tego!

Nic już nie odpowiedziałem. Wolno przeszedłem obok pana i psa. Stałem w windzie. Pani nacisnęła na swoje szóste piętro. Milczeliśmy. Wreszcie odezwałem się: – Znamy się z tym panem, co prawda tylko z windy. Zawsze był taki uprzejmy, bardzo miły.

Sąsiadka wzruszyła lekko ramionami, jakby chciała powiedzieć, nie znam się na tym, to wasze męskie sprawy.

Dojechaliśmy na szóste piętro. Nagle synek, kiedy przepuszczał matkę do wyjścia, wyrzucił z siebie gwałtownie: – Dlaczego pan nie chciał żebyśmy wygrali? W pytaniu nie zabrzmiała pretensja tylko ciekawość.

– Chciałem żebyśmy wygrali – odpowiedziałem szybko. Matka energicznie ujęła chłopca za rękę. – Chodź.

– Bo tatuś powiedział wczoraj zaraz po transmisji, że pan nie chciał – mówił jednym tchem chłopiec. Matka pociągnęła go za sobą. Zamknął drzwi i jechałem wyżej. Spojrzałem w lustro wiszące w windzie. Wyglądałem źle. Uśmiechnąłem się niemądrze do siebie i chyba westchnąłem.

Nie ukrywam, byłem wtedy załamany. Chciałem w sobie wmówić, że chłopiec mnie rozbroił. Przecież powtarzał tylko to, co powiedział ktoś dorosły, w tym przypadku jego ojciec. Zналиśmy się z tym malcem także z widzenia. Czasem popisował się, kiedy przechodziłem przez wybetonowane tereny osiedla poprzecinane wąskimi pasami trawników. Grał sam, ławka była bramką. Zobaczywszy mnie natychmiast rozpoczął rajd z piłką wołając jednocześnie na całe gardło: – Lubański przy piłce! Prowadzi. Świetnie gra! Gol! Cudownego gola strzeliłem! Proszę państwa, proszę państwa!

– Niech pan zrozumie, panie Alfredzie. Wszystko nagle zmieniło się, zmienili się ludzie i nie idzie mi przecież o tego staruszka z ratlerkiem, choć był na pewno jeszcze jednym przykładem, jak niektórzy reagują na te sprawy, na jeden mecz. Co prawda to był wyjątkowy mecz, ale przecież nie zawaliłby się świat, gdybyśmy go przegrali albo wygrali. Kiedy zakończyłem transmisję, stojący obok technik z TV był też jakiś dziwny i burknął tylko na moje do widzenia. A przecież zналиśmy się od dość dawna, nieraz pracowaliśmy razem. Był także maniakiem sportu. Trzeba go było nieraz mitygować. Zapominał się, kiedy działo się coś niezwykłego na boisku. Świetnie pracował, ale zapominał się. Raz wrzasnął mi wprost do mikrofonu: – Spalony! – a przecież wcale nie było spalonego. – Niech pan się tak nie podnieca, panie Stasiu, uspokoiłem go zasłaniając mikrofon. Uśmiechnął się w półprzytomnie i zmitygował, ale tylko na chwilę. – Panie, to jest piłka. Był spalony jak drut. Ten idiota nie widział. Tamtego popołudnia, kiedy prowadziłem tę swoją sławetną końcową część sprawozdania, po prostu oniemiał. Lodowaciał z każdą sekundą, aż pod koniec był jak lód. Sopel lodu siedział po mojej prawej ręce przy kontrolnym monitorze. Nic, ani słowa. Po prostu przestałem dla niego istnieć.

Ze stadionu wylewał się wzburzony tłum. Grupa wyrostków maszerowała w takt skandowanych okrzyków: Kalosz! Kalosz! Starąłem się wyjść niepostrzeżenie ze stadionu i to udało mi się. Pierwszy raz po prostu wymknąłem się ze stadionu, właściwie uciekłem. Unikałem znajomych twarzy. Następnego dnia w redakcji na biurku czekała sterta listów, sterta depeesz. Przyszły już poprzedniego dnia wieczorem. Wiele na moje nazwisko, ale ile przyszło na adres szefa?! Potem dopiero docierały do moich rąk. „Przeholowałaś draniu!” Najrozmaitsze epitety.

Wykrot lekko poruszył się na krześle. W jego spojrzeniu wyczytałem ciekawość przemieszana z odrobiną zdziwienia. Bądź co bądź sporo czasu minęło od tamtego meczu i pewnie mówilem z zaskakująco dużym przejęciem, z gestykulacją, widać przestałem się kontrolować. Ale nie przerywał mi, nie pytał o nic, choć zapewne chciał zapytać mnie o pewne szczegóły, fakty. Rozpocząłem wolniej: – No więc był to finał Pucharu Zdobywców Pucharów, dziesięć lat temu. Nasi Biali grali z angielskimi Lyonsami. Wykrot znów lekko poruszył się. – Zgadza się, prawda? McKinley siedem lat temu wrócił do swej drużyny po tych perypetiach, które pan lepiej zna niż ja – ciągnąłem. – Mówię chaotycznie, ale to wszystko w końcu się ułoży, mówię tak, jak utrwaliło mi się w pamięci. Myślałem o tym chyba przez rok. Wszyscy najbliżsi, Izabella, Tomek i Krzysztof mówili – przestań. Skończ z tym, odłóż na bok. Ale nie było to takie proste. Przez kilka miesięcy pauzowałem. Zastanawiałem się, czy w ogóle wrócić do mikrofonu. Wróciłem, przestałem myśleć. I dopiero dzisiaj, jak pan mi go pokazał, jak zobaczyłem go znów na własne oczy...

– Pan jest nerwowy – powiedział Wykrot.. – Chyba tak.

– To niełatwa praca – dodał. – Ale jest pan chyba także trochę sentymentalny. Nie zabrzmiało to jak ironia, po prostu powiedział to, co myśli.

– Nie – zaprzeczyłem gwałtownie.

– Niech pan opowiada dalej.

Następnego dnia rano zamówiłem sobie stół montażowy i zacząłem wszystko przeglądać od początku. Akurat tego dnia dali mi pannę Basie. Świetna montażystka, szybka, precyzyjna i ładna. Mało zналиśmy się do tej pory, raz czy dwa razy montowaliśmy razem jakiś krótki

film czy reportaż. Była zawsze bardzo uprzejma i bardzo rzeczowa. Pracowała szybko, bo zwykle spieszyła się. Ale to była porządna robota. W zasadzie lubię montować taśmę, choć tym razem to nie był montaż, a przegląd. Wszystko przecież już widziałem i musiałem teraz jeszcze raz patrzeć na to samo w nadziei, że dojrzę w meczu jakieś nowe szczegóły. Będę mógł zatrzymać taką, jak chcę, klatkę, cofnąć, pojechać do przodu, znów cofnąć a nawet zwolnić. I tak jeździliśmy taśmą tam i z powrotem, byłem napięty, a udawałem spokój i tego dnia zupełnie mi to nie wychodziło. Najgorsze, że i w pannie Basi wyczułem niechęć.

– Więc co pan chce w końcu zobaczyć najpierw? – powiedziała uprzejmie. – Od piętnastu minut jeździmy tam i z powrotem. Musi pan się w końcu na coś zdecydować. Mówiła niemal słodziutko i to było szczególnie denerwujące.

Powiedziałem, że dobrze, że wiem – cofniemy się do dwudziestej siódmej minuty, bo jednak od tego zacznę. Siedziała w białym fartuchu, wyprostowana z nieskazitelnie uczesаныmi włosami. Nacisnęła pedał. Taśma zaszumiała i przez ekran montażowego stołu zaczęły znów przelatywać sceny z meczu i przez chwilę wyglądało to zabawnie, a potem ruchy zawodników i ich bieganie do tyłu przemieniło się w komiczny chaos bez sensu i składu. – To i tak nic już nie zmieni – wyrwało się pannie Basi. Nacisnęła pedał, zatrzymała taśmę, odwróciła się i zapytała: – To?

– Nie wiem – odezwałem się burkliwie. – Proszę puścić jeszcze do przodu.

Polacy właśnie przeprowadzali ładną, szybką akcję na bramkę Anglików. Angielski obrońca odebrał piłkę i odesłał ją z powrotem w pole.

– Nie, nie to. Ten fragment, o który mi chodzi, rozpoczyna się od akcji Sejdy po lewej stronie boiska. Potem chyba przejmie piłkę Safjanowicz. Na pewno Safjanowicz. I zaraz wypuści Wtorek.

Znów zaszumiała taśma. Puściła ją szybciej, fonia zachrypiała, odgłosy trybun przemieszły się z relacją sprawozdawcy. Nagle zręcznie zatrzymała taśmę i delikatnie puściła w przód. – Ma pan swojego Sejdę.

Polski obrońca odebrał piłkę Anglikowi i podał szybko do pomocnika Safjanowicza. – To jest to. Nareszcie! Brawo – odezwałem się rażno do montażystki.

– Nie wolno tu palić – powiedziała sucho.

– Co tam nie wolno. Dziś wszystko wolno. Mnie już wszystko wolno – spróbowałem zażartować. Ogarnął mnie wisielczy nastrój.

Safjanowicz przedryblował Anglika i rozglądał się komu podać.

Ale naprawdę jest rozporządzenie – mówiła rzeczowo montażystka.

– Psiakrew! Wyszedłem na korytarz. Ale zaglądałem przez drzwi. Już pani ma? – wypuściłem dym w drugą stronę. – Już?

– Tak. Czekam.

Zgasilem pospiesznie papierosa i wróciłem do montażowni. Pochyliłem się nad ekranikiem i patrzyłem uważnie. Słynny środkowy napastnik naszego najlepszego wówczas klubu, Kazimierz Wtorek przejął zręcznie półgórną piłkę od Safjanowicza, ściągnął ją w dół do buta i pomknął. Zwód, mija Anglika. Nadbiega następny. Starcie. Anglik się zachwiał. Wtorek zostawił go i pędzi dalej. Wyrasta obrońca. Wtorek jest szybszy. Wygrywa i ten drybling. Wszystko już o kilkanaście metrów przed linią pola karnego gości. W skos boiska nadbiega następny brytyjski gracz, ale Polak mu ucieka. Biegnie wprost na bramkarza. Anglik rzuca się za nim. Za późno! Chyba za późno. Patrzyłem w ekran. Panna Basia także pochyliła się nad stołem. – Teraz będzie ważne. Niech pani uważa. Anglik w rozpaczy łapie Wtorka za rękę. Wtorek szarpie się, ale chwyt jest mocny.

Kazałem jej wtedy znów zatrzymać i cofnąć. Chciałem dokładnie sprawdzić, jak daleko przed linią pola karnego zaczęła się szarpanina.

Wtorek i Anglik cofają się. Zabawnie to teraz wygląda. W tle widać wyraźnie, że znajdują się o kilka kroków przed linią pola karnego. Tak, dokładnie o dwa i pół, najwyżej trzy metry.

Zastygli w bezruchu podświetleni od tyłu lampeczką umieszczoną nad ekranem. – Jedźmy dalej – powiedziałem. – Ale na zwolnieniu.

Wtorek zaczyna przedzierać się do przodu. Wolno unosi kolana, jakby podfruwiał nad trawą, a za nim podfruwa Anglik. Już się szcepili. Anglik lewą ręką trzyma za prawy bark Polaka. Wtorek robi gwałtowny ruch, próbuje oswobodzić się. Anglik łapie go teraz prawą ręką za koszulkę. Podnosi się przeraźliwy gwizd na widowni. A tych dwóch się szamocze.

Na ekranie ukazuje się wreszcie sędzia. W zębach gwizdek. Sędzia wymachuje rękami. Anglik staje na baczność. Ma niemądrą minę. Sędzia rozmawia o czymś z Wtorkiem. – Był kapitanem naszej drużyny, miał więc pełne prawo do interwencji, będąc przy tym ofiarą faula – powiedziałem na pewno niepotrzebnie do Wykrota, bo przecież zapewne słyszał o Wtorku, musiał słyszeć. Wtorek grał blisko sto razy w reprezentacji i był także przez pewien czas jej kapitanem. Grywał w Anglii wiele razy. Ale Wykrot po swojemu nawet nie zareagował na to wyjaśnienie.

Sędzia stał na boku z Wtorkiem i rozmawiali z ożywieniem.

Wtedy panna Basia zapytała o to, kto sędziował. – Powiedziałem że Rufener, Szwajcar. Znakomity sędzia. Trochę się zdziwiła, że taki starszy pan wytrzymuje tyle biegania. I dodała, że ten Szwajcar jej się nie podoba, od razu jej się nie podobał, ma twarz buldoga i wygląda jak gangster z filmu.

Na ekranie pan Rufener poprawiał okulary. Był to już niemłody, zażywny i łysawy mężczyzna o wysuniętym podbródku. Zadyszał się, choć gra toczyła się dopiero od dwudziestu siedmiu minut. No, ale grali szybko. Rufener słynął z dobrej kondycji. Szybko odszedł od Wtorka, odsunął kapitana drużyny angielskiej, który także podbiegł, gwizdy trochę ucichły, bo ludzie wiedzieli, że zaraz coś się stanie. Tylko co? Aha, sędzia wyciąga czerwoną kartkę i potrząsa nią groźnie przed oczami Anglika, który zatrzymał Wtorka. Wiwaty na widowni. Ogromny aplauz dla sędziego. Anglicy od tej chwili będą grali w dziesiątkę. – Bravo sędzia – drą się ludzie. Wtorek podchodzi znowu do sędziego Rufenera i coś mówi. Stoi na baczność. Wysoki, zgrabny mężczyzna. W pewnym momencie uśmiecha się. Szwajcar odwzajemnia mu się także uśmiechem. O czym oni mówili? Żeby w tedy mógł wiedzieć, o czym oni mówili. Jaka szkoda, że to nie mogło być nagrane. Ale przecież gracze i sędzia jeszcze nie biegają po boisku z mikrofonikami zawieszonymi na szyjach.

– Jaka szkoda, że to nie jest nagrane – musiałem to wypowiedzieć bezwiednie i chyba głośno, gdyż panna Basia zaraz zareagowała i powiedziała po swojemu, a więc niezwykle uprzejmie i z tą jakąś mentorską nutą: – Za dużo już pan wymaga. A o czym się mówi w takim momencie? Jeśli ten Szwajcar jest takim sławnym sędzią, to zna Wtorka i wie, że Wtorek jest nie tylko znakomitym piłkarzem, ale także dżentelmenem na boisku.

Ona знаła się na piłce. Wreszcie powiedziała, co myśli o tym wszystkim, odkryła kary. – Pan też zna Wtorka, a mimo to wczoraj tak pan poprowadził swoje sprawozdanie. Patrzyła na mnie dużymi jasnymi oczami i wyczytałem w nich nie tyle żal, ile niechęć, otwartą dezaprobatę. Istotnie, Kazimierz Wtorek to był naprawdę ktoś. Był nie tylko wirtuozem piłki, jak pisali niektórzy koledzy z prasy, ale miał ogromną sympatię i uznanie w społeczeństwie. To urosło i utwierdziło się jeszcze bardziej, kiedy w poprzednim sezonie otrzymał międzynarodową nagrodę Fair Play za wzorowe zachowanie na boisku. To była nagroda, jeśli użyć znanej powszechnie formuły: „za całokształt działalności”, bo tak było naprawdę. Zdobywał się na piękne gesty w walce, raz nawet przyznał się, że stał na spalonym tuż przed strzelaniem gola na meczu z Norwegią wygranym przez Polskę 9:1. Jak kogoś potrącił, zaraz pomagał wstać, poklepał po ramieniu, z reguły przeprosił. Pędzi z piłką, bramkarz rzuca mu się pod nogi, Wtorek hop! zręcznie przeskakuje ponad leżącym ciałem. Zatrzymuje się, unosi ręce w górę. – Nawet go nie trąciłem. I już pomaga bramkarzowi podnieść się. Brawa na trybunach. Dżentelmen nad dżentelmenami! Brawa, brawa. Wtorek biegnie wolno w kierunku środka pola. Niby nie słyszy, ale podniósł rękę i dyskretnie dziękuje widzom za owację.

Tak, Wtorek to był ktoś. Na kilka dni przed tym finałem postanowiłem odwiedzić go w mieszkaniu. Nie miał to być dłuższy wywiad, po prostu chciałem porozmawiać, zebrać dodatkową dokumentację. Zajechałem przed dom na Stegnach w Warszawie. To, wie pan, jest taka duża nowa dzielnica mieszkaniowa, jak jedzie się w kierunku Wilanowa. Tego nabudowaliśmy dużo w ostatnich latach. Na klatce schodowej odnalazłem w spisie lokatorów jego nazwisko. Drugie piętro, wbiegłem po schodach, zastałem drzwi wpółotwarte, dochodziły zza nich podniesione głosy kobiece. Wejść czy zaczekać? Dostrzegłem rozbitą szybę w następnych drzwiach, prowadzących w głąb obszernego mieszkania. Na podłodze walały się skorupy wazonów czy talerzy oraz porozrzucane kwiaty. Po chwili wahania zapukałem, ale podniesione głosy nie ucichły.

– Nie wytrzymam dłużej z tym łobuzem! – wołał ktoś histerycznie. Zapukałem głośniejsze, a potem chcąc nie chcąc wszedłem do przedpokoju. Ukazała się młoda kobieta z zapłakanym dzieckiem, a zaraz za nią wyłoniła się tęga dama w więcej niż średnim wieku. Były ogromnie zdenerwowane. Zdawałem sobie sprawę, że przyszedłem nie w porę, ale nie było już odwrotu. Przeprasiłem, przedstawiłem się i spytałem o męża, że chciałem porozmawiać przed meczem. Nasłuchiwałem się wtedy, o tym Jacku, że „Kazio tylko jego ma w głowie, patrzy przez palce na każdy wybryk, córeczką się nie zajmuje, bo nigdy nie ma go w domu, a dzisiaj wziął tego chłopaka w obronę, kiedy był dla mnie znów niegrzeczny”. – On tu jest pierwszy w domu, panie redaktorze. Przed Kazimierzem, nie mówiąc już o mnie i o tym biednym dziecku – wskazała pani Wtorkowa na córeczkę. Próbowałem to wszystko jakoś załagodzić i chyba trochę mi się udało. – Jest na stadionie, na treningu. Jak zwykle – powiedziała trochę spokojniej. A już przy samych drzwiach. – Chciał mieć chłopaka, a ma taką śliczną córeczkę – teraz rozczuliła się i schyliła do małej. – Tatusz cię nie kocha – mówiła z egzaltacją do dziecka tuląc je na rękach. – Tatusz kocha Jacka, a nie Kasię.

Mała patrzyła okrągłymi oczami na obcego pana. Teściowa przez cały czas milczała.

– Tatusz też kocha Kasię – powiedziałem pokrywając zakłopotanie, bo żal mi się zrobiło dziewczynki, która zaczęła płakać.

– Uspokój ją – odezwała się wreszcie teściowa. – Widzisz, że pan się spieszy. Mogę panu powiedzieć, że oni są dobrze przygotowani do meczu. Safjanowicz wyleczył już kontuzję i pewnie też zastanie go pan na treningu. Jak odbiorą Anglikom środek boiska, powinni wygrać. Druga linia zadecyduje.

Coś odpowiedziałem, pogłaskałem niezręcznie małą i wymknąłem się na schody. Pojechałem na stadion. Wtorka odnalazłem łatwo. W długich spodniach od dresu uganiał się za piłką w asyście kilkunastoletnich chłopców. To były te słynne Wtorkowe treningi, nawiasem mówiąc odbywały się w każdy piątek, opisywane w prasie, pokazywane w telewizji. „Kazimierz Wtorek w każdy piątek wychowuje swoich następców” – pamiętam taki tytuł w jednej ze sportowych gazet. Był u szczytu kariery, ale czy właśnie tak widział swoją dalszą przyszłość? Trener, wychowawca młodzieży. Zawsze podkreślał, że nie wyobraża sobie życia bez piłki. Mówił łatwo do mikrofonu, okrągłymi zdaniami – i to się ludziom także podobało.

– Inteligentny człowiek, to i mądrze gra w piłkę – mówili kibice.

Wśród chłopców był także ów Jacek. Jacek! Chłopak przygarnięty wprost z ulicy. Jedni mówili, że ma rodziców, a inni że sierota. Ujął czymś Wtorka i ten przyjął go do swojej szkółki młodzików. Zresztą Jacek grał świetnie, wyróżniał się, nie ulegało wątpliwości, że miał talent.

Akurat był przy piłce i próbował przedryblować swego mistrza. Kiwali się, aż się obaj przewrócili. Reszta chłopców śmiała się. To był bardzo przyjemny obrazek. Słynny piłkarz otoczony młodzieżą. Zobaczył mnie i przerwał ćwiczenia. Odeszliśmy na bok.

– Chciałem pogadać o meczu i przepraszam, o Jacku.

– Był pan u mnie? Żona nagadała.

– Byłem.

– Pobjowisko, co? – powiedział Wtorek i uśmiechnął się bezradnie.

Wysoki, mocno ale zgrabnie zbudowany, o pogodnej twarzy od razu wzbudzał sympatię. Polubiłem go od naszego pierwszego spotkania. Zналиśmy się wtedy już chyba z pięć lat albo dłużej.

– Jacek jest żywy, to wszystko. A jaki był pan? A jaki ja byłem? – szybko zmienił temat. Mówił: – Już kończę trening. Za dwie godziny jadę na rajd z Jankiem Karwańskim. Karwański to był znakomity bramkarz ich klubu, przyjaźnili się.

– Jaki rajd? Co pan znowu wymyślił.

Od razu mnie pokonał. To był cały Wtorek. Poprowadził rozmowę tak, jak chciał. – Jak to jaki?! Nie czyta pan gazet panie redaktorze? Starych trupów. Jedziemy do Kazimierza nad Wisłą. Moje miasto – uśmiechnął się. Kazio do Kazimierza. Gwiazdzisty rajd starych samochodów. Jedzie kilka jeszcze przedwojennych – opowiadał z przejęciem. – Przygotowaliśmy forda Eiffła z 1938 roku. Janek kupił go zeszłej wiosny za parę groszy. Przestał się w garażu obok mojego BMW przez całą zimę i niedawno zrobiliśmy go na cacy. Karwański! Pan wie, Karwański to „Inżynier”. Start o osiemnastej. Zdażę się wykapać, coś zjeść i jedziemy. Jacek! – zawołał do wyrostka.

– Do domu? – zapytałem. – Niech pan wpadnie do domu. Trzeba przeprosić żonę, załagodzić, po co te hece.

– Nie pojedę – powiedział Wtorek. – Zjemy z Jackiem na mieście.

– Panie Kaziu, wziąłem go za ramię. – Znamy się nie od dziś. Przynależem żonie, że pana odstawię do domu. Ona naprawdę denerwuje się tym wszystkim. Pańska mała płacze. Chce widzieć czasem ojca. Śliczna dziewczynka.

Jacek stał opodal i patrzył na nas obojętnie. Może tylko udawał? Chociaż nie, sprawiał wrażenia chłopca, który wie czego chce i czuje jakąś dziwną przewagę nad swym sławnym opiekunem. Odszedł spokojnie w bok, potem zaczął biec i za chwilę zawołał ostro do rówieśników: – Podaj piłkę! Jeszcze raz sobie strzelę na bramę!

– No dobrze, postaram się wpaść do domu – powiedział Wtorek pojednawczo, ale wyczułem, że mówi na odczepne. Zresztą zaraz dodał. – Rany boskie, spóźnię się na rajd. A tak wprost z restauracji pojedziemy do garażu. Karwański czeka.

Było widać, że jest ogromnie przejęty zabawą w automobilistę i pewnie przyrzekł już Jackowi, że tego dnia zjedzą razem na mieście. Milczałem. Piłkarz powiedział po chwili: – Przyrzekłem chłopcu, że pójdziemy do restauracji. Jak się coś młodemu przyrzeknie, to trzeba dotrzymać.

Grzecznie się pożegnał i odbiegł miękkiem elastycznym krokiem. Razem z chłopcem zniknęli w drzwiach prowadzących do szatni. Przedstawiłem panu Wtorka. To był wstęp, ale już pan widzi, że to ciekawa postać. Sięgnąłem po kawę.

– A jak było z tym rajdem? – zapytał Wykrot.

– Dobrze. Jeszcze dwa słowa o rajdzie, a potem już o meczu.

Zabierałem się już do kontynuowania dalszej opowieści, gdy nagle przy stoliku pojawił się chłopak w liberii. Wołała mnie wreszcie Warszawa. Przeprosiłem Wykrota i pobiegłem do recepcji. Portier wskazał mi kabinę i, nie wiadomo, który już raz w ciągu wielu lat pracy – z ciasnego, dusznego pomieszczenia, przy małej lampie rzucającej nikłe światło na notatki przekazałem trzyminutowy wstępny meldunek o meczu, który miał rozpocząć się następnego dnia w tym mieście. Wszystko zresztą trwało krótko, gdyż słyszalność była dobra a na miejscu redakcja załatwiła precyzyjnie, by stanowisko było przygotowane do nagrania relacji. Kiedy wróciłem do stolika, dostrzegłem, że bar zasunięty był ciemną deską. Spojrzałem ze zdziwieniem na Wykrota. Ten od razu poinformował mnie, że barman McKinley musiał nagle pobiec do domu. – Mieszka tu niedaleko. Ktoś zachorował, zdaje się dziecko. Córka – dodał niewyraźnie. – No więc, jak z tym rajdem?

– Nie wiem, czy pan pamięta Kazimierz nad Wisłą? To chyba jedno z ładniejszych miejsc w kraju. Na rynku otoczonym renesansowymi kamieniczkami kończył się rajd. Było sporo ludzi, w ogóle bawiono się świetnie. Niech pan sobie wyobrazi, że ten Wtorek i bramkarz Karwański jednak przegrali, zajęli odległe miejsce, ale stali się bohaterami imprezy. Na parę kilometrów przed metą udzielili pomocy załodze dziennikarskiej. Zepsuła się stara skoda, w której jechał naczelny redaktor z fotoreporterem pewnego sportowego pisma. Wtorek i Karwański zatrzymali swego forda i pomogli zreperować samochód. Jechali najszybciej, prowadzili zdecydowanie i pewnie wygaliby rajd, ale Wtorek uparł się i nie chciał wystartować wcześniej niż dziennikarze. „Jedźcie pierwsi, a potem my ruszymy w tyle czasu, ile straciliście czekając na pomoc”. I tak dziennikarze wygrali rajd. Zachowali się także elegancko. Następnego dnia pismo zamieściło na pierwszej kolumnie ogromne zdjęcie obu piłkarzy: na pierwszym planie Wtorek a w tyle Karwański. Umorusani, pochylają się przy podniesionej masce skody. Wielkie tytuły:

„Piłkarze zwyciężyli w rajdzie weteranów szos, choć zajęli dalekie miejsce!”, „Kazimierz Wtorek jak zawsze niedościgłym džentelmenem!”

Karwański zwany przez kibiców „Inżynierem” chodził wtedy na Politechnikę, też bardzo miły chłopak, dużo młodszy od Wtorka. To on zreperował defekt, ale Wtorek był ponoć inicjatorem zorganizowania pomocy. Złośliwi mówili, a gdzie ich nie ma, że przedtem spokojnie wyprzedził kilka innych unieruchomionych aut, a dopiero pomógł dziennikarzom. Wtorek zawsze wie, co robi.

– To rzeczywiście interesująca postać – powiedział Wykrot.

– Mówiłem już, że to dopiero wstęp. Teraz przedstawię następnego bohatera.

– Zaraz – zniecierpliwiał się trochę po raz pierwszy mój towarzysz. – Przecież nie powiedział pan do tej pory, jaki był wynik do dwudziestej siódmej minuty gry. Domyślam się, że nie chce pan zdradzić końcowego rezultatu, ale chociaż parę słów jak grali.

– Siły były wyrównane. Gra dobra. Może lekko przeważali nasi. Szybkość szła na szybkość, grano dość ostro, parę groźnych fauli spowodowali Anglicy. Sędzia trzymał ich w karchach i wciąż było 0:0. A potem, kiedy tamci zaczęli grać w dziesiątkę, oczywiście z wolna zaczęła zarysowywać się przewaga gospodarzy. Ich akcje przybierały wciąż na sile. Raz po raz sunęły ataki. Rej wodził Wtorek. Ale za nerwowo, za nerwowo grali. Raz złapał centurę na głowę i strzelił mniej niż o pół metra nad poprzeczką. Anglicy bronili się spokojnie i planowo, mimo że zadanie mieli trudne. Jeden polski zawodnik był nie obstawiony, musieli więc biegać w dwójnasób. Szanowali piłkę – już oni to umieją robić. Przetrzytywali ją. Wskazówka zegara posuwała się szybko. Im pewnie wydawało się, że czas biegnie za wolno. Jak w każdym meczu, kiedy jedna ze stron zaczyna brać górę. Ci się bronią, więc zegar idzie za wolno. A tamtym czas biegnie za szybko. Już nie pamiętam dokładnie, to było chyba na kilka minut przed końcem pierwszej połowy i Wtorek znów znalazł się przy piłce. Wreszcie rozciągnął akcję, nie pchali się ciągle środkiem, jak poprzednio, podał daleko w prawą stronę, poszedł następny przerzut i Anglicy biegali jak w ukropie. Wreszcie rozwinęliśmy atak bez zbytej nerwowości. Szukali luki i znaleźli ją. Kwiatkowski podał do Safjanowicza, ten do Wtorka, Wtorek z powrotem do Safjanowicza, a ten go płasko wypuścił. Prowadziłem sprawozdanie w coraz żywszym tempie. Wciąż było 0:0. Zalecałem ludziom spokój, ale wreszcie i ja zacząłem się denerwować. Przydałaby się bramka, najwyższy czas zdobyć prowadzenie! I wreszcie padła. Obejrzałem ją dokładnie drugi raz następnego dnia na stole montażowym z panną Basią. Nasi podskakiwali śmiesznie, obejmowali się i całowali. Wtorek biegł spod bramki Anglików z uniesionymi w górę rękami. Triumfalny gest wykonywany niemal przez wszystkich szczęśliwych strzelców. Euzebio, pamięta pan? On pierwszy zaczął. Zdobył gola i biegł z podniesioną prawicą. Zaciśnięte pięści wyrzucał w górę. To było dawno, w roku sześćdziesiątym szóstym na mistrzostwach świata tu u was, w Anglii. Panna Basia cofała i puszczała w przód ten fragment chyba trzy razy. Wtorek biegnie od bramki. Stop. Już się co-

fa, opuszcza rękę, odwraca. Piłka wylatuje z powrotem z górnego narożnika i wraca, wraca, aż przylepi się do buta zdobywcy gola. Przydusiliśmy wtedy Anglików. To była ładna akcja. Wtorek po wypuszczeniu Safjanowicza przebiegł kilkanaście kroków z piłką, wyminął obrońcę i strzelił w górny róg. Identyczny gol, jaki padł dwa tygodnie wcześniej na meczu z Luksemburgiem. Bardzo cieszyli się nasi. Na środek boiska przybiegł nawet Karwański i wyścił Wtorka.

Zacząli grać, pograli jeszcze przez kilka minut, było parę naszych ataków i sędzia zakończył pierwszą połowę 1: 0. Teraz przeniesiemy się do szatni. Chcę panu opowiedzieć co się tam działo no i przedstawić sędziego Rufenera. Na pierwszy rzut oka, może na ekranie, jak zobaczyła go panna Basia, wygląda jak gangster, niech jej będzie. Ale w bezpośredniej rozmowie już po paru chwilach sprawia bardzo sympatyczne wrażenie. Ma rozbrajający uśmiech. Uśmiechnie się i twarz mu się zaraz zmienia. Podbródek zaokrągla się, zmarszczka nad brwiami znika. W oczach pojawia się błysk życzliwości. W obyciu jest swobodny, niemal kordialny. Zupełnie inny człowiek, niż kiedy biega po boisku z gwizdkiem w zębach. Poznałem go osobiście na konferencji prasowej przed tamtym finałem. Wyszedłem przed końcem, kiedy konferencja już wygasła. Na takich spotkaniach dziennikarz zwykle nie dowiaduje się wiele nowego. Za stołem siedzieli trenerzy i kapitanowie obu drużyn, a na przeciw dwa plutony dziennikarzy. Pytania i odpowiedzi. Pytania stereotypowe, odpowiedzi dyplomatyczne. Wycofałem się dyskretnie na korytarz. I zaraz natknąłem się na znanego działacza. Rozmawiał właśnie z sędzią. Dostrzegł mnie i poprosił. Przedstawił Rufenerowi. Rozpocząłem kurtuazyjnie, jak zwykle w podobnych okolicznościach, że znam go świetnie z wielu meczów i zawsze podziwiałem. Wspomniałem także o tym, że znakomicie prowadził nam półfinał na mistrzostwach świata przed dwoma laty. Lody pękły od razu. Podziękował i powiedział, że wkrótce nie będę go już widywał. – Jutro sędziuje przedostatni raz.

– Właśnie! – wtrącił działacz. – Pan Rufener chce opuścić naszą rodzinę piłkarską. Kończy swą wspaniałą karierę.

Jaka szkoda! To chyba niemożliwe. Najpierw myśmy słodzili, a potem działacz także dorzucił trochę cukru do rozmowy.

– Kończę karierę za tydzień w Londynie – informował pan Rufener. – Powierzono mi prowadzenie meczu Anglia contra Kontynent. To nie będzie trudne, to będzie raczej teatr, pokaz, a nie walka o punkty. Za to jutro może być ciężko – westchnął z przesadą. Trochę krygował się, udawał, że niby jest niepewny swego. – Wasi są w formie. Grają szybko i ofensywnie. Anglicy także. Oby tylko nie grano za ostro... żeby Anglicy nie grali za ostro – poprawił. Stawka duża.

Działacz zaprosił nas na obiad, a Rufener ożywił się jeszcze bardziej. To był jeden z tych, którzy lubią zjeść o swojej porze i dobrze zjeść. „Zraz z kaszą” – powiedział ze śmiesznym akcentem po polsku. – Nie mogę dużo jeść – niemal jęknął zabawnie. – Kondycja! – wskazał na zarysowujący się brzuch. – Ale jakoś trzymam się – powiedział z przekonaniem. – Biegam jeszcze dobrze. Czy pan wie – zwrócił się do mnie – przed tygodniem w Zurychu przebiegłem 100 metrów w 12,9 sekundy? Tylko o 0,3 sek. gorzej, niż mój rekord życiowy. Tak, ale ustanowiłem go przed czternastu laty – opowiadał, kiedy zasiedliśmy przy stole.

Ten gruby Szwajcar wzbudził w Warszawie przez parę dni małą sensację. Następnego dnia po przyjeździe ktoś podpatrzył wczesnym rankiem, jak wybiegł z Hotelu Europejskiego ubrany w dres. I rozeszło się. Ranek w ranek o tej samej porze trenował w Ogrodzie Saskim. Alejkami przesuwała się jego tęga postać w obcisłym kostiumie. Biegli za nim mali chłopcy i wołali: – Tempo, tempo! Próbowali go prześcignąć, ale nie dawał się. Śmiał się do nich, machał ręką, lecz nie pozwolił żadnemu z malców wyjść na prowadzenie. Organizowali sztafety, rozstawiali się na skrzyżowaniach alejek. Dodawał gazu i szorował ostro pełnym sprintem stale pierwszy. Biegał tak po kilka kilometrów przed śniadaniem. Ktoś go sfotografował i zamieścili wielkie zdjęcie w prasie.

Jedni śmiali się, drudzy kiwali z uznaniem głowami. – To rozumiem, to jest sędzia! Nawet napisano artykuł o zbawiennych dla zdrowia codziennych footingach, które u nas wciąż są rzadkością, a u was na wyspie są czymś zwyczajnym. Pan też tak biega? – zwróciłem się do Wykrota.

– Kiedyś próbowałem i mi przeszło. Po co mam biegać? I tak nabiegam się w swojej pralni.

– Dwóch ludzi siedziało w tym Szwajcarze. Przed samym meczem zajrzałem do jego garderoby. Ubrany był już w czarny strój. Drzwi były uchylone. Akurat wykonywał energiczne przysiady. Jego twarz była skupiona, dostojna, niemal groźna. Znow widać było przede wszystkim tę wysuniętą szczękę. Weszli do niego działacze, więc dołączyłem się i ja. Spojrzał na mnie jakby nie poznając, a przecież rozmawialiśmy długo wtedy przy obiedzie. Uśmiechnąłem się. Nie zareagował, patrzył jak na ścianę. W ogóle do nikogo nie odezwał się. Przy świadkach dokonał sprawdzenia ciężaru piłki za pomocą ręcznej wagi. Wykonał tę czynność trzykrotnie. Potem powoli układał w kieszeniach czarnej marynarki żółte i czerwone kartki. Staliśmy przy drzwiach czekając, aż skończy przygotowania. Wreszcie wziął gwizdek, wsadził do ust i lekko dmuchnął. Wyjął, obejrzał go i jeszcze raz gwizdnął. Krótko i nie za mocno. Nie patrząc na nas skierował się do drzwi. Wsadzili go do dużego czarnego auta i pojechali na stadion w asyście milicyjnego motocykla. W półtorej godziny później widziałem z kabiny, jak biegał po boisku. Na razie tyle o nim. Jest 1: 0. Mam kwadrans przerwy w pracy. Jak zwykle wybiegam z kabiny i do szatni!

Najpierw złożyłem wizytę naszym. Porozmawiałem z trenerem Wróblem, to też dawny piłkarz, tyle że drugoligowy i nigdy nie grał w reprezentacji. Nie chciałem go męczyć, był trochę napięty. Poprosiłem tylko o kilka słów i powiedziałem, że zaraz sobie pójdę. Wróbel stwierdził, że idzie ciężko, ale chyba jest dobrze. Przyznał, że nie umieliśmy wykorzystać przewagi jednego gracza. – Jest 1:0, a powinno być więcej. Pewnie teraz im dorzucimy – dodał. – Tylko niech pan tego nie mówi do mikrofonu, że ja tak powiedziałem – zastrzegł się na wszelki wypadek.

Zapewniłem go, że nie powiem, chyba że dopiero po meczu i tylko wtedy, jeśli się sprawdzi. Zapytałem, co sądzi o Anglikach. Odpowiedział krótko: – Znakomity zespół. Bardzo chwalił także sędziego, wiadomo: – Rufener, klasa! Słusznie usunął Anglika za perfidny faul. Pamiętam użył właśnie określenia: „perfidny”. Wróbel w ciągu dwóch sezonów z mało znanego trenera stał się znany, nawet bardzo znany, często udzielał wywiadów i mocno się w tym wprawił. Dobierał słów, a z czasem doszedł do tego, że zaczął mówić wyszukanym językiem. Nie umiem go teraz zacytować, zapamiętałem tylko to: perfidny.

Wtedy po raz pierwszy padło nazwisko McKinley. Zwróciłem głowę w stronę baru, bo przez chwilę zapomniałem, że barman odszedł. – Nie wiem, czy mam wracać do głośnych w swoim czasie nieporozumień, jakie wystąpiły pomiędzy McKinley'em a resztą drużyny? Pan McKinley'a zna osobiście, to pewnie pan wie lepiej.

Ale Wykrot natychmiast odpowiedział, że interesuje go to, co ja wiem o tej sprawie i bardzo chętnie posłucha mojego naświetlenia. – Jeśli będzie pan chciał, to może potem dorzucę kilka słów, chociaż nie wiem, czy będzie to coś nowego – zastrzegł się ostrożnie.

– A więc długo przed przyjazdem Lyonsów do Warszawy rozpisywano się u nas o niesnaskach pomiędzy zespołem gości a McKinley'em. Głośno trąbiono o skłóceniu w angielskim zespole. Wbrew drużynie, trener Austin, tak, nazywał się Austin, sięgnął po McKinley'a, wtedy już starego repa. Wiadomo było, że Austin i McKinley od dawna przyjaźnili się. McKinley po długim okresie znakomitej gry przeżywał jakiś kryzys. Fama głosiła, że zbyt często zagląda do kieliszka. Znow to samo. Strasznie się pije teraz na świecie i ta moda przenosi się niestety do środowisk sportowych wszędzie, czasem i u nas. Były jakieś rozmowy z trenerem, solenne przyrzeczenia. W końcu miał znow zagrać w zespole, ale drużyna była mu przeciwna. Podczas przerwy powiedziałem w szatni Wróblowi, że McKinley'a koledzy mało włączali do

gry, szczególnie w pierwszym kwadransie. Ze dwa, trzy razy widziałem, jak kapitan Lyonsów, Smith był przy piłce i rozglądał się komu podać, a tam na dogodnej pozycji czekał McKinley. Podnosił rękę, dawał znak, że czeka, ale Smith a także niektórzy inni nie podawali mu często. To było szokujące. Taki ważny mecz! Kłócili się – dobrze, nie lubili go, można to zrozumieć, nie mieli zaufania, ale musieli mieć przecież zaufanie do Austina. Nie wierzyłem oczom: Anglicy – tacy zdyscyplinowani, solidarni, a jego wciąż traktują jak czarną owcę. Niepojęte!

Wróbel odpowiedział mi wtedy, że trochę wyolbrzymiam. Przeciwnie, jest zaskoczony, McKinley jest wykorzystywany, jak należy, ale spodziewał się tego. – To był trik taktyczny, te całe nieporozumienia – powiedział nasz trener. – Rozpuścili pogłoski, żeby nas nabrać.

Nie chciałem z Wróblem polemizować. Zamieniłem jeszcze kilka zdań z Kazimierzem Wtorkiem. W naszej szatni było gwarno, wszyscy byli zajęci rozmową, nastrój był dobry, obecność dziennikarza nikogo nie krępowała. Wtorek sam zaczął od incydentu w 27 minucie. – Ogromnie nie lubię, jak ktoś mnie łapie za koszulkę – mówił spokojnie trochę cedząc słowa. – W sporcie tak nie można. Niewiele brakowało, a byłby karny.

– Ukaral ich surowiej – wtrąciłem.

– Tak, tak – rzucił piłkarz lekko. – Dał czerwoną kartkę, ale mógł być karny. Gra nam się niezbyt dobrze. Zajadli są.

Kręcił się niespokojnie, widać było, że ma dosyć rozmowy. Wróbel zrobił przeproszający gest. – Za cztery minuty wychodzimy. Chciałem jeszcze chłopcom coś powiedzieć.

– Już idę. Trzymajcie się.

Naprzeciw o kilka kroków dalej była szatnia Anglików. Stał przed nią i medytował o czymś reporter z BBC, stary znajomy. Byliśmy razem na wielu imprezach, nie licząc olimpiad, znamy się przelotnie – ale znamy.

– Chcesz wejść, to wchodź – i zagarnął mnie do środka. Piłkarze angielscy zmieniali kolorowe dresy, spoza ściany dolatywał szum wody, bo były tam tusze i niektórzy brali kąpiel. Zaskoczyła mnie zupełna cisza. Nikt z nikim nie rozmawiał, kręcili się w milczeniu i mieli zupełnie obojętne twarze. Sprawozdawca BBC wskazał dyskretnie na młodego przystojnego blondyna. – To jest właśnie ta kość niezgody. Chcieli, żeby on dziś grał nie tamten. Nie wiem, nie zabieram głosu, ale z góry wiedziałem, że Austin postawi na swoim.

„Tamten” – to był właśnie McKinley. Wtedy, po raz pierwszy mu się przyjrzałem. Siedział na ławce i wycierał spoconą koszulką twarz, chociaż była już znów czysta i lśniła kropelkami wody. Wydał mi się już starszawy. Wyglądał na czterdziestkę, na asystenta trenera, a nie gracza, nie pasował do tych młodych i atletycznie zbudowanych mężczyzn. Twarz trudna do zapamiętania – i już chciałem zacząć ją opisywać, ale urwałem przypomniawszy sobie, że Wykrot zna go lepiej niż ja. Wykrot nawet nie zrobił gestu, czekał, jakby chciał sprawdzić – zagalopuję się, czy też mam pełną kontrolę nad tym, co mówię. Ciągnąłem dalej:

– Powiedziałem więc koledze, że chętnie porozmawiałbym z kapitanem.

– Spróbuj. Zresztą sam go przedstawię. Smith! – zawołał do muskularnego szatyna. Podszedł do nas, przywitaliśmy się.

– Jaki pan przewiduje wynik? – zapytałem stereotypowo.

– Przed meczem odpowiedziałbym, że wygramy na pewno. A teraz to chyba nie wygramy – powiedział kapitan Anglików. – Pan sędzia wbił nam pięknego gola. Mówił swobodnie, bez złości. – Spodziewałem się innego pytania – rzucił z lekką zaczepką w głosie.

– O...

– McKinley'a – i Smith spojrzal zadowolony, że mnie zaskoczył.

– Przecież gra – powiedziałem spokojnie.

– Gra i nagra się jeszcze.

– Cieszę się, że wszystko w porządku.

– To ładnie, że pan się cieszy. Ja zawsze chętnie gram z kimś, kto umie grać – odpowiedział Smith i uśmiechnął się trochę złośliwie do siedzącego opodal McKinley'a. Ten patrzył na nas nieruchomo.

– Świetnie – zakończyłem. – Życzymy ładnej gry.

Szliśmy z kolegą przez korytarz. – Dogadali się.

– Niech to się tak nazywa – rzekł reporter. – McKinley i Smith nigdy nie będą się lubili. Zanim przyszedłeś byłem świadkiem takiej rozmowy. Austin mówi do McKinley'a: – Dobrze grasz. Grają z tobą. Jest źle. Walczymy.

– Jest bardzo źle – mówi mu na to McKinley i uśmiechnął się. Pierwszy raz widziałem, jak się uśmiechnął!

Wtedy Austin woła Smitha. Coś mu powiedział, już nie dosłyszałem. Smith wyciągnął rękę. McKinley podał swoją z wahaniem. Pozostali gracze siedzieli na ławkach i patrzyli w milczeniu na tę scenę. Siedzieli jak drwale, którzy odpoczywają chwilę, zanim zabiorą się z powrotem do ciężkiej pracy.

Szliśmy w zgiełku i tłoku wśród pospiesznie posuwających się ludzi. – Ci dwaj nigdy nie będą się lubili – powtórzył angielski kolega. – To stara rywalizacja. Ciekawe – zastanowił się chwilę – a jak będzie karny? Czy Smith jako kapitan pozwoli strzelać McKinley'owi? McKinley jest królem strzałów karnych, ale tamten także umie to robić.

– Nieprzyjemny jesteś – powiedziałem. – Karny! I to koniecznie na naszą stronę. Będzie karny, ale na waszą bramkę.

Klepnął mnie po ramieniu. Szliśmy szybko w stronę naszych stanowisk.

– Teraz, panie Alfredzie nareszcie będzie dużo o piłce. Już nie będę się plątał w najrozmaitsze dygresje. Siedzimy na boisku, o piłce, naprawdę już tylko o piłce.

– To wszystko jest o piłce – powiedział Alfred Wykrot. – Chętnie posłucham. Nie pamiętam tego meczu. W moim wieku ma się dosyć zaawansowaną sklerozę.

– Od początku drugiej połowy mieliśmy przewagę, ale wciąż było 1:0. Co gorsza, po pewnym czasie zaczął słabnąć nasz impet. Proces ten nie wystąpił nagle, zaznaczał się stopniowo, niemal niedostrzegalnie. Widownia była jeszcze spokojna o wynik. Bądź co bądź prowadziliśmy przy dość częstych atakach. Ludzie przyszli po to by zobaczyć, jak wręczą ich drużynie puchar. A to było coraz bliższe. Szmer niezadowolenia, a potem sporadyczne okrzyki i gwizdy zaczęły rozlegać się dopiero gdzieś koło połowy drugiej części. Dopiero wtedy zaczęła wyraźnie szwankować gra naszej drużyny. Może zbyt szybko zmęczyli się długotrwałymi atakami? A może znużyła ich po prostu jednostajność gry? Wciąż to samo: próby rozciągania szeregów przeciwnika przy własnych raczej powolnych akcjach ofensywnych. Naprzeciw szczelny blok gości. To nie był ładny mecz w tym okresie. Coś zaczęło się dziać dopiero na piętnaście minut przed końcem. Anglicy odebrali piłkę na swoim polu karnym i raptem przeprowadzili błyskawiczny atak na bramkę Karwańskiego. Smith strzelił mocno, a Karwański pięknie obronił. Była dokładnie 75 minuta. I od tej chwili obraz walki zmienił się radykalnie. Anglicy rozpoczęli niebywałą ofensywę! Piłka chodziła od nogi do nogi. Ostre zderzenia. Co chwila ktoś padał na boisko. Grano ostro, ale nie przekraczano rażąco reguł. Zresztą natychmiast wkraczał sędzia Rufener, który panował całkowicie nad boiskiem. Zgrzane twarze. Zlepione potem włosy, brudne kostiumy. Karwański coraz częściej w akcji. Coraz rzadsze wypadki naszych pod bramkę angielską. Wciąż 1: 0. Do końca tylko 13 minut. Tylko 12. Wspaniały rajd solowy McKinley'a. Potężnie strzela w górny róg. Karwański broni. Smith wyłuskuje piłkę na środku pola. Przechodzi Safjanowicza, przechodzi jeszcze dwóch naszych, przerzuca dalekim lobem do McKinley'a. Sam pędzi po skrzydle. McKinley wypuszcza Smitha. Szum niepokoju na stadionie. Ktoś zaczyna skandować: Polska gola! Polska gola! Zrywa się chóralny doping, cichnie. Oto kolejna ofensywna akcja Anglików. Strzał Smitha. Bramkarz Karwański na posterunku. Dobitka McKinley'a. Znow broni. Huragan braw.

– Polska gola! Daleki wykop przeniósł piłkę na stronę Anglików. Zastopowali nasz atak. Rozwijają własny. Szmer na trybunach. Skąd biorą siły? Skąd ta szybkość? Przecież wciąż grają w dziesiątkę. Zachowali jakąś tajemniczą rezerwę sił na ostatni kwadrans. Nasi wyczerpali się, a oni coś jeszcze zachowali w zanadrzu. Dziewięć minut do końca. Strzał Anglika w słupek. Znow strzał, ale jest Karwański. McKinley do Smitha. Smith do McKinley'a. Wypuszczenie na skrzydło. Centra. Główka. Polski bramkarz wybija piłkę na korner. Centra. Zamieszanie pod naszą bramką. Główka. Poprzeczka. Coraz bardziej niespokojny tłum. Bra-
wa dla Karwańskiego przeplatają się z ciszą.

Jeszcze pięć minut do końca. Patrzę na Wtorka. Biega po stronie Anglików. Biega, zatrzymuje się, czeka. On jeden nie cofnął się do obrony. Czeka na piłkę.

Miałem przykrą rozmowę z panną Basią. Kiedy stałem nad stołem, a ona puszczała mi mecz i doszliśmy do ostatnich minut, nagle palnęła noga w pedał i powiedziała: – Teraz ja panu dam, żeby pan siebie posłuchał. Tak pan wtedy mówił!

Jak się mówi panie Alfredzie, to się nie słyszy siebie. Oczywiście zawsze istnieje samokontrola, rutyna, świadomość tego, że się mówi do wielu ludzi. Ale jak się potem tego słucha, to brzmi zawsze trochę inaczej. Albo jest bezbarwne, albo za dużo emfazy, czegoś brak, a czegoś za dużo. Nigdy nie lubiłem słuchać swoich sprawozdań już po herbacie. Ale czasem trzeba przesłuchać. To jest nauka. To dobrze, że człowiek nigdy nie jest zadowolony. Tamto przesłuchanie było jednak wyjątkowe. To był dla mnie wstrząs. Mówiłem to, co myślę o tym co widzę, co odczuwam, ale byłem zaskoczony jakimś innym tonem. To była rozpacz p r z e m i e s z a n a z z a c h y t e m. A potem rzeczywiście był już chyba sam zachwyt, sam podziw. „Oni przecież grają w dziesiątkę!” – słyszałem własny głos. Panna Basia puściła fonię na cały regulator. „W dziesiątkę!” – mówię to setny raz. „Są wspaniali! Oni są lepsi”.

Zatrzymała taśmę, cofnęła się i puściła znowu ten sam fragment. „Oni są lepsi! Znow atak. McKinley ciągnie, wspaniale przeszedł, coraz bliżej naszej bramki. Cudownie strzelił! Niewiele brakowało. Ach, jak oni grają. Nigdy do tej pory nie widziałem czegoś podobnego. Im należy się teraz bramka!”

Nie mogłem tego słuchać. Gwałtownym ruchem starałem się zamknąć fonię. Szukałem wyłącznika, nie mogłem znaleźć, nacisnąłem coś innego. Szło jeszcze głośniejsze. Raptem taśma urwała się.

– Proszę uważać. Ja za to odpowiadam. Porwał mi pan wszystko.

Trzasnąłem drzwiami. Wyszedłem na korytarz. Próbowalem opanować się. W montażowni spoza zamkniętych drzwi dochodziły echa stadionu i bełkot moich okrzyków. – Zobacz – usłyszałem. Stał przede mną starszy redaktor. W rękę trzymał plik listów. – Wszystko o tobie. Wciąż przychodzą telegramy. Już nie mówię o telefonach.

Zobaczył moją, pewnie zmienioną twarz, więc cofnął rękę z listami. Powiedział: – Po co tu siedzisz i ślęczysz nad tym? Idź do domu. Wyjedź na kilka dni. Przeczytasz to za tydzień i będziesz się śmiać. Nie martw się. Stary cię nie wyrzuci. Idź stąd!

Chyba się opanowałem. – Nie, chodź ze mną – powiedziałem do kolegi. – To jest bardzo ciekawe. Chcę to zobaczyć do końca.

Wziąłem go za ramię i weszliśmy do montażowni. Ekran. Twarze rozjuszonych widzów. Panna Basia podjechała sama pod koniec meczu. Widać się tym delectowała. Wykrzywione twarze, rozdarte usta. Nie słychać pojedynczych okrzyków, tylko jedną wielką wrzawę. Kolega mówi: – To już podyktował karnego? Niech pani cofnie. Trudno, zobaczymy.

Zaskakujący strzał. Karwański broni nakrywką. Wstaje. Trochę zwleka z wybiciem piłki. Zegar. 90 sekund do końca meczu.

Wrzawa na stadionie przemieniła się w spokojniejszy szmer. Nie, już nie zdążą wyrównać. Z wolna zaczyna ludziom spadać ciężar. Niektórzy wstają z miejsc i kierują się do wyjścia. – Nie zasłaniaj pan! Siadać! Siadać! Zna pan to, pamięta z Legii i nie z Legii. Stoją przy wyjściach, wspinają się na palce. W dole zielony prostokąt boiska oświetlony reflektorami. Zapa-

lili je po przerwie. Karwański kozłuje piłkę i wreszcie wybija ją w pole. Zegar. 70 sekund do końca. Wciąż 1: 0. Piłka zatacza wysoki łuk i spada pod nogi angielskiego gracza. Posyła ją natychmiast w pole. Przejmuje Smith. Ściąga do buta. Zakręcił się dookoła własnej osi. Nagle nieoczekiwanie płasko wypuszcza McKinley'owi. McKinley przejmuje piłkę. Wyminął obrońcę. Ma przed sobą wolną przestrzeń. W odległości kilkudziesięciu kroków samotny Karwański w bramce.

Jęk na trybunach.

McKinley ruszył błyskawicznie. Piorunujący rajd z piłką. Cisza. Nagle wzmagający się doping. Ryk nadziei. Oto cofnięty wreszcie do defensywy Wtorek rzuca się rozpaczliwie w pościg za piłką i McKinley'em. Goni. Ryk. Jakimś nadludzkim wysiłkiem dopada rywala. Łapie za koszulkę. McKinley wyrwał się. Pędzi dalej. Znów chwyt. McKinley próbuje oswobodzić się. Szarpią się. Podobna scena jak tamta, w 27 minucie. Tyle, że teraz szarpią się mocniej. Jakby walczyli o życie. Sędzia Rufener patrzy, nie reaguje. Kompletna cisza na stadionie. Stadion zamarł. Czeka na gwizdek. Cisza. Szarpanina.

Tak docierają do linii pola karnego i przekraczają ją. Wtedy sędzia natychmiast gwizdże. Podbiega i bez namysłu wskazuje na biały punkt. Karny.

Ryk na widowni. Ale tym razem ryk protestu. Burza gwizdów. Rozwścieczone twarze. Tam było sporo ludzi, którzy mieli w żołądku flaszkę wódki. Kalosz! Któryś z naszych graczy łapie się za głowę. Inni zachowują spokój i ze zwieszonymi głowami gromadzą się na miejscu zdarzenia.

Sędzia kopie lekko piłkę w kierunku białego punktu. Spokojny, zimny, jakby nie słyszał protestów. Anglicy pochylają się nad piłką. Smith i McKinley. Czy pan wie, co ja wtedy mówiłem? Mówiłem, że to bolesna ale chyba słuszna decyzja. „To przykre, ale sami państwo widzieli. To był faul”. Powiedziałem, że to był faul. „Należy im się karny. Należy się im wyrównanie. Są świetni”. I jeszcze coś w tym rodzaju, że „te ataki, fałowe ataki zdekompletowanego zespołu gości zapiszą się nam długo w pamięci jako coś wręcz niebywałego, jako dowód pięknego sportowego ducha”. Tak tokowałem przez kilkanaście sekund, a Smith i McKinley medytowali nad piłką. Potem cofnęli się. Zatrzymamy zegar. Do końca 25 sekund.

Wreszcie Smith rusza do piłki. Tumult na trybunach ucichł w tym samym momencie, kiedy Anglik zrobił pierwszy krok.

Jakby ktoś uciął nożem.

W bramce czaił się Karwański. Dreptał w miejscu. P r z e s u n ą ł się trochę w lewo.

Już z drugiego kierunku biegnie McKinley. Smith nagle zatrzymuje się i daje wolny tor koledze. Mocne suche kopnięcie. McKinley strzelił na wysokości ramienia tuż koło prawego słupka. Strzelił w innym kierunku, to jest ważne! niż ten, w którym przed chwilą nieznacznie przesunął się nasz bramkarz w momencie bicia karnego.

To było niewiarygodne, proszę pana, jak on to obronił! Nasi gracze omal nie rozszarpali na kawałki Karwańskiego. Na boisko wbiegł nawet masażysta zespołu z podręczną walizeczką, chociaż nie była potrzebna i także wziął udział w opętańczym tańcu radości. Taniec radości na boisku i dudniąca eksplozja zachwyty na trybunach. Gdy wtem coś się stało. Safjanowicz wypuścił z objęć Karwańskiego i zamarł w pół ruchu. Patrzy w drugą stronę. Wszyscy nasi zawodnicy patrzą w tym samym kierunku. Oto w skos boiska biegnie sędzia Rufener, podbiega do kapitana Wtorka i coś mu mówi. Wtorek robi, gest bóleści, kołysze się, jakby go ktoś zranił. Podbiegają Sejda, Safjanowicz i inni. Jakieś niesamowite ożywienie. Coś dzieje się na boisku. Polacy przemieszali się z Anglikami. Sędzia rozmawia ze Smithem ich kapitanem, rozmawia z Wtorkiem. Sędzia próbuje podnieść piłkę. Ktoś kopnął ją w bok. Sędzia grozi mu ręką. Jest nadal zimny, spokojny. Idzie po piłkę. Ktoś kopnął ją w innym kierunku. Piłka toczy się po trawie, biegnie po nią sędzia. Wyprzedza go Karwański, podnosi i podaje Rufenerowi.

Tłum faluje, tłum jest niespokojny. Ludzie zaczynają domyślać się, o co chodzi. Gwizd, okrzyki. Karwański uspokaja naszych graczy. Wtorek jak skamieniały stoi na boku.

Wskazówka zegara zatrzymała się. Przed karnym do końca było 25 sekund. Teraz pozostało o kilka mniej. Nieruchomy zegar. Sędzia wskazuje ręką na biały punkt. Karny będzie bity po raz drugi. Do sędziego podchodzi Karwański. Słucha, rozkłada ręce. Kiwa głową, znów gest jakby mówił: nie wiem, chyba nie, ale pan jest sędzią.

Czy on naprawdę się poruszył w momencie bicia rzutu karnego? – zapytał Wykrot.

– Niestety, chyba tak. To było straszne. Dziwny mecz. Mecz nie z tego świata. Nie można było zrozumieć, o co chodzi. McKinley odsuwa Smitha. Robi to stanowczym gestem. Już nie będzie żadnych czarów. Wiadomo, że McKinley będzie strzelał. Stoi naprzeciw piłki. W odległości kilkunastu metrów wyprostowany Karwański. Trochę się uciszyło na widowni, przynajmniej w moich słuchawkach. Pewnie technik trochę wymiksował wrzask. Wtorek siedział na trawie za linią boiska i nie patrzył w stronę bramki. Zakrył twarz rękami.

Reszta polskich graczy i cały zespół angielski w normalnie rozwiniętym szyku, jak przy biciu karnej jedenastki. Nic, w innym szyku. Wszyscy Anglicy zebrali się wokół pola karnego, nawet i bramkarz.

McKinley pochyla się nad piłką. Obok stał Smith, ale tak stał, że wiadomo było o co chodzi, tylko się przygląda. Potem będzie opowiadał, że McKinley powiedział do piłki: „Leż spokojnie i czekaj. Zaraz cię kopnę tak, jak nikt nigdy cię nie kopnął!”

17 sekund do końca. Ruszył. Biegnie. Ruszyła wskazówka. 16 sekund... 15. Jeśli wbije karnego i wyrówna, będzie dogrywka, wie pan. A więc biegnie. Strzał. Zaskakująco lekki. Niemal wprost w ręce bramkarza. O metr zaledwie od bramkarza.

Niebywałe. Karwański nawet nie drgnął. Piłka w siatce. 1:1. Do końca dziesięć czy osiem sekund. Szum trybun. Pojedyncze gwizdy. Przeważała pełna zmęczenia cisza. Już ludzie nie mogli tego wytrzymać. Piłka na środku. Zdażyli dwa razy kopnąć i pan Rufener odgwizdał mecz. Koniec przepisowego czasu.

– Taki był przebieg 90 minut gry tego meczu nie z tego świata przed rozstrzygającą rozgrywką. Teraz ja stawiam panie Alfredzie. Uniosłem się z miejsca, by podejść do baru. Wykrot poruszył przecząco głową. – Nie da rady – i wskazał na bar. – Aha, zapomniałem, że go nie ma. Zamknął i poszedł.

– Z McKinley'em rozmawiałem tego samego dnia po meczu. Odbylem dwie dłuższe rozmowy z Rufenerem. Spotkałem się z Wtorkiem i Karwańskim. Widziałem się z trenerem Wróblem, a nawet z żoną Wtorka. Już wie pan, w jakim byłem nastroju, ile miałem nieprzyjemności po tej transmisji. Musiałem z nimi pomówić. Nie szło broń Boże o zebranie materiału dowodowego dla obrony. Atak był wystarczająco gwałtowny. Szedł ze wszystkich stron, oskarżenia formułowano bezpardonowo. Jak można było się bronić? Po prostu znalazłem się w środku dziwnych wydarzeń, choć byłem bardziej świadkiem, tyle że zająłem stanowisko opowiadając się za jedną ze stron. Pocieszałem się, że to wszystko, co nagromadziło się wokół mnie, w końcu minie – i tak się też stało. Ciekawość, aby dociec prawdy, poznać pobudki, jakimi kierowali się ci ludzie, była może zwyczajną samoobroną? Tak, chyba tak było. Istnieje coś bardzo zwyczajnego; ludzka ciekawość. Postanowiłem dotrzeć do nich, i wyciągnąć możliwie jak najwięcej, jakąś część prawdy. Całej prawdy trudno się dowiedzieć.

– I dużo się pan dowiedział?

– Czy ja wiem? Trochę się dowiedziałem. To, czego się dowiedziałem, było dosyć interesujące, ale najciekawsze było to, czego można się było tylko domyślać.

– A więc po kolei. Najpierw Rufener. Umówił się ze mną następnego dnia po meczu. Był po raz pierwszy w Warszawie i już wcześniej zaplanował sobie zwiedzenie miasta. Postanowił zatrzymać się u nas jeszcze przez parę dni. Słyszał o „Krokodylu”, to jest taka dosyć znana knajpa na Starym Mieście. W ostatnich latach straciła na splendorze, ale kiedyś cudzoziemcy często ją odwiedzali i poszła fama, że w „Krokodylu” jest zabawnie. Próbowałem

namówić go na „Forum”, na coś bardziej eleganckiego, ale uparł się na „Krokodyla”, „Europejskiego” miał dosyć. Podjechałem pod hotel, wsiadł i zawiozłem go na Starówkę. Zaparkowaliśmy na rogu Podwala i Placu Zamkowego, bo po Starym Mieście teraz nie wolno jeździć i słuszenie.

– Tam kiedyś był sklep Tuczyzna z czapkami uczniowskimi – nagle przerwał Wykrot. Po raz pierwszy przerwał mi raptownie i chyba po raz pierwszy się ożywił.

– Pamięta pan?

– Jakże!... W dwudziestym którymś roku matka mnie tam zaprowadziła, jak zdałem do pierwszej klasy. Ale niech pan mówi dalej – powiedział znów spokojnie.

– Z tego miejsca, gdzie Senatorska tworzy narożnik z Podwalem jest chyba najładniejszy widok na Stare Miasto, może ładniejszy niż od strony Wisły. Dochodziła siódma i słońce zaczęło zachodzić. Mury otaczające Starówkę, spadziste dachy, wieże kościołów oblane jaskrawym światłem na tle nieba – to widok jedyny w swoim rodzaju. Zatrzymaliśmy się i kazałem mu patrzeć.

– Bardzo ładnie – powiedział i wydało mi się, że naprawdę podoba mu się ten fragment. A może podobał się temu sympatycznemu człowiekowi mój naiwny zachwyt. Obaj zwiedziliśmy trochę świata, sporo widzieliśmy. Powiedziałem mu, że dla mnie warszawskie Stare Miasto jest najładniejsze ze wszystkich starych miast, no może niektóre włoskie czy francuskie miasteczka są jeszcze piękniejsze, ale „przyzna pan, że udała nam się ta rekonstrukcja”. Kiwał głową. Wspomniał o Asyżu i francuskim Sarlat. – One są też piękne, ale to młode Stare Miasto istotnie jest czymś wyjątkowym – i patrzył na mnie, czy jestem zadowolony z komplementu.

Tak sobie rozmawialiśmy. Wyraził ochotę, aby pospacerować i to znów gest wobec mnie, bo przecież zbliżała się pora posiłku, a on lubił jeść. Poprowadziłem go Miodową okrężną drogą, by stamtąd skrócić w Długą do Freta i koło Barbakanu Nowomiejską dojść do Starego Rynku, gdzie jest „Krokodyl”. Na Miodowej tuż przed wylotem w plac Krasieńskich pokazałem mu jedno miejsce dla mnie szczególnie pamiętne. Spadł tu samolot z załogą kanadyjską. Wszyscy zginęli, spalili się. To było w nocy. W połowie sierpnia, kiedy jeszcze zrzucali nam broń. Spadli wprost na ulicę, skrzydło zerwało balkon. Nie było nawet słyhać, jak wielka maszyna wyrznęła o bruk, taki był huk artylerii przeciwlotniczej. Wyciągaliśmy ich z płonącej jak pochodnia maszyny. Jeden przez chwilę jeszcze żył. Krzyczał po polsku. To był kanadyjski Polak.

– Pilotów RAF-u poznałem jeszcze w czterdziestym drugim roku. Służyli tam także nasi, oprócz Anglików, Kanadyjczyków, Australijczyków – powiedział Wykrot. – Latali nad nami w Afryce. Raz tak się rozlatali, że wszystko im się pomyliło i zrzucili nam na głowę trochę bomb. To też podobało się temu Rufenerowi – ta Miodowa i te wspomnienia?

– Czasem mówi się do kogoś, ale właściwie mówi się do siebie. Tak się złożyło, że długi czas nie byłem na Miodowej. Człowiek stale w ruchu. A tu ciepły wieczór, łązi się, sympatyczny, choć obcy człowiek. Słuchał z zaciekawieniem. No i w ogóle w tamtych dniach byłem chyba... zresztą nie wiem, jak to nazwać.

Zamilknęliśmy na chwilę z Wykrotem.

– Więc siedzimy przy zastawionym stole, pan Rufener zajada, ja mu sekunduję. Wreszcie mówi, a właściwie odpowiada pytaniem na pytanie. – Co powiedział mi wasz kapitan Wtorek w 27 minucie? Odpowiem. Jest już po wszystkim. Dla mnie skończyło się wszystko najmniej przyjemnie. Spojrzał na mnie i dodał po chwili: – Słyszałem, że i pan ma trochę przykrości. Naraził się pan swoim widzom. Mówiono mi o tym w hotelu.

Trochę celebrował tę rozmowę. Wycierał długo usta serwetką i rozglądał się za papierosem. Zapalił. – Łapanie przeciwnika za koszulkę nie ma nic wspólnego z piłką nożną. Uśmiechnął się. – Ten manewr nie jest zresztą czymś nowym. Przez długi czas nie wiadomo było, co z tym fantem robić. Nie jest to przecież faul groźny dla zdrowia przeciwnika. Nikt

nikogo nie kopie rozmyślnie w nogę, ani nie uderza łokciem w żołądek. Nowa broń. Trzeba było w końcu znaleźć na takie „figle” sposób, i my sędziowie zrobiliśmy się surowi. To była 27 minuta gry. Wtorek zapewne zdobyłby bramkę. Anglik go złapał i uniemożliwił zdobycie gola. Kiedy biegłem do nich, zastanawiałem się: dać mu żółtą czy czerwoną? Anglik grał ostro. To był ten sam, który w siódmej i czternastej minucie popełnił dwa dość niebezpieczne faule. Tak, dam czerwoną – zdecydowałem, kiedy znalazłem się przy nich. I wie pan, co waz Wtorek pierwszy mi powiedział? „Poczekalby pan sędzia jeszcze dwa kroki i mógłby dać karnego”. Oniemiałem. To były słowa człowieka, który otrzymał międzynarodową nagrodę Fair Play. Mówił te słowa i stał na baczność. Uśmiechał się.

– Przepraszam – powiedziałem do Rufenera – ale dlaczego za to samo przewinienie poddyktował pan potem rzut karny?

Rufener nie odpowiedział od razu. – To jest ta druga sprawa – zacząłem z wahaniem i teraz sam wszedł mi w słowo. – To wszystko jest jedna sprawa – odpowiedział. – Nigdy nie zmieniam swoich decyzji. Postanowiłem, że dam Anglikom czerwoną, więc dałem czerwoną. Nie wiem, czy była to decyzja słuszna. Kara była bardzo surowa. Ale wiem, że wziąłem na siebie od razu jakiś ciężar. Z tym ciężarem sędziowałem prawie cały mecz. Ciężar był tym cięższy, im bliżej było do końca. Anglicy przeszli samych siebie. Sędziowałem tysiące meczów. Oglądałem niezliczoną ilość spotkań, ale takiej ambicji nie widziałem nigdy do tej pory.

Zadałem mu wtedy dość kłopotliwe pytanie. Czy chce przez to powiedzieć, że czekał podświadomie, czy może nawet świadomie i to bardzo niecierpliwie, aż nadarzy się okazja, by wyrównać im krzywdę? I wreszcie, kiedy Wtorek zatrzymał Anglika, był po prostu szczęśliwy. Zrzucę teraz ciężar, tak?

Na szczerłość odpowiedział szczerością: – To dziwnie zabrzmiało, ale chyba tak było. I nagle powiedział jeszcze jedno zdanie, ale jakoś ostrzej. Przez chwilę miał inne oczy, a szczęka wysunęła mu się do przodu. – Jestem już zmęczony. Przestałem być dobrym sędzią.

Mówiliśmy potem o czymś innym. Nie czułem się na siłach pytać go o to samo dalej. Sam powróci do sprawy. Powróci jeszcze dwukrotnie. Tego samego dnia późnym wieczorem, kiedy będziemy wracać do samochodu znów okręzną drogą, tym razem tyłami katedry przez Kanonię i po raz drugi na pięć minut przed odlotem z Warszawy do Zurychu. Proszę pozwolić, że teraz opowiem swoją rozmowę z Wtorkiem.

Złożyłem mu wizytę w jego mieszkaniu następnego ranka po spotkaniu z Rufenerem. W pierwszej chwili przyjął mnie chłodno. Usiedliśmy i powiedział od razu: – Miałem żal do pana, ale trochę mi już przeszło. Największą pretensję mam do sędziego. Rufener jest już za stary do prowadzenia takich meczów. On pierwszy nie wytrzymał napięcia finału. Łapanie w pół albo za koszulkę jest oczywiście pewnym przewinieniem, ale to nie jest brutalny faul. Krzywdy nikomu się nie robi. Myślę, że sędzia przesadził usuwając Anglika w 27 minucie, kiedy uniemożliwił mi zdobycie bramki. Powinien mu dać raczej kartkę żółtą.

Wtorek był skupiony. Starał się ukryć przygnębienie bo przecież i jego sporo kosztowało to wszystko.

– A wobec tego, jak powinien ukarać pana za identyczny faul?

– Oczywiście także żółtą kartką. Rozumuję logicznie. Takie samo przewinienie taka sama kara. Zaraz – poprawił, jakby odgadując moje myśli – więc mnie także czerwoną. Ale kazać bić karny?! I potem powtarzać karny po raz drugi.

Wstał z miejsca, zaczął chodzić po pokoju. – Ale może byśmy przestali o tym mówić. Po co to wszystko? Finał rozegrany. Puchar zdobyty. Cały świat wie, kto zdobył Puchar.

– Gdyby dał panu czerwoną i usunął z boiska, nie byłoby to żadną karą, gdyż do końca meczu pozostało niewiele sekund.

Usiadł raptownie. Znów wstał. Nie odpowiadał.

– Wszyscy wzięliśmy udział w jakiejś dziwnej sprawie – rozpocząłem pojednawczo. – To wydaje mi się interesujące. Znamy się od dawna, nigdy pan nie mógł mieć do mnie pretensji za moje oceny, relacje, ton, w jakim mówiłem o pańskiej grze i o panu. To upoważnia mnie do zadania jeszcze jednego pytania. Co pan, panie Kaziu, powiedział mu wtedy w 27 minucie? Niech pan mi odnowie.

– Nie przypominam sobie, co mówiłem. Byłem podniecony, ale nie przypominam sobie. Byłem zły na Anglika.

– Słyszałem, że powiedział pan coś zaskakującego, że szkoda, iż pospieszył się, jeszcze dwa kroki i mógłby podyktować karnego.

To była trudna chwila. Nie wiedziałem, jak Wtorek zareaguje. Spodziewałem się wybuchu. Zmienił się trochę na twarzy. Usiadł. Milczał. Coś się w nim działo. Przetarł twarz i powiedział nerwowo. – Jeśli on tak o mnie mówi, to zmusza mnie, żebym coś dodał. Pan Rufener od dawna zabiegał, żeby efektownie zakończyć karierę tym meczem w Londynie. Najpierw pospieszył się z czerwoną kartką, potem chciał błąd odrobić. Anglicy zaprosili go do Londynu. Miała być wielka feta. Chciał im się przypodobać i zawczasu podziękować gospodarzom za zaszczyt.

I znów była to nie przeprowadzona do końca rozmowa. Nie czułem się na siłach ciągnąć jej dalej. Wtorek powtórzył, że po co o wszystkim mówić, więc podchwyciłem propozycję i jako tako rozstaliśmy się. O Rufenerze, istotnie, krążyły najrozmaitsze plotki. Mówili, że jego żona jest Angielką i dlatego to wszystko. Rufener powie mi na Kanonii: – Mówią, że moja żona jest Angielką. Jest to złośliwa nieściskość. Moja żona jest Irlandką i nie znosi Anglików.

Z trenerem naszej drużyny, Wróblem, rozmawiałem na boisku podczas treningu juniorów. Spacerowaliśmy wzdłuż linii autowej od chorągiewki do chorągiewki. Wróbel powtarzał z uporem: – Czerwona idzie za czerwoną, ale nigdy raz czerwona, a raz rzut karny. To nie było w porządku. Wspominał, że Wtorek poprosił o dwutygodniowy urlop. Ma dosyć piłki, ale mu to przejdzie. W ogóle wszyscy musimy trochę odpocząć. Pan też – zwrócił się do mnie. – Trochę pan narozrabiał, ale jakoś się skończy. Już się nieźle wszystko skończyło. Mówił o swoich planach. – Co się będziemy oglądać, panie redaktorze? Stale do przodu. Chwalił Karwańskiego. – Tak, jest świetny, ale zawsze był nierówny. I jeszcze sobie pogra trochę. Ale wie pan, mam takiego chłopaka! Osiemnaście lat. Co za refleks! Jest żelazny. Kamienny spokój, a szybki jak kot. Nie filozofuje, tylko broni – wyrwało mu się. – A w ogóle nie jest źle. Jednak umiemy grać w piłkę. I mówił jeszcze, że każdy się potknie. Źle strzelił McKinley, fatalnie puścił Karwański. Raz tak, raz tak. A jak za pierwszym razem strzelił Anglik? – fantastycznie. A Karwański? Widział pan kiedy taką robinsonadę? Nie ma pewniaków. Każdy ma czasem lepszy, czasem gorszy dzień. Pan także się zagalopował pod koniec meczu. Niech się pan nie gniewa, ale to nie było tak. Pan jest naszym reporterem, a nie ich. I wreszcie Rufener. Taki sędzia i pod koniec kariery taki błąd. Seria błędów. Niech mu będzie. W sporcie nie trzeba kalkulować, trzeba grać. A czasem zdarzają się jakieś sprawy i nie wiadomo, jak sobie z nimi poradzić i ja wtedy mówię sobie prosto: Musisz na coś postawić. I postawiłem. Widział pan dogrywkę? Słusznie zrobiłem – uśmiechnął się przyjaźnie. – A przecież w pierwszej minucie dogrywki także zaczęli krzyczeć z trybun, że stary Wróbel zwariował.

– Wróbel zwariował? – zdziwił się zabawnie Wykrot.

– W pewnym sensie zwariował. Na czym to wariactwo polegało, powiem pod sam koniec. Ma pan jeszcze ochotę posłuchać?

– Jeszcze wcześniej. Mówi pan szybko. Ja się wyśpię. Tylko czy pan nie będzie zmęczony, jutro praca.

– Wróbel pobiegł z powrotem na boisko, a ja stałem jeszcze przez chwilę i patrzyłem, jak trenuje swoich chłopców. Jak na każdym treningu znanej drużyny zgromadziło się trochę widzów. Kilku podeszło do mnie i zaczęło rozmawiać. Przyznam, byli delikatni i nie mówili na

temat mojej transmisji. Tylko jeden zapytał dlaczego nie robiłem dogrywki, tylko robił ją kierownik redakcji. Ale zaraz drugi kibic go trącił, więc szybko zmienił temat.

Za to przytoczę panu kilka opinii, jakie usłyszałem od tych ludzi na temat meczu. Jakiś starszy bywalec, bo z niektórymi graczami był na „ty”, powiedział: – Rufener jest kalosz. Trybuny miały rację. Pryśł mit o jego wielkości. Powtórzył ulotkę, że Szwajcar jest ożeniony z Angielką. Inny mówił: – Chodzi człowiek na mecze przez trzydzieści lat i nie zobaczył tyle, ile na tym jednym. Sport, panie redaktorze, jest odbiciem życia – zakonkludował z powagą. – To nie takie proste to kopanie piłki.

Na ogół wszyscy krytykowali mniej lub bardziej sędziego. O faulu Wtorka mówili mało, jakby z tym faktem nie umieli sobie poradzić. Ten złapał tamtego a ten tego. Ten dobrze chciał i tamten dobrze chciał. Ale nie można przykładać dwóch różnych miar do jednego postępku. Najważniejsze, że wszystko dobrze się dla nas skończyło. Niech pan sobie wyobrazi, że taka konkluzja przeważała. Byli tacy, którzy twierdzili stanowczo, że Wtorek kończy się i dlatego traci nerwy, a Karwański zawsze był nerwowy i nerwowy będzie. Przypominano jego dawne mecze, kiedy zdarzało się, że przepuszczał łatwe strzały, a innym razem bronił takie, których nikt by nie obronił.

– Za nerwowe są nasze chłopaki – mówił kibic, który pierwszy rozpoczął dyskusję. – Za moich czasów byli twardsi. A teraz mają fanaberie, długie włoski, loczki, ondulacje. Niektórzy pewnie perfumują się, jak wychodzą na boisko. Za dobrze im się powodzi.

– Rufener kalosz! – wrzasnął chłopiec stojący obok i przysłuchujący się rozmowie. Wrzasnął i odbiegł szybko, jakby się przestraszył. Zatrzymał się za bramką i czekał na niecelną piłkę, by za nią pogonić i odkopnąć na boisko. Właśnie potoczyła się do niego. Wziął wielki rozmach i kopnął szczupłą nogą. Nie trafił, czubkiem buta zarył w ziemię, omal nie przewrócił się. Wyglądało to tak zabawnie, że dorośli zaczęli się śmiać. Widziałem się także z trenerem Anglików Austinem. Poszedłem specjalnie do hotelu wieczorem zaraz po ich kolacji. Zgodził się porozmawiać, mimo późnej pory. Usiedliśmy w hallu.

– Zastanawiałem się, czy wystawić McKinley'a do tego meczu. Wystawiłem. Pogodzili się. Drużyna zagrała wspaniale. Nie chcę mówić o sędziowaniu. Dla mnie McKinley jest główną postacią meczu. Czy pamięta pan, że w swoim czasie w finale Anglia–Brazylia o mistrzostwa świata, pierwszy przyznał się sędziemu, że przed zdobyciem gola dotknął piłkę ręką. Tacy romantycy w dzisiejszym sporcie sprawiają tylko kłopot. Powiedziałem Austinowi, że podobnie postąpił Wtorek na meczu z Norwegią wygranym przez nas 9:1, tylko, że przyznał się do spalonego. Replika Anglika była natychmiastowa: – McKinley przyznał się przy stanie 1:1, na siedem minut przed końcem. A wyście prowadzili z Norwegami 6:1, czy 7:1. To jest różnica. Był moment do zadania dość istotnego pytania: – Więc McKinley rozmyślnie strzelił za drugim razem naszemu bramkarzowi niemal wprost w ręce?

– To pan tego nie wiedział? Przecież to było wyraźne.

– Dlaczego?

– Niech pan sam zapyta go o to. Nie odpowie panu. Nie odpowie z dwóch powodów. Po pierwsze jest diabelnie skryty i nie za mądry, a po drugie niech pan spojrzy. Austin ruchem głowy wskazał stołki przy barze za rozchyloną kotarą. Spojrzałem. Siedział tam McKinley. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest podпиты. Przeniosłem wzrok na trenera. – Na to nie ma już rady – powiedział. – Przyrzekł, że nie będzie pił i dotrzymał słowa. Nie pił dokładnie od jedenastu tygodni. Ale dziś zaczął i nikt go nie powstrzyma. Nawet nie próbuję. On to wszystko mocno przeżył.

– Jak pytać to może lepiej teraz, od razu – uniosłem się z fotela.

– Niech pan spróbuje.

Jakoś nawiązałem z nim kontakt. Mówił krótkimi zdaniami. Wszedłem od razu w sprawę, bo wyczułem, że ma ochotę o tym mówić. – Nie zgadzam się – powiedział ostro, kiedy zapy-

tałem, czy nasz bramkarz poruszył się przed jego pierwszym strzałem karnym. – Nie ruszył się. Jego obrona była najwspanialszą paradą bramkarską, jaką kiedykolwiek widziałem.

McKinley miał już trochę szklane oczy. Mówił wolno, ale sprawiał wrażenie, że ma pełną świadomość tego co mówi. – Może się pan napije? Halo! Skinął na barmana. Wypiliśmy. – Wasz bramkarz był świetny. Graliśmy jak nigdy – mówił trochę mniej wyraźnie. – Skąd on wiedział, że strzelę właśnie w tę stronę? – urwał. Zawołał znów: – Halo! – Wypił sam. – Dlaczego on potem w ogóle nie zareagował na mój drugi strzał? Ale przy pierwszym nie poruszył się – powiedział z uporem.

Austin nie wytrzymał i podszedł. Dosłyszał ostatnie słowa. – Ruszył się przed strzałem. Sędziego nie zawiodło oko.

– Nie ruszył się. Ciągłe się ze mną sprzeczasz – odparował McKinley. Halo! – stały przed nami trzy kieliszki. – Ale dlaczego potem się nie ruszył? Wtedy się nie ruszył przy pierwszym karnym i potem także nie zrobił ruchu. Co to za bramkarz, który stoi nieruchomo!?! – zaśmiał się niemądrze. – Najlepszy bramkarz, jakiego widziałem!

– Powiedz temu panu dlaczego strzeliłeś mu prosto w ręce? – powiedział Austin.

– Ja? – oburzył się McKinley. W ręce? Strzeliłem obok.

– Powiedz dlaczego?

– Zdenerwowałem się. Piłka zeszła mi po bucie.

– Upiłeś się.

– Nie męcz. Rozmawialiśmy z tym panem bardzo przyjemnie, a ty się wtrącasz. Chciałeś żebym grał, to zagrałem. Grałem i skończyłem. Czego ode mnie chcesz? – Spokojny do tej pory zaczął się złościć. Zsunął się niezgrabnie ze stołka i stanął przed Austinem. – Wystawiłeś mnie? – wystawiłeś, jak wyglądasz? Grali ze mną? – grali! Smith podawał mi piłkę jak dziecko. Jak wyglądasz?! Głos jego nabrał wrogości.

– Uspokój się Doug – powiedział pojednawczo trener. – Chodź przejdziemy się. W barze stało kilka osób i przysłuchiwało się rozmowie. Ktoś zajrzał spoza kotary, bo ostatnie zdania McKinley już nie mówił, ale krzyczał. – Nie ruszył się! – wrzasnął opadając na stołek. – Dlaczego nie zareagował na mój łatwy strzał? Za pierwszym razem mnie zaskoczył i za drugim mnie zaskoczył!

Zostawiliśmy go. Austin odprowadził mnie do wyjścia, pożegnał się i pospiesznie odszedł. Później się dowiedziałem, że siedział z McKinley'em w barze do rana. O szóstej wraz z windziarzem zanieśli go do pokoju.

– Mało pan mówił do tej pory o waszym bramkarzu – odezwał się Wykrot. Byliśmy już prawie ostatnimi gośćmi. W tej salce poza nami siedziała tylko para młodych ludzi – bardzo brzydka, jasna dziewczyna z wystającymi zębami i szczupły, rozrośnięty w ramionach z gęstą ciemną brodą chłopak. Przez cały czas trzymał ją za rękę, a brzydula patrzyła w okno z rozmarzeniem. Szyby były mokre od deszczu. Kolorowa lampa wisząca nad sklepem po przeciwległej stronie wąskiej ulicy tańczyła to w lewo to w prawo, widać na dobitkę złego zerwał się wiatr. Wykrot poszedł za moim spojrzeniem. – Mówiłem, że jutro też nie będzie pogody. Nic nie wyjdzie z tej lekkiej atletyki w takim zimnie i deszczu. Niech pan powie coś o tym bramkarzu.

– Tym razem rozmowa nie toczyła się ani w barze, ani w restauracji i nie na boisku. Karwańskiego zastałem w garażu. To był chyba garaż Wtorka, poznałem jego ciemnozielone BMW, które stało pośrodku. Karwański przesiadywał tu częściej niż Wtorek, zdaje się konserwował mu po koleżeńsku auto. W ogóle lubił grzebać się w samochodach. Reperował coś przy ich wspólnym fordzie, na którym jechali wtedy do Kazimierza. Prawdziwy cel wizyty zasłoniłem niby kłopotami z moim fiatem, ale Karwański od razu domyślił się, po co przyszedłem. Wysłuchał cierpliwie moich skarg na drobną zresztą usterkę, dał ostrożną diagnozę, że jeśli raptem odczuwam małe szarpnięcie, to chyba będzie sprzęgło. A to, że czasem bez powodu zapala się na desce rozdzielczej czerwona lampka, nie tyle zbagatelizował, ile przy-

znał, że tak na oślep to nie wie i poradził, że najlepiej pójść z tym do dobrego elektryka. Wycierał zabrudzone ręce szmatą i uśmiechał się życzliwie.

– I co, będziemy jeszcze mówić o meczu? – Był wysoki, miał długie ręce, ciemne włosy opadały aż na ramiona spod potłuszczonej czapki. – Słyszałem, że ma pan kłopoty. Podobno za bardzo chwalił pan Anglików. Niech się pan nie martwi – tu speszył się trochę, że powiedział w ten sposób do sporo od siebie starszego. – To znaczy, że zawsze znajdzie się ktoś niechętny. Każdy ich ma – ciągnął niezbyt zreźnie.

– Przyszło kilka tysięcy listów od ludzi. Chcą, żebym przestał robić sprawozdania. Nie wiedział co na to odpowiedzieć. Wreszcie zaczął:

– Mnie także opisali. Jedni twierdzą, że nie nadaję się do takich meczów, bo mam słabe nerwy. To za tego drugiego karnego. Wyciągają kilka innych słabszych występów. A inni wysławiają pod niebiosy za obronę pierwszego karnego. Że gdyby nie ja, to nic by z tego nie wyszło. I też się tym nie przejmuję.

– Pali pan?

– Bramkarz sięgnął po papierosy odruchowo, ale zreflektował się i powiedział szybko: – nie palę. Zaciągnąłem się, poruszył się nerwowo. – Zresztą dziś wyjątkowo mogę spróbować dla towarzystwa – i zaciągnął się także.

– Więc, jak to było z tymi karnymi?

– McKinley niemal z reguły strzela w lewą stronę w lewy róg, trochę nad ziemią, tak że piłka nie dotyka trawy. Ale wiem, że w okolicznościach zupełnie wyjątkowych, a przyzna pan, że to była wyjątkowa okoliczność, strzela inaczej. W prawo i dosyć wysoko. Tak zrobił w meczu z Bayern w bardzo ważnym półfinale. Widziałem to w telewizji, opisywali to szeroko w angielskich gazetach, w niemieckich także, trochę znam języki. Ruszyłem się więc w lewo, żeby myślał, że znam jego sposób. Ale szykowałem się do robinsonady w prawo. I wyczulem go.

– Ruszył się więc pan przed strzałem?

– Czy ja wiem? Chyba tak. Chyba trochę za bardzo się pospieszyłem. Ale to była trudna rozgrywka. Nie myślałem o niczym. Byłem zajęty tym, żeby nie puścić bramki. Nie zastanawiałem się, czy sędzia to wyłapie, czy nie. Potem, jak sędzia kazał bić po raz drugi, początkowo byłem zupełnie spokojny. Byłem pewien, że dam radę i za drugim razem także nie przepuszczę piłki.

– To dlaczego pan w ogóle nie zareagował na łatwy strzał? Do tej pory nasza rozmowa była szybka, pytanie – odpowiedź, odpowiadał prawie bez namysłu. Teraz odszedł w kąt garażu. Widziałem, że długo gasi papierosa. – Tego nie umiem wyjaśnić. Nogi mi wrosły w ziemię.

– To coś z nerwami u pana nie w porządku – powiedziałem starając się nadać głosowi obojętny ton. Wciąż zadeptywał papierosa. – Rozmawiamy w cztery oczy. To wszystko między nami. Może kiedyś to opiszę, albo opowiem, ale pozmieniam nazwiska. Przyzna pan, że to rzadki wypadek. Znam pana dobrze. Czy naprawdę nogi panu wrosły w ziemię?

Wyszedł z półmroku. Patrzył mi teraz prosto w oczy. – Tak. Chyba załamałem się w tej sekundzie. Ale potem przecież...

– I potem i przedtem grał pan wspaniale. Może to był w ogóle pana najlepszy mecz. Łącznie z puszczaniem drugiego karnego.

– Nie rozumiem. Jak to z puszczaniem karnego? Przecież każdy by go obronił. Nie rozumiał, czy udawał, że nie rozumie.

– Każdy by obronił – powiedziałem jakby do siebie. – Każdy. Ale pan właśnie przepuścił. Uważam, że był to pana najlepszy mecz.

– Nie rozumiem – powtórzył Karwański. – Każdy mówi co innego. Wypisują różne rzeczy. McKinley strzelił mi w same ręce. Minutę wcześniej rąbnął taką bombę. Sędzia dał czerwoną kartkę za faul i za taki sam faul podyktował potem karnego. To wszystko było zwariowane. Są takie dni, że wszyscy wariują.

– Można więc postawić całą sprawę prosto. Panu wrosły nogi w ziemię, a jemu zesłała piłka po bucie. Akurat takie dwie rzeczy zbiegły się i trzeba w to wierzyć.

Popatrzył na mnie badawczo. Przeszedł raz i drugi obok rozebranego forda, przesunął szmatą po lśniącej szybie BMW. Odwrócił się i powiedział: – Czyli, że ten pijaczek rozmyślnie strzelił mi niemal w ręce? Czy pan, panie redaktorze, nie za bardzo wszystko komplikuje? Nie upiększa? Pan to zawsze bardzo przeżywa. Ten mecz szczególnie mocno. I po chwili: – To pan myśli, że rozmyślnie puściłem karnego?

– Niech pan się nie gniewa, ale przyszło mi to do głowy.

– Ale dlaczego?

– Właśnie nie wiem dlaczego. Może dlatego, że to był taki mecz. Sam pan powiedział, że wszystko było zwariowane.

– Gdybym puścił rozmyślnie, to byłoby zwykłe świństwo wobec własnej drużyny. Prawda, świństwo? Świństwo – powtórzył jakby się upewniał.

– W zasadzie nie było to w porządku. Choć obronił pan 10 innych strzałów nie do obrony.

– Ale to jest świństwo, to było świństwo – poprawił Karwański – wobec kolegów, wobec kibiców.

– To co jest fair wobec przeciwnika, jest także fair wobec własnej drużyny – powiedziałem ze zbytnim namaszczeniem.

– Pan trochę się sam kładzie – przerwał bramkarz. – Prowadził pan wielki mecz. Jest pan naszym reporterem, a ostatnie minuty relacjonował pan tak, jakby pan był ich, a nie naszym reporterem. Grali pod koniec wspaniale. To było na pewno coś. Mówił pan, że zasługiwali na wyrównanie.

Był pan wtedy za nimi?

– Zasługiwali na wyrównanie czy nie? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie. – Byli świetni. Sam pan powiedział.

– Są różne mecze, czasami przegrywa lepszy. Tego dnia jeden ma szczęście, innego dnia drugi. Zamilkł. – Nie damy temu rady – powiedział po chwili. – Było, przeszło.

To było charakterystyczne, że większość rozmówców chciała albo udawała, że chce odłożyć całą sprawę i zamknąć ją na amen. Przynajmniej tak zachowywali się w rozmowie ze mną.

– No więc znajdę dobrego elektrotechnika i muszę sprawdzić sprzęgło. Dziękuję za radę i za rozmowę. Żegnaliśmy się. Wtedy zapytałem go jeszcze, co zamierza robić po zakończeniu kariery. Słyszałem, że studiuje, więc jakie ma plany życiowe. Powiedział, że próbuje chodzić na Politechnikę, a gdy zapytałem, co znaczy to „próbuję”, dodał, że studiuje, ale idzie mu wolno.

Pewien czas później rozmawiałem z jednym z jego profesorów. Spotkaliśmy się w jakimś towarzystwie. Był to profesor starszej już daty i do sportowców ustosunkowany nie za bardzo, ale chwalił Karwańskiego, nazwał go bardzo dziwnym studentem – dziwnym, bo czasem wykładowcy proponowali mu przełożenie egzaminu a on się nie zgadzał. Zawsze przychodził na termin. Zdawał ciężko, ale zdawał. Od tego profesora usłyszałem jeszcze opinie, jakie krąży wciąż tu i ówdzie, opinie już zresztą trochę przestarzałe. Profesor mówił: – Wiem, oni rozsławiają ojczyznę. Czy jednak można iść na tak dalekie ustępstwa? Studiują całymi latami, miesiącami opuszczają wykłady, mają te swoje obozy, olimpiady, medale. I czasem nic z tego nie wychodzi. Zniknął sławny student, był – nie ma. Zgubił się. A zajmuje miejsce innym.

Trochę polemizowałem z profesorem, że nie jest tak źle. Zapaliłem się, więc w końcu przeszedł w ton żartobliwy. – Niech się ze mną pan nie kłóci. Dosyć mam kłótni na ten sam temat z kolegami. U nas na polibudzie teraz niemal sami sportowcy, kibice – poprawił rektor, bo to był sam rektor. – A ten bramkarz, to rzeczywiście solidny student. Nierówny, jak piszecie i nerwowy – ale bardzo solidny.

Karwański jest już inżynierem, wyjechał do Libii i coś buduje. Pan był kiedyś w Libii, a on teraz...

– Żeby się koło zamknęło, jeszcze kilka słów o tym co powiedziała pani Wtorkowa. A więc spotkaliśmy się po kryjomu. Bała się, że mąż się dowie, a był podobno wciąż na mnie zły, widać wtedy w jego mieszkaniu hamował się. Ta wiecznie rozszłoszczona kobieta, podczas niezbyt zresztą długiej rozmowy w jakiejś kawiarence, była zupełnie inna – zatroskana, cicha, nawet dwa razy rozpląkała się. Ten cały mecz, to był dla niej tylko Kazio. Mówiła, że zmienił się po meczu. Stale siedzi w domu. Mówię – wyjdziemy, niech już będzie z tym Jakiem. A on nie. Siedzi i bawi się z małą. W ogóle nie rozumiem tego całego meczu. Przecież wygraliśmy. Dlaczego on potem nie grał? Wrócił do domu nawet nie taki podrapany jak zawsze. Tylko trochę kulał. Zawsze kulał więcej, jak wracał, nawet ze zwykłej ligi. Poprosił w klubie o urlop. Mówię – przestań grać, mamy z czego żyć, zostaniesz trenerem.

– A kim chcesz żebym był? – powiedział ze złością.

– Będiesz dobrym trenerem. Najlepszym.

Nie chcę oceniać, czy to co przekazuję, wnosi coś nowego do tej opowieści. Chciałem rozładować dosyć kłopotliwą dla mnie rozmowę z panią Wtorkową i zapytałem grzecznie pod koniec, jak oceniła finał jej matka, znana już także trochę panu teściowa Wtorka. Zabawne. Jej matka określiła mecz krótko: mięczaki! I ten Anglik co strzelił i Karwański. Powiedziała, że nie wolno załamywać się w najtrudniejszym momencie. A z Kaziem nie rozmawia do dziś. Nie idzie jej o to, że złapał Anglika pod koniec gry, ale że nie umieli sobie dać rady w jedenaście na dziesięciu. „Co to za kapitan, co to za drużyna!

– A ten Jacek, co teraz robi? – zapytał pan Alfred.

– Jacek! Gra w drugiej reprezentacji, ale już go próbują w pierwszej. Ale nie występuje na środku napadu jak jego mistrz. Gra na stoperze. Twardy jest, zimny, przytomny w każdej sytuacji. Jak kogoś przewróci to też podnosi i przeprasza, jak kiedyś Wtorek.

– A Wtorek, co teraz robi?

– Trenuje pierwszoligowy zespół. Wyjechał z rodziną do Rzeszowa. Mamy tam od kilku lat niezły klub.

– Z tego, co pan mówił, wynika, że w końcu zdobyliśmy Puchar. Mnie się już trochę myli. Macie tyle sukcesów w piłce i nie w piłce. Zdaje się, że w ostatnich latach wygraliście dwa razy w tym Pucharze.

– Trzy razy. Wtedy zdobyliśmy Puchar po raz pierwszy.

W dogrywce wbiliśmy im tylko jednego gola. Szło ciężko, bo też graliśmy w dziesiątkę.

– Ten Szwajcar wyrzucił wam kogoś z boiska?

– Nie. Niech pan sobie wyobrazi, że ten Wróbel uparł się i kazał wyjść do dogrywki bez Wtorka. Było sporo dyskusji na temat jego dziwnej decyzji. Nikt się po Wróblu tego nie spodziewał. Ale ponieważ wygraliśmy, prasa uznała to za piękny gest. W ogóle był triumf! Anglików pochwalono, a najgorzej dostało się Rufenerowi za to, że omal nie zniekształcił wyniku meczu. Od tej pory go nie widziałem. Pożegnaliśmy się na Okęciu, kiedy wracał do Zurychu. Przyszło dwóch działaczy, aby go oficjalnie pożegnać. Dziękował za tydzień spędzony w Warszawie, który zaliczył – jak powiedział – do najprzyjemniejszych swoich wojaży. Był tak grzeczny dla naszych działaczy, że właściwie nie wiedzieli o czym z nim mówić. Podziękował po raz dziesiąty, uścisnął im ręce i spokojnie odszedł zabierając mnie ze sobą. – Nie wiem, czy będę tu kiedyś jeszcze raz – mówi – Warszawa naprawdę mi się bardzo spodobała. „Stare Miasto” – powiedział z wcale dobrym polskim akcentem.

– Pewnie zobaczymy się za rok na olimpiadzie – wtrąciłem.

– Albo się zobaczymy albo nie – odpowiedział Szwajcar. – Teraz coś panu powiem na pożegnanie, żeby skończyć z tą sprawą, która – tak się złożyło – i dla pana i dla mnie pozostaje sprawą nieprędko zapomnianą. Otóż powiedział, że dzięki Wtorkowi odkrył pod koniec kariery jakąś nową prawdę o sporcie. Przepisy są w zasadzie nienaruszalne, ponieważ jednak nie mogą objąć wszystkich odcieni intencji i postępów ludzkich wyłaniają się w nich jakieś luki. – Raptem dojrzałem tę lukę – powiedział, kiedy staliśmy przy wyjściu z lotniska. – Zrobiłem

błąd krzywdząc Anglików w 27 minucie. Czerwona kartka to był jednak błąd. Grali przede mną potem w dziesiątkę i okazali się lepsi. Biegając po boisku złapałem się w końcu na tym, że chcę, aby Anglicy wyrównali. Po raz pierwszy w życiu miałem świadomość, że nie jestem obiektywny. Gdyby to nie Wtorek popełnił przewinienie, nie czekałbym rozmyślnie, aż obaj wbiegną na pole karne. Ale to był właśnie Wtorek. Ten sam, który ileś minut wcześniej był ofiarą podobnego faulu.

– I teraz jeszcze coś panu wyjawię – ciągnął Rufener. – To ja sędziowałem mecz przed paru laty, kiedy McKinley przyznał się, że dotknął ręką piłki tuż przed golem, jaki wbił Brazylii. Wasz bramkarz ruszył się. Wiedziałem, że karnego bić będzie po raz drugi McKinley, jemu więc dałem wybór rozstrzygnięcia losów. I on wyboru dokonał. Tyle, że z kolei wasz bramkarz pokrzyżował mu świadomie szyki. Ja chyba wszystko wiem o tym meczu. Spotkały się w nim nie tyle dwie drużyny kopiące piłkę, ile zwyczajni ludzie. Zwyczajni, a więc zdolni do złego i dobrego. To co szlachetne wydaje się czasem bezbarwne – słodkawe – szukał określenia – po prostu nudne. Tym razem postęпки ładne były ciekawsze niż zwykle, krwiste, skomplikowane, bo schowane głęboko. Taki jest klucz do tej sprawy. Uścisnął mi rękę i odleciał.

– Wszystko? – zapytał Wykrot.

– Tak. Nie. Miał pan coś jeszcze dodać o McKinley'u.

Byliśmy już sami w salce restauracyjnej hotelu. Młoda para też poszła. Kolorowa lampa naprzeciw okna wisiała nieruchomo, a szyby były mniej mokre. – Przestało zdaje się padać – powiedział dawny piłkarz. – Może się jutro przejaśni. Odnajdę pana po zawodach. Wacek Marczewski chce, żebyśmy gdzieś razem poszli. On jeszcze lubi się bawić. Nie wiem, co znajdzie ciekawego w tym mieście. Glasgow jest niewesołe.

Wstał pierwszy i szedł w stronę hallu. Był zmęczony. Ja zresztą także. – Ciekawa historia – mówił. – Ale pan wszystko zapamiętał! Jak coś boli, to jednak się długo pamięta. A po chwili: – Sędzia nie jest stróżem moralności, tylko stróżem prawa.

Staliśmy przy kontuarze w recepcji. Portier czekał, ale nie ruszał się, by sięgnąć po mój klucz.

– McKinley ma wciąż kłopoty. Ten Szkot, on jest Szkotem nie Anglikiem, to taki człowiek, że stale miał i ma kłopoty. O dawnych opowiedział pan sam. Teraz choruje mu córka. Ma białaczkę. Kilka lat temu umarła mu na to samo żona. Widzi pan, jego żona to była moja siostra.

– Więc do jutra, panie redaktorze. Nakładał kapelusz na posiwiałe, kiedyś rude włosy. Odszedł.

Odwróciłem się.

Proszę o klucz – zwróciłem się do portiera.